

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**GRZEGORZ  
MUSIAŁ**

**STAN PŁYNNY**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*„...po okresie, w którym sztuka, filozofia i polityka rozglądały się za człowiekiem integralnym, jednolitym, konkretnym, dosłownym, wzrasta zapotrzebowanie na człowieka nieuchwytnego, będącego grą sprzeczności, fontanną wytryskającą z antynomii, systemem nieskończonej kompensacji...”*

(W. GOMBROWICZ – *DZIENNIK*)

*„Książka taka jak ta nie jest przeznaczona do rozczytywania się i odczytywania, lecz do przeczucia, zwłaszcza na przechadzce lub w podróży: trzeba to zaglądać do niej, to znów z niej wyglądać, nie znajdując wokół siebie nic, do czego się przywykło.”*

(F. NIETZSCHE – *JUTRZENKA*)

*„Gdybyśmy sami nie mieli wad, nie sprawiałoby nam takiej przyjemności stwierdzać je u drugich.”*

(LA ROCHEFOUCAULD)

## Rozdział pierwszy

Przywykłem żyć gwałtownie, to znaczy nie unikać niczego, co daje mi szansę zderzenia z nowością, szansę kolejnej próby życia, jego najdziwniejszych odmian. Dlatego jestem samotny, bo ludzie, których znam, obawiają się zmian, podobnie jak lękają się siebie, właściwości, które w nich obnaża każda nowa sytuacja. Są zakochani we własnym odbiciu w lustrze, co dzień takim samym. Pierwsza zmarszczka budzi niepokój, pierwszy siwy włos – panikę. Kończy się dobrze znana, wypróbowana młodość, a zaczyna nowa, tajemnicza wędrówka ku starości.

(i pierwsza myśl o śmierci, pierwszy prawdziwie dojmujący smutek...)

Samotność pośród ludzi – o ileż dotkliwsza niż bez nich, bo pozbawiona szansy złudzeń...

Niechęć.

Tak się dochodzi do niechęci, która usprawiedliwić ma uciążliwą izolację. I wtedy budujesz w sobie system: miłość do ludzi jest moralną fikcją – mówisz – i estetycznym kiczem. Wymyślili ją tak zwani humaniści, to znaczy ludzie pozbawieni wyobraźni. Wszechogarniająca miłość, życzliwość i tak zwane dobre serce, chętnie i często okazywane, to nic innego, jak kłajster przykrywający istotne braki w inteligencji, a więc: brak przenikliwości (która pozwala odgadnąć ukryte motywacje), brak zmysłu obserwacji (co zdziera najbardziej pracowite kamuflaże) i wreszcie, brak poczucia humoru i poczucia metafizyki (co pozwala widzieć świat w jego nieustannej zmienności).

Czy nie nudzę Was?

Tak więc z zasady czuję do ludzi niechęć (choć zawsze podejrzewam zasadność każdej zasady...). Może łagodniej – nie kocham ludzi (Leonardo da Vinci kochał tylko Salaji, Oskar Wilde – Lorda Douglasa. Kogo kocham ja?).

I jakim, do cholery, prawem przedstawiam siebie w tak eleganckim towarzystwie?!

Postscriptum: ...w tym również nie lubię siebie, bo nie zakładam własnej wyłączności...

Martwi mnie tylko to, że w czasach, gdy żywiłem jeszcze dla ludzi tak zwane uczucia pozytywne, nawiązałem niefortunnie tak wiele znajomości, że teraz mnóstwo mam kłopotu z tym tłumnym towarzystwem. Oni nie rozumieją lub nie chcą rozumieć zmian, jakie się we mnie dokonały, i ciągle, ciągle psują mi krew pretensjami o brak poświęcenia, brak serca i tak dalej. Zgodnie więc z zasadami niewyłączania siebie z reguł gry, której mechanizm aż za dobrze znam (egoizm, łapanie dusz na postronki i tak dalej), nieraz sam sobie wydaję się potworem bez uczuć. Ale zarazem żal mi ich, bo wiem, jak wiele znaczy dla nich słowo – przyjaźń.

Właśnie – słowo!

Za słowem zaś idą gesty.

Więc: wykonywanie telefonów.

Więc: pisanie listów.

Więc: mnóstwo, mnóstwo różnych serdeczności.

Nie uchylam się. Moje przyjaźnie są doskonale opracowane. Są kłamstwem tak świetnym, że – jak pisał La Rochefoucauld – grzechem byłoby w nie wątpić.

I tak – na prawach paradoksu – będąc stale pomawianym o nieczułość, wręcz cynizm (bo bywa, że w ataku bezsilnej goryczy wyznam coś lub napomknę), okazuję im stale nadspodziewanie wiele serca (pytanie, czy uważna zapobiegliwość może mieć cokolwiek wspólnego z sercem). Przychodzą, puszczam im płyty, wysłuchują ich do późna w noc. Zawsze jest czas na zaparzenie świeżej herbaty, na posłuchanie jeszcze jednego koncertu, na zrozumienie jeszcze jednej z ich tęsknot, które mi chętnie spowiadają. Ach, cóż za demagogia! Przecież przyjaźń taka jest formą szczególnie wyrafinowanego okrucieństwa, bo odwlekając i odwlekając wciąż nieuchronny moment prawdy, czekam, aż nabierze ona odpowiednio morderczych właściwości...

Potwór! Jednak potwór!

W sztuce najważniejsze jest to, co się kocha. A kochać tak naprawdę i bez reszty można tylko życie.

Nie zaś struktury na jego temat wymyślone (stary problem: Dionizos czy Apollo, Wenus z Milo czy ciotka Augusta). Słabość dzisiejszej sztuki polega na tym, że obawia się ona tej miłości, że wybiera schemat i teorię, to znaczy puder i minoderię. A jeśli nawet jest w tym odrobina życia, to takiego jakiegoś słabowitego, podduszonego w sosach smutku i melancholii. Argumentacja typu: koszmar współczesnej cywilizacji lub – doświadczenia dwóch wielkich wojen i tak dalej, służyć może tylko do pewnego momentu. Do tego, w którym rozpoczyna się CZŁOWIEK. Może raczej – artysta, to znaczy taki ktoś, kto MUSI wierzyć w nieskończone możliwości wyzwania się z pęt, więzów i kajdan, jakie nakłada na niego lęk, doświadczenie, przezorność.

Moloch rezerwy i samokontroli.

Zurzędniczenie sztuki.

I jeszcze do tego wszystkie te głupie argumentacje pod tytułem: twórczość świadoma swego celu i zadania.

To tak samo, jak gdyby rzeka chciała wiedzieć, po co płynie. (szyderca powiedziałyby w tym momencie: rzeka płynie po to, aby nam dawać prąd oraz papu.

Czy nikt już doprawdy nie widzi idiotyczności idiotyzmów?!)

Lęk przed życiem. Lęk przed portową dzielnicą, przed kurwami, przed spelunką, w której aż kipi.

Fotografia pisarza: mądre spojrzenie szarych oczu.

W tyle dramaty Racine'a oraz coś z filozofii.

Wszystko w gustownych oprawach.

Kto to powiedział: im mądrzej, tym głupiej.

Odpowiedź: Witold Gombrowicz, który udawał mądrego, udawał hrabiego, udawał, że w ogóle cokolwiek można jeszcze powiedzieć. To dla mas.

Dla siebie: nocny spacer na Retiro (dzielnica portowa) w pogoni za pięknym chłopcem, ściągnięcie spodni na dętym przyjęciu. Niekoniecznie coś z tego musi wynikać, ale faktem jest, że napisał, co napisał.

Albo Genêt. I Rimbaud. I Henry Miller. I Baudelaire, który stoczył się na samo dno, aby tam dopiero odnaleźć piękno swej niezniszczalności.

Wniosek: współcześni twórcy boją się zniszczenia.  
(Próchnica charakterów?...)

...są higieniczni i dobrze zorganizowani. Jeśli jednak zdarzy się, że poczują nagle swój własny smrodek, nie potrafią uniknąć następnej sztuczności: wprost z wykwintnego salonu wskakują do rynsztoka. Zwykła reakcja panienki z dobrego domu na tak zwany smak życia: chce być kurwą bardziej niż kurwa.

...a więc brak istotnej wewnętrznej jakości, która powściąga przesadne gesty, wybiera najważniejsze słowa, chroniąc przed egzaltacją.

(Uzupełnienie: w Świdwinie na zjeździe poetów młody, obiecujący G. detalicznie świadom życia, choć znów stęskniony za tzw. czułością i tchnieniami duszy, czemu dawał wyraz. A więc sytuacja odwrotna: doszczętnie zgnojony próbuje odnaleźć swą drugą, czystsza twarz. To samo zresztą robił Genêt. Ale widocznie u poety G. zgnojenie nie było dość dotkliwe albo druga twarz nie dość czysta. W rezultacie: wiersz o wzlotach duchowych, jakich dostarczyć może akt masturbacji w dworcowej toalecie.

Niestety. W wierszu zupełny brak dowcipu.) (nie potrafią już się śmiać???)

dłaczego dzisiaj znowu  
ta wdzięczna, czuła kapka  
u nosa mokrego ci dynda...

I trzęsiesz się znów na deszczu  
pod swym łachmanem para-  
solem  
gdzie byle wróbelek zostawia tobie  
swój ślad  
i nawet drzewo więcej niż ty  
rozumie  
i nawet auto, zła buda, mniej się niż ty  
czegoś lęka...

(temat na opowiadanie: odwiedziny u Carmen  
facet wychodzi z więzienia)

I co dalej? I nic  
jak zwykle.  
tak się ten świat kręci  
na trasie między Białogardem i Tychowem  
zaczęły dymić ośki parowozu: nie dymią powiedział  
maszynista To tylko tak się wydaje  
i pomknął dalej  
wprost w nieskończoność  
co ma dziś blond ondulację  
i na peronie Białogard Miasto  
niecierpliwie wygląda go  
na zegarku.

Kropka. Tak właśnie powstaje wiersz. Tak  
rodzi się niepokój.  
Bo jeśli poezja  
ma rzeczywiście wyrazić  
ciebie  
nie wolno stawiać jej żadnych postulatów.

dłaczego dzisiaj znowu  
dwie nałożyłeś skarpetki równe  
i wykrochmaloną  
koszulkę.  
dłaczego dzisiaj znowu  
do żadnej klęski się nie przyznajesz  
choć uciekł ci tramwaj pomknąłeś  
do pracy  
inną niż zwykle  
ulicą.

Czytałem kiedyś *Dzienniki Anaïs Nin*. Zachwycający przykład zarzynania naturalnej poetyki życia przy pomocy wykwintnej stylistyki pióra. Są urzekająco subtelne i zdumiewająco pracowite, jak japoński haft, jak brabancka koronka. I tak też przez tiule, przez cienkie batysty utkane zręcznym piórkiem oglądasz spoza nich życie. Oddziela cię od niego ścianka wytwornych perfum i eleganckiego intelektualizmu.

Świat widziany z wygodnej lektyki.

Genêt. Villon. Boccaccio. Marlowe. Chyba również nie uniknę Szekspira...

To prawda, że tworzenie wymaga samotności.

Rzecz jednak w tym, że chodzi tu o samotność ducha, a nie o pusty pokój.

Nerval pisywał na kawiarnianych serwetkach. Proust szlifował swój talent na salonowych parkietach.

Najlepsze rzeczy powstają wtedy, gdy arystokrata ducha znajdzie się nagle w płonącym wieżowcu.

W przeciwnym wypadku jest to biblioteka i Borges.

Też w końcu piękno, ale jakieś chorobliwe, onanistyczne, nieświeże.

Wybiję zęby temu, kto powie, że chodzi mi tu o drapieżne rwanie zębami krwawego mięsa życia! Nie jestem Romeczkiem z Poznania, który w tym celował...

## **Romeczek z Poznania**

...za głupi na to, aby życie rozumieć, wystarczająco jednak bezczelny i przystojny, by brać z niego pełnymi garściami wszystko, co zwykło się zwać jego smakiem i powabem. Waluta, baby, szybkie samochody i tenisowe garnitury: oto, co z braku precyzyjniejszych określeń nazywał ŻYCIEM, i co – niby mocną, męską pięść – podstawił pod nos Krzysiovi, temu „zimnemu intelektualistcie”, którego szydercza inteligencja wywoływała grymas wściekłości na opalanej twarzy naszego Rudolfa Valentino. Z drugiej jednak strony – jakaż bolesna jego przewaga, otoczonego wciąż wianuszkami wielbicielki, bezwzględniego w zdobywaniu przy-



jemności, cynicznego w niszczeniu nieprzyjaciół, czule uśmiechniętego, gdy szło o zysk, i niebezpiecznie milczącego w obliczu klęski; filmowo pochylonego nad jakąś Niną, Barbarą, Klaudią w tangu lub bluesie, bo cenił klasę, czyli pewną staroświeckość à la Clark Gable i sanacyjny pułkownicy z „Adrii”, zresztą babka jego miała pałac we Lwowie, dopiero wiele lat później okazało się, że handlowała zegarkami w Zamościu, nieważne, bo przecież na swój sposób zazdrościliśmy mu tego nieskomplikowanego modelu życia, opartego na pozorach pełni, rozmachu, lecz nie umieliśmy jeszcze cenić pozorów, jeszcze marzyła się nam Prawda, Absolut, Hegel i gruszki na wierzbie, dlatego z niewzruszoną pogardą odrzucaliśmy jego argumenty, choć przecież teraz, gdy podstarzały, trochę zagubiony patrzy na swoich następców w dzinsach i samochodach, spędzających wakacje „gdzieś w Europie” i podpalających stówką papierosa, być może rozumie, że tamto jego życie to rzeczywiście był pozór, bo na swe garnitury zarabiał orząc przy myciu fabrycznych okien, bo do swej szarej egzystencji dobudowywał z pożyczonych pieniędzy i samochodów amerykański mit „lepszego życia”, i – jakże niepełna była tamta pełnia wobec tego spokojnego cynizmu Posiadania i Konsumpcji, wobec wzgardliwej pewności siebie, pewności BYCIA lepszymi tych wszystkich młodych, beztrojskich, mijających go w tłumie, spoglądających ironicznie na jego podfarbowane włosy i na muszkę... Dziś nieprzebyta bariera odgradza go od tego samego życia, które tak bardzo kochała jego młodość...

A my – cóż. Nadal „zimni intelektualisci”, ubożsi o kolorowy mit Romeczka, bogatsi o współczucie, na które on sam siebie skazał...

Zdarza się, że jest mi kogoś żal, zwyczajnie, po ludzku, bo ujrzałem nagle ogrom bez nadziejnej pustki, w jakiej miota się jego nie do cna jeszcze sparszywiła dusza, okłamująca się, że jest dobrze, że jest właśnie tak, jak być powinno, lecz miewająca przecież od czasu do czasu momenty prawdy przed sobą. I gdy siedzi wtedy taki zdeptany, poszarzały nad szklaneczką wody z limonem, podsuwam mu rozwiązanie. Krótkie, konkretne, proste, zdawałoby się, bo wymagające tylko jednej jedynej decyzji. Wyjazd, rozwód, zmiana środowiska, zmiana alkoholu. O nieszczęsny samarytaninie, niosący pomoc tym, którzy tego od ciebie nie chcą!

Dzisiaj przyzna ci rację, zapłacze, padnie w ramiona, jutro nie odkłoni się na ulicy w słusznej pretensji, żeś bez biletu wdarł się do cichej, ciepłej kapliczki, w której przechowuje skarby swoich smuteczków i załamanek. Są mu potrzebne jak powietrze.

Masochizm?

Tak, tak, bez wątplenia wielu moich przyjaciół to masochiści. Kochają być załamywani i niszczeni. Kochają dramaty, dylematy i antyfony, które ich życiu dodają trochę pieprzu.

Po cóż więc wyważać komuś drzwi, które on sam sobie zamknął na klucz.

Czytałem wczoraj *Molloy* Becketta, tłumaczyłem pierwszych kilka stron. Jednak szybko zmęczyła mnie przepaść otwierająca się między genialną wieloznacznością Becketta a płaską nudą mojego przekładu.

Co znaczy ballocks?

Jak zinterpretować zdanie: until the day, when your endurance gone, in this world for you without arms, you catch up in yours, the first mangy cur you meet, carry it the time needed for it to love you, and you it, than throw it away.

Rozumiem i czuję pesymizm tak głęboko, jak tylko sięgnąć można w swój własny smutek. Lecz jak zrozumieć smutek CUDZY, jak wejść na obcą ścieżkę zawahań i wątpliwości, która prowadzi do czyjejś wewnętrznej prawdy?

Potrafie, tak jak przypuszczalnie ogromna większość ludzi, myśleć i odczuwać wyłącznie sobą. Niestety! – błąd mój polega na tym, że ja się do tego przyznaję. W ten sposób daję broń do ręki tym wszystkim, których stać tylko na łatwe uogólnienia, i którzy przy pierwszej okazji zawrzasną chętnym chórem: egoista! zarozumialec! dandys! nie chce ludzi! nie rozumie ludzi! gardzi nimi!

Tak. To prawda. Nie rozumiem ludzi, podobnie jak oni nie rozumieją mnie. Wzajemne zrozumienie Jest fikcją. Można najwyżej próbować. Lecz nawet tego od nich nie żądam.

Ukazuję im po prostu część prawdy o sobie, czekając aż trafi na kogoś, kto nosi w sobie podobne ziarno. Wtedy jest on moim przyjacielem. Lecz nawet gdy zdarzy się coś tak fantastycznie rzadkiego jak odszukanie przyjaciela, nie popełniam takiego szaleństwa, by żądać od niego pełnego zrozumienia obcej sobie istoty. Byłby to z mej strony akt pychy: kazać mu swoje miary dostosowywać do moich, kazać mu włączyć we mnie, błąkać się w ciemnościach, wertować zakurzone szpargały. Nie, nie, po trzykroć nie! Jedyne, czego pragnę, to rzecz zupełnie podstawowa: tolerancja. Jeżeli już wiemy, że jesteśmy do siebie podobni, to niechże te nasze podobieństwa różnią się trochę od siebie! Będzie ciekawiej.

Och, humaniści, całe swoje siły poświęcający obronie anonimowej ludzkości, która potrzebuje podobno ciepła i zrozumienia, bo inaczej załamie się i rozplacze. Której, jak półgłówkowi, pisać trzeba ku pokrzepieniu serc i żeby dobrze się spało!

Weźcie wpierw wasze termometry i pomierzcie ilość ciepła, jaka ludzkości podarował Petroniusz, Kant, Goethe, Schopenhauer i Lautréamont, serdeczności uczuć, jakie wyśpiewał Rimbaud, Joyce, Gombrowicz, skarby miłosierdzia, jakie w dziele swym ukrył Celine, Genêt, Dostojewski...

Potem sięgnijcie po inne miarki i przyłóżcie je tam, gdzie jest cała ogromna reszta ducha i mądrości, jaką ofiarowali oni ludziom, nie oczekując nic w zamian poza odrobiną zainteresowania...

...wasze ja jest słabe, wymaga ciągłego zachodu, ciągłej obrony, bo oparte jest na mieszaninie kłamstw, wybiegów i mitów, jakie stwarzacie, aby powiększyć się w oczach innych.

Zbudowaliście ogromny, pusty gmach fałszywych wielkości, w którym mały, zagubiony, nie wiedzący, co ze sobą począć, błąka się Człowiek.

Nie dość jednak na tym.

Ten człowiek was kompromituje, jego krucha obecność niweczy trud waszego odczłowieczania siebie, przeto niszczyacie jego lęk, wyśmiewacie wahanie, dławicie jego krzyk, którym przed wami samymi ostrzec was pragnie...

Szukam ludzi, potrzebuję ludzi, by za ich pośrednictwem dotrzeć do tak zwanej uniwersalnej prawdy o człowieku. Czasem próbuję przez nich, jak przez pryzmat, spoglądać w kosmos. Ale tam jest pusto i chłodno, więc znów wracam na Ziemię, by śmiać się ich śmiechem i płakać ich łzami, by dalej szukać tej nici, która łączy nas we wspólnotę, tego jednakowego ziarna człowieczeństwa, które sprawia, że powinniśmy być sobie bliscy. Tego czegoś tajemniczego, co kryje się w każdej nienawiści, w każdym pożądaniu, w każdej miłości i bólu. Tego, co sprawia, że wszystkim nam jednako bliska jest czyjaś pomocna dłoń, a jednako straszna obojętność i wzgarda.

Wyciągam więc dłoni.

Poznaję wciąż nowych i nowych ludzi, każdemu spoglądam w oczy, by osiągnąć prawdy jego cierpienia, i wsłuchuję się w śmiech, wierząc, że odnajdę w nim prawdę jego goryczy.

Ale niestety... spotykam tylko puste oczy i ostrożne wargi, mówiące to tylko, co należy powiedzieć, kontrolująca swą duszę niby tramwajowy bilet.

Z czasem Twarz staje się moją obsesją. Uczę się czytać z rysów, z nagłego, nie dopilnowanego w porę skrzywienia ust, z grymasu, z cienia, który różnie układa się na różnych twarzach.

Oczy zdradzają wszystko: fałsz, obłudę, bezmyślną zawiść. Tak więc, nie znalazłszy prawdy w sztuce, nie znalazłszy jeszcze w religii i znalazłszy – lecz martwą – w filozofii, przyznać muszę, że nie znajduję jej także w człowieku.

Nie oznacza to rezygnacji. Nadal szukam, nie dbając o to, że coraz głębsza staje się przepaść pomiędzy moimi oczekiwaniami a rzeczywistością. Tak widać musi być, że zawsze, wbrew najoczywistszym faktom, trzymamy się życia, jakiegokolwiek ono jest, nędzne, przeklinate, ale zawsze jest to życie, jedyne nasze prawo i jedyna szansa. Tak więc po okresach buntu i pogardliwej samotności znowu powracam do ludzi. Cichszy, spokojniejszy, gotów do kompromisu.

Każdy następny powrót wzbogaca mnie o nową cząstkę siebie: o tę, która każe mi wracać.

Każdy następny powrót zubaża mnie o małą cząstkę siebie: o tę, która należy do mojego gniewu.

I tak toczy się życie: wzrastające w miłości, pokorniejące w buncie...

Czyżby wynikała stąd ogólniejsza zasada: poszukujemy spełnienia w miłości wtedy, gdy nie możemy spełnić buntu???

Postscriptum: I na odwrót.

czy warto  
czy w ogóle warto mówić do was  
przerywać wasz skrzętny trud  
budujecie domy w których nie wiadomo czy zamieszka  
wasz syn  
szukacie światła  
które wasz wróg zgasi jednym strzałem w słońce  
i ciągle jest tyle pracy  
cały ogromny widnokrąg  
z rozstawionymi na granicy strażami.  
Czy w tej sytuacji warto  
lub raczej – czy można  
przekonać was  
do wiersza.  
jutro wstanę  
nowy radosny dzień  
i spotkanie  
jak zawsze z waszą nieobecnością.  
Tu o krok od zatrzaśniętych drzwi  
ja  
i ciemność.  
    Jak pusto  
    jak zimno jest  
    w wybudowanych przez was  
    pokojach.

*„Któż myśli nad wymyślaniem słów, aby wymyślić świat od nowa? JA. JA MYŚLĘ. JA JE-  
STEM SZALONY.”*

(E. G. KIEFFER – *ŻEBY CIĘ LEPIEJ ZJEŚĆ*)

## Rozdział drugi

### I.

„...bezład i niespójność są dziś źródłem, z którego czerpie talent: to nec plus ultra w sztuce. W początkach wieku pojawiło się kilku hermetycznych geniuszy: odtąd hermetyzm zastępuje geniusz. Wynalazek w istocie genialny: jeśli twój król jest nagi, wyjściem będzie łamigłówka z tysiąca porozrzucanych kawałków: kto ośmieli się twierdzić, że nie ma wśród nich koronek i klejnotów?”

(Vercors – *Tratwa Meduzy*)

Klejnoty Prousta.

Koronki Borgesa.

Pracowite perełki intelektualne Eliota.

Lodowate diamenty Joyce'a.

Duchowe zegarki szwajcarskie Kafki.

Celne platynowe strzałki Huxleya.

Zimne strumienie podświadomości. Perfekcja budząca grozę.

Nawet gdy traktuje o smutku i tęsknocie, o czymś tak bardzo ludzkim, zwyczajnym jak miłość i nadzieja, w uważnych rękach GENIUSZA, na ostrych skałkach jego arktycznej duszy traci swój blask i ciepło, zaczyna żyć światłem odbitym od jego księżycowych cierpień.

Zastrzegam się raz jeszcze – nie jestem zwolennikiem tak zwanego mięsa życia. Hemingway nudzi mnie śmiertelnie. Od Hłaski uciekam gdzie pieprz rośnie. *Maleńką Dorrit* tysiącokroć wolę od *Wielkiego Gatsby'ego*.

Lecz chłodna doskonałość wzruszeń, perfekcjonizm wzlotów i logiczna konsekwencja upadków zawsze budziły we mnie lęk; nie wiem dlaczego, bo tylekroć znów urzekała mnie genialna prostota wyrazu, głębia jasności, żywość fikcji, lecz zarazem tęskniłem przecież za niespójnością, chaosem, bałaganem *Wilka stepowego*, za gorzką niedoskonałością *Gatsby'ego*, za pijackim uporem twórczym Hemingwaya i literacką żebranią Hłaski. Za tymi zwykłymi cierpiącymi ludźmi, którzy w historycznym ataku na górę lodową geniuszu ponoszą zawsze klęskę. Lecz o ileż ta klęska bliższa jest mnie, człowiekowi tak samo jak oni skazanemu z góry na gombrowiczowską „niemożność”, na ciągle niedo, nietak, nietędy, niż tamta lodowata pewność pióra, pewność ducha: nawet gdy – jak Kafka – ukaże nam swe rozdarcia i splątania, są one w tak wyśmienitym guście, są tak comme il faut, tak niezawodne w swej przerażającej precyzji, że książkę zamykasz z westchnieniem ulgi, jak po dramatycznym, lecz nieco męczącym i kłopotliwym spotkaniu z Aniołem.

I szczęśliwy wracasz między ludzi.

Na ulicę.

Do knajpy.

## II.

Należy czytać Cendrarsa.

Powinno się czytać Cendrarsa.

Bezwzględnie nakazuje się czytać Cendrarsa.

Cendrars – to jest to!

Cendrars: w domu, w kościele, na plakacie i w gazecie, w sklepie, w księżeczce do nabożeństwa, a już na pewno w partyjnej legitymacji.

Cendrars: uwodzicielski, uzdrowicielski, niesprzedajny, namiętny, płochliwy, dumny, kabotyński, puszczałski, wyniosły, arogancki. Serdeczny, przytulny, kochliwy i słodki brutal.

Polatuje sobie. Z ironicznym uśmiechem unosi się nad własnym życiem, w którym zdarzyło się wszystko, co może się pojedynczemu człowiekowi wydarzyć. Wybiera z tego co lepsze kąski, lepi z nich fantastyczne figury, puszcza do wszystkich perskie oko, dmucha bańki mydlane, kręci młynka przed nosem, po czym znika, jak jesienny emeryt Schulza, w pełnych rozpylonego światła przestworzach...

Należy kochać Cendrarsa.

Należy uczyć się Cendrarsa.

Tu, w tym kraju.

## III

Raul i Paula z *Wielkich wygranych* Cortazara.

Czy można prawdziwiej sportretować NIEPOKÓJ?

Niepokój myśli.

Niepokój seksu.

Niepokój BYCIA.

Paula pisuje wiersze. Jest chimeryczna, nerwowa, płaczliwa, mądra, ironiczna, wybuchowa, kocia, lodowata, drapieżna. Reprezentuje zatem dość podejrzany literacko typ przegranej sawantki, straszący jeszcze tu i ówdzie w salonach literatury współczesnej, szczególnie francuskiej. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że wygodny schemat nagle rozłązi się w szwach: Paula ukazuje z wolna swoją prawdziwą twarz. Wykwintny dekadentyzm przeradza się w autentyczny dramat kobiety niekochanej, która strzępami miłości, odpadkami istnienia próbuje łątać nieuleczalne dziury w sercu. Jej jedyny przyjaciel, Raul, byłby może szansą na miłość, może i Paula kocha go jakoś po swojemu, pomiędzy jedną szklaneczką whisky i drugą, pomiędzy jednym i drugim nie dokończonym wierszem, ale ta miłość, przegrana od początku, od podstaw skazana na niespełnienie, stałaby się przecież samej siebie kompromitacją.

Bo Raul jest przystojny, subtelny, zamożny, inteligentny, pali fajkę oraz ma sportowy styl. Jest więc godnym partnerem bohaterki kolejowego romansu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jeden drobiazg – Raul jest homoseksualistą. Schemat rozpada się. Salon odsłania swoje śmieci. I tak wygląda dramat à la Cortázar: z okruczeństwa życia, z nieważnych pozornie drobiazgów, z menu na kolację i z fasonu kapelusza rodzi się nie wiedzieć jak i kiedy antyczna tragedia. Może raczej – tragifarsa. Cortázar jest bowiem mistrzem balansu. Powieść dla kucharek idzie o lepsze z psychologią głębi, szekspirowskie rozdarcie z przewrotnym kiczem.

Zdumiewa uzyskany tą metodą efekt drapieżnego autentyzmu tam, gdzie wszystko zmierzało ku jeszcze jednej salonowej historii w stylu Françoise Sagan.

Pisarska osobowość Cortazara przypomina nieco Mannowskiego Tonio Krögera: „mieszczuch zabłąkany w dziedzinę sztuki, Cygan tęskniący za dobrym wychowaniem, artysta z nieczystym sumieniem”.

Stojąc na granicy dwóch światów – Argentyny i Europy, Cortázar czerpie z pierwszego żywiołową miłość życia, rozkosz codzienności i „ukochanie tego, co ludzkie, żywe i zwyczajne”, zaś elementami kultury europejskiej posługuje się jak plikiem materiałów dowodowych dla poparcia własnych twierdzeń lub przypuszczeń.

Ciągła mistrzowska akrobacja pozwala mu uniknąć obu tych więzień: Cortázar nie jest ani demonicznym pięknoduchem, ani filistrem. On jest pomiędzy wszystkim, czyli: we wszystkim jednocześnie.

Powieści Cortazara są wspaniałym zwycięstwem artysty nad biblioteką, nad katalogiem i buchalterią kultury. Dysponując dwoma świetnie opanowanymi narzędziami artystycznego wyrazu: poetycką rafinadą oraz kiczem, nie zawiera paktu z żadnym z nich, wybierając metodę trzecią: swobodnej wariacji na temat. I tak, gdy rafinada poetycka sięga oto swych szczytów i gdy zdaje się, że już-już razem z autorem wkraczamy do Arkadii, nagle wyjrzy zza węgła czyjaś nie ogolona gęba lub uduchowiony poeta dostanie rozwolnienia.

Powieści Cortazara ciekawsze są od jego opowiadań, które przez swą skrótowość nie dość dają pola temu fascynującemu pojedynkowi dwu estetyk, któremu z ironicznym uśmieszkiem przygląda się element trzeci: autor.

Czyżby i tu – Gombrowicz?

Miętus pachółkiem podszyty?

Pijak ze *Ślubu*?

Karaś, z którym nie mogła poradzić sobie Iwona?

Czyżby na tym skrzyżowaniu Sztuki spotykali się dwaj giganci?

Cortázar.

Gombrowicz.

Ha! Pora więc na element trzeci!

Całuję

Autor.

#### IV.

Wracam do dawnych lektur: Eduardo Gudiño Kieffer: *Żeby cię lepiej zjeść*. Odrzuca mnie ta książka, choć kiedyś jakże ją kochałem! Przecież gorzki, młodzieńczy bunt Sebastiana przeciwko nieczulej, konsumpcyjnej rzeczywistości był kiedyś moim buntem. Przecież jego samobójczy skok ze skały wydawał mi się wtedy jedynym godnym rozwiązaniem...

No właśnie.

Nie skoczyłem ze skały.

Wtedy jednak urzekła mnie MOŻLIWOŚĆ takiego faktu, takiej goryczy, takiego siebie, jakim być może stanę się, a być może nie. Był więc Sebastian dla mnie tym moim nie znanym jeszcze kuzynem, o którym słyszę zdumiewające opowieści, i fascynują mnie one, bo to tak, jakby trochę ja sam, to jakieś ziarenko wspólne, które wzrosło w nim smutkiem olbrzymim i uwiędło niepotrzebną śmiercią. Dlatego patrzę teraz na zwłoki Sebastiana z wyższości swoje-

go życia, które udało mi się ocalić. Tę samą drogę przeszedłem, i nie zawiodła mnie ona ku krawędzi urwiska. Zaprowadziła mnie na powrót ku życiu.

Ja wybrałem kompromis, on śmierć. Stało się. Nie ma już żadnej innej możliwości.

Gdybym miał dziś okazję porozmawiać z Sebastianem, na wszystkie jego smutki jedną tylko znalazłbym odpowiedź: przesadzasz, stary. I w ten sposób przeszedłbym na drugą stronę, na pozycję wroga, tam gdzie jest świat pragnący Sebastiana zjeść.

Tak. Stałem się niewyrozumiały. Śmiesz mnie bunt w obdartych dzinsach, kontestacja na kacu, rewolucja dokonywana strzykawką z morfiną. Irytują mnie synowie, którzy perfumy i towarzyskość swoich matek uważają za wystarczającą podstawę do wszczynania totalnej rewolucji przeciw skorumpowanemu, zafalszowanemu światu. Drażni mnie płytkość ich motywacji, nie głębszych niż szklanka piwa, niż brud za paznokciami stóp, wystających z podartych nogawek. Drażni mnie to Niewiadomoco, na co cierpią i przez co, z lęku swej niewiedzy, z panicznego strachu przed własną bezsilnością, popełniają samobójstwa. Czyżbym więc uważał, że kompromis szczególniejszej wymaga odwagi?

Wyższej duchowej jakości?

Chyba tak.

Zmusić się do życia, znaczy zmusić się do jedzenia, choć wszystko wymiotuje w tobie, skręca się w potwornym proteście, choć wszystko krzyczy w tobie NIE!

Czekanie na następną MOŻLIWOŚĆ.

Taki jest sens życia w ogóle. Taka jest życiowa konieczność. Niewykluczanie niczego, co dopiero się wydarzy.

Niezamykanie spraw, których jeszcze nie ma.

Coś, co można by chyba nazwać nadzieją, choć lękam się nieprzejrzystości tego słowa.

Prawdopodobnie istnieje pewien gatunek ludzi genetycznie pozbawionych nadziei, tak jak istnieje genetyczny rodzaj albinizmu lub brak jednego palca u nogi. Rozumieć tych ludzi to rozumieć pewną Najwyższą Konieczność, która za nas rządzi, której podlegają nasze kroki wiodące nas ku życiu lub ku przepaści. Są to ludzie skazani na przepaść. W ich serca wmontowano małe ciało magnetyczne, ciągnące ich ku samounicestwieniu.

Straszni są to ludzie.

Mordują innych wcześniej niżli siebie samych.

Mordują ich swoją bezsilnością.

Okrucieństwem bezradnych dzieci.

Wśród moich przyjaciół jest paru Sebastianów. Są młodzi, urodziwi, czasem nawet zamężni. Lecz w ich żyłach płynie jakiś bliżej nie określony płyn, ich ciała poruszają się w ciasnej galarecie, ich słowa dochodzą spoza matowej szyby.

Czasem zupełnie ich nie widać.

Bóg nie dał im rozrusznika, który energię potencjalną przetwarza w ruch. Są więc jak porzucone przy krawężniku auta: rdzewieją na deszczu, kurz na nie opada.

Dość są jednak inteligentni, by widzieć swój upadek, by pojąć swoje fatum. Dlatego zbiorą któregoś dnia całą swą ocalałą resztę energii, by wykonać ostatni lądzi skok przed siebie.

W mur. W wodę. Pod przejeżdżający tramwaj.

Ich piękne pokrwawione ciała.

Ich spokój.

Dopiero śmierć nadaje sens ich życiu: okazuje się bowiem, że wbrew pozorom było ono konsekwentnym, systematycznym zmierzaniem ku tej właśnie ostatecznej puencie.

Wtedy czuję, że brak mi puenty.



To jedno nas różni.  
O to jedno są ode mnie bogatsi.

Z drugiej strony – ileż śmierci kretyńskich, niepotrzebnych, śmierci będących zaprzeczeniem celowości natury. Marlena. Dwadzieścia cztery lata. Zakochana w życiu. Tańcząca. Rozśmiana.

Marlena, która właśnie pakuje się do kolejnego wyjazdu „w Europę”.

I nagle nie może zrobić kroku.

Potem słabną jej ręce.

Omdlała odwożą ją do szpitala.

Marlena, która, pokonując narastający bezwład, mówi do mnie:

– I jaki sens, no powiedz, jaki w tym wszystkim sens... Co można w takiej chwili zrobić. Krzyczeć, szarpać mózg i serce, bić pięściami w skorupę nieba, tłuc głową o cztery ściany bezsilności?

Czy błagać, modlić się, płakać wspólnie ze zbolełą rodziną, pocieszać siebie słowami, do których upoważnił nas On, Wielki – Nieistniejący, On, który uśmiecha się drwiąco ze strzykawką śmierci w troskliwych dłoniach, On, w którego wierzy się tym rozpaczliwiej, im mniej pewne staje się nasze istnienie...? Czy siedzieć po prostu przy łóżku, ścisnąć słabnącą dłoń i patrzeć, jak za oknem umorusany węglarz przewala stertę koksu...

Marlena. Nie byłem nawet na jej pogrzebie. Nie wiem. Taksówka nie przyjechała. Zegar się spóźnił. Telefon nie zadzwonił.

Nie wiem.

Pustka.

Tak jakby się nic nie stało.

*„Ach, dosyć dygresji – tego też nie lubią niektórzy, a dla mnie dygresje to czasem cały smak powieści.”*

*(WITKACY – NARKOTYKI)*

## Rozdział trzeci

Nie mówię Wam, jaki jestem, lecz jaki dla Was chciałbym być. To Wam powinno więcej powiedzieć o mnie niż prostoduszne wyznania wprost. Nie chcę zanudzać Was swoją szczerością. Pragnę natomiast bawić się sobą tak, aby zabawić i Was. Pragnę spoglądać na siebie z dystansem, przymrużać oko, kręcić młynka i podbijać Wam bębenka, cokolwiek myślicie.

Ja – czyli jeden z Was.

O ileż to ciekawsze niż staroświecka piła szczerych wyznań! A zarazem – jakaż cudowna jedność w potrójnym bycie: stawać się to graczem, to grą, to znów dla odmiany pionkiem, który w imię wspólnej zabawy pozwala przesuwać się po szachownicy.

I zabawa – która nie jest zabawą. Która tylko samą siebie udaje. Która chce wywieść w pole samych graczy.

Zobaczmy.

Być może będzie to szersze.

Być może prawdziwsze.

Być może wszystko okaże się na końcu.

## Wenus

...przeięta lekko w tył podaje usta Kupidynowi, który zachwycony pochyla się nad jej twarzą. Folly roześmiany (mały chłopiec) ciska w nich naręcza róż. Ponad ich głowami wyłaniająca się z Niebytu perfidna i zła twarz Czasu (starzec). W tle – nagie sylwetki cierpiących ludzi.

Wniosek: miłość i szaleństwo, jedyne dwie siły zdolne wynieść nas ponad cierpienie (jedyne skuteczne sposoby samooszustwa?). Czas zwycięża wszystko.

(malował Bronzino, dawno temu, wtedy wszystko to miało jeszcze jakieś swoje ciemne filozofie...)

Inne obrazy: *Madonna wśród skał* – Leonarda da Vinci (komentarz Natalii: ach, urocze dzieci w wieku przedszkolnym!), *Madonna z Loretto* Rafaela (co za zieleń butelkowa i w ogóle, ładna rama...), *Portret kobiety* – Correggia (światny biust ma ta dziewczyna...). Nicolas Poussin – trochę przypomina Davida (tego samego, któremu Danton odmówił prawa do nieśmiertelności:– kanalia – powiedział krótko, gdy katowski wózek mijał Davida, szkicującego pośpiesznie sceny gilotynowania). Obaj dęci, niestety. I jeszcze róże „jak żywe” na sukni *Madame Moitessier* Ingres'a.

Ingres – o całe pół wieku radośniejszy od Gierymskiego.

## Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Zyta Ekscentryczka

Chce być silna, dlatego często bywa niesprawiedliwa dla innych. Potem ich żałuje.

Miota się wciąż między pogardą i współczuciem (tytuł obrazka – Skrupuły).

Dobre wychowanie nie pozwala jej narzucać rozmówcom swojej przewagi. Chyba że są to prostaki i chamy. Wtedy potrafi wskazać im ich właściwe miejsce (tytuł obrazka:

Rozmowa przy śniadaniu. Srebrne czajniczki, jedwabie, złośliwości i tak dalej).

Uzupełnienie: ubrana bywa, zgodnie z najnowszymi wskazaniem mody, na niechlujka. Strzępiasta spódnica z zamszu, koszulka z angielskich szmat, buty na drewnianych platformach. Całość barwna, lekka, wytworna.

Aha – pali mnóstwo, zawsze wszystkich częstuje. Nie dopina wielkiej torby z dżinsu. Frędzle.

Zna angielski, niemiecki oraz French (oral-genital style).

Astragale są to wałeczki. Oto co przyszło mi do głowy któregoś dnia. Napisałem sobie to zdanie na karteczce. Nosilem je przy sobie jak talizman. Potem karteczkę zgubiłem, ale zdanie pozostało. Jego tajemnicza bezznaczeniowość podniecała moją wyobraźnię. Astragale są to wałeczki – powtarzałem, ilekroć spotykałem się z czymś, co przerastało moje pojmowanie.

Aż któregoś dnia otwieram *Wielkie wygrane* Cortazara i czytam: astragale są to wałeczki. Ogromnie mnie to zmartwiło.

Okazało się, że astragale istnieją i że naprawdę są to wałeczki.

dlaczego pionki nie nazywają się poziomki?

próchnica charakterów

(...nie wiem czy zdajesz sobie sprawę z tego że obgryzanie paznokci może być przyczyną poważnej choroby żołądka ja też obgryzam ale zawsze wypluwam Astragale są to wałeczki różnica pomiędzy nami polega na tym że ty starasz się swoje życie przedłużyć a ja pogłębić Dlaczego pionki nie nazywają się poziomki jesteś bezsensowny jesteś jak ułamek

któremu zabrakło mianownika...)

– renata, w którym uchu mi dzwoni?

– w lewym

– jesus maria! ona zawsze zgadnie w którym uchu mi dzwoni! (renata do mnie: jaka ona głupia przecież jej dzwoni zawsze w tym samym uchu).

Ach! tym razem uśmiełem się, aż mnie głowa za uszami bolała.

## Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Misia Artystyczna

Teatr studencki „Nurt” wystawił *Operetkę* Gombrowicza. Szalenie mi się to podobało, szczególnie główna rola kobieca, która podawała biodra do przodu i w ogóle była niesłychanie zmysłowa. Znałem tę rolę kobiecą osobiście, więc jej zaraz o tych biodrach powiedziałem. Odparła, że nie miała o tym zielonego pojęcia, po czym natychmiast podała biodra do przodu.

Zupełnie nie wiem, co chciała przez to powiedzieć, ale bardzo mi się podobało.

Uważam, że niektóre kobiety stanowczo powinny podawać biodra do przodu.  
To umetafizyczna sylwetkę.  
I ćwiczy kręgosłup.

Amerykanie uważają, że po śmierci idzie się do Paryża. Mój brat uważa jednak, że po śmierci idzie się do Ameryki. Pytania: dokąd idzie Paryż po śmierci? brat po Paryżu?

Ameryka po bracie?  
dokąd idzie po śmierci  
śmierć?

Najbardziej jednak zdumiewa mnie fakt, że pół wieku temu „Orient Ekspressem” z Paryża do Stambułu jeździli: maharadża Rana i jego siedem żon, księżę Jussuf z Konstantynopola, król Piotr I z Serbii, Ferdynand – następca tronu rumuńskiego (ten sam, który NIE zrezygnował z tronu dla pięknej poetki Heleny Vacaresco), malownicza królowa Carmen Sylva, księżę Windsoru z panią Simpson oraz car Borys III z Bułgarii.

W Wenecji Mestre wsiadała do „Orient Ekspresu” Gruba Hilda z Aachen (czy nie brzmi to cudownie?!) i przez całą drogę wzbraniała się od wódki, aż wreszcie golnęła jednym haustem (Hilda goli haustem, nie łykiem!). Poza tym byli tam jeszcze jacyś księża, żadnego choćby biskupa. Jedyną osobą na poziomie była Kuzynka Domów Panujących, skoligacona z Wiktorem Emanuelem III. Mówiła o nim po francusku: Victor Emanuel, mon cousin, cet idiot..., a potem rzygała w kłopoty całkiem po polsku do samej granicy grecko-macedońskiej.

Najbardziej jednak było mi brak ciotki Augusty, pana Viscontiego, panny Tooley i zupy Hinza w puszkach (patrz Graham Greene: *Podróże z moją ciotką*, Inst. Wyd. PAX, 1970).

Philippe de Champaigne: *Trzy portrety kardynała Richelieu*. Kardynał o trzech twarzach: dwie po bokach, z profilu, trzecia w środku, en face. Pomysł dobry, ale niewiele z niego wynika. Po prostu trzy twarze jakiegoś mężczyzny, wszystkie jednakowo zimne, bezduszne. Brak metafory.

Na obrazach Rembrandta – Saskia, a później Hendrijke Stoffels  
na obrazach Jacka Malczewskiego – ruda, chimeryczna  
demonessa Maria Balowa  
na obrazach Rafaela – Fornarina.

Obsesja kobiety, tej jednej, ukochanej na wieki, jej odmienianie w deklinacjach dziesiąt ków płócien...

## **Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Pilnujący się Krzyś**

Lampa smukła, porcelanowa znakomicie współgra z twarzą jego zamyśloną, ascetyczną, uduchowioną jak z El Greca, lecz też dwuznaczną jakby, nie całkiem w zamyśleniu przecie, bo uważną ku obiektywowi, czujną, trzy czwarte, światło, cień – rzucony tam, gdzie należy – i uśmiech nieuchwytny, kącikiem posłany publiczności, z której istnienia, ach! nadto dobrze zdaje sobie sprawę. I coś – jakby iskierka, mgnienie złowieszcze, jakiś zdradliwy odbłask gigantycznego świństwa, perswazji nie ludzkiej, bezlitosnej, skrzętnie przed światem ukrywanej, lecz przecie nie dość skrzętnie, bo błysło to, mignęło, ozwało się stłumionym krzykiem w skromnie spuszczone lewym oku jego...

Jest wieczór jak zawsze wieczorem  
i siedzę, jak zawsze gdy siedzę.

Książki, które czytam, nudzą mnie śmiertelnie i wyjąwszy może chwilę prawdziwego zainteresowania *Dwustoma wierszykami na różne okazje* (Bydgoszcz 1920), zwyczajowo popadam w myślowy bezwład i ośpienie nad każdą zadrukowaną stronicą, bez względu na to, czy jest to Bułhakow, czy Pataczkówna. Wyciągam stare listy: „...moje z tobą porozumienie możliwe jest tylko przy użyciu mojej gorszej jednej trzeciej, tej, która godzi się opowiadać tobie głupie komplementy i chodzić z tobą na wódkę. Wyobraź sobie, jak w tej sytuacji cierpieć muszą dwie trzecie lepsze, na których głos głucha jesteś, głucha jak pień...” Tak pisałem kiedyś do Grubej.

Ach, Gruba!

Jej biust...!

## Opisanie Grubej

Cechował ją całkowity brak zmysłu obserwacji, wnioskowania i analizy, słowem tego wszystkiego, co składa się na pojęcie inteligencji.

Naiwność, rozumiana tu jako poważny defekt umysłowy (w przeciwieństwie do ufności, która bywa miłą osobliwością uczuć).

Całkowity indyferentyzm emocjonalny (poparty płaskostopiem oraz nijaką barwą uwłosienia).

Nadto była potwornie gruba (za parę lat będzie ją łatwiej przeskoczyć niż obejść).

Wszyscy ją zawsze dobrze rozumieli, przeto nikt jej nie szanował.

Uwielbiała romantyczne powieści. Wstrząsający sentymentalizm. Coś w rodzaju zakochanego wieloryba.

Fragment z jej listu: „...a przecież mogłam zwyciężyć, mogłam pierwsza paść ci na usta...”

Out, damned spot, out...

Ale jej piersi...

Były tak wielkie, że gdy wsiadała do tramwaju tylnym pomostem, z przedniego wypadł motorniczy i kilku pasażerów.

A gdy zdejmowała biustonosz, kurczyłem się w lubym przerażeniu, czekając straszliwego łomotu walących się na podłogę cyców...

Mnóstwo osób. Dym i alkohole. Co chwila ktoś goni po piwo. Jest Elka, która się we mnie kocha.

Na stole maszyna do pisania. Staromodna, marki Mercedes. Siadam i wystukuję szybko list do Elki: „elka łazankiewicz śni mi się po nocach. Budzę się zlany zimnym potem. Ostatnio postanowiłem w ogóle nie zasypiać. Niestety, pojawia się także w dzień”.

Czytam głośno. Elka jest bardzo zła, ale się śmieje.

To tylko pogarsza sytuację.

Śmiech jest oszczędny, pracowicie dziergany, jakby go siłą wlokła z jakiegoś ciasnego kłębka wściekłości.

Wreszcie kłębek zwycięża.

„...drugim sposobem na lęk jest nadmierna integracja lub dezintegracja...” (A. Kępiński: *Lęk*).

Przykład: ciocia Kazia przed wyjazdem do sanatorium pół dnia porządkuje w torebce drobne, chusteczki i legitymacje, aby W RAZIE CZEGO mieć wszystko na wierzchu. Gdy ma już wszystko na wierzchu, wsiada do pociągu. Robi się tumult i bałagan. Ciocia Kazia znowu ma wszystko na spodzie. Wpada w panikę. Pociąg rusza. Ciocia krzyczy. Pociąga hamulec, by wrócić do domu i znów poukładać sobie wszystko na wierzchu.

Refleksja ogólna (à rebours): uporządkować nagle bałagan to zdezorganizować się do końca.

Paolo Veronese – *Widzenie świętej Heleny*. Przy oglądaniu z bliska brak głębi w obrazie, dopiero z odległości widzi się całą grę cieni, światła, półtonów. Prawe ramię klęczącego w tle mężczyzny nagle wysuwa się na plan pierwszy dzięki lekko rzuconej na bark plamie świetlnej.

Pejzaże, pejzaże, pejzaże. Miliony zachodzących słońc, tryliony wzgórz i wzgórków, nieskończony ciąg strumyczków, rzeczek, wodospadów, pasterzy, krówek, cielątek... Oszaleć można od tej nieprawdziwej, płóciennie-olejowej natury... Jacob van Ruisdael, Jan van Goyen, Emmanuel de Witte... Boże! może Ty potrafisz poodróżniać ich od siebie.

Ja rezygnuję.

I jeszcze piękny, melancholijny *Portret poety* Palmy Vecchio...

Alte Pinakothek w Monachium.

Poszedłem tam tylko po to, aby obejrzeć autoportret Dürera. I nagle zgodnym chórem wrzasnęły na mnie nieszczęsnego ze wszystkich ścian naraz Cranachy, Holbeiny, Altdorfery i Burgkmairy, Rubensy i Kulmbachy, Tycjany i Rafaele, ryknęły na mnie oburzone moim zachowaniem: – A my?! co to znaczy! jakie ty masz maniery! chodź natychmiast, ale już!

– Do mnie! do mnie! do mnie! – wołają niezliczone Dzieciątka.

– A co ze mną?! a co ze mną?! – mażą się Maryje w grotach i wśród skał, na poduszkach i bez, w fotelach lub na stołeczkach. – A teraz ja! a teraz ja! – krzyczą święte Józefy, Sebastiany, Barbary i Łucje... Oooooooo!!! – uciekam przerażony, nie odszukawszy Dürera, ale szczęśliwy, że skórę uniosłem cało.

Nienawidzę malarstwa.

Lecz kocham niektóre obrazy.

Tak w ogóle to wolę jednak ludzi zamiast portretów.

Ale człowieka nie można sobie powiesić na ścianie.

I mieć na własność.

Dlatego obraz ma swoje dobre strony.

Nieszczęściem malarstwa są cztery ramy (powiedział Gombrowicz). Nieszczęściem literatury jest słowo (nie pamiętam, kto powiedział).

Wygląda na to, że najmniej ograniczeń posiada muzyka (dyrygent?).

Ach, ograniczenia, cudowne ograniczenia!

Niewola formy, z której rodzi się cierpienie.

A z cierpienia – sztuka.

Albo odwrotnie: ach, sztuka, cudowna sztuka!

Sztuka, z której rodzi się ból niewypowiedzenia.

A z niego – pragnienie formy, która ten ból utrwała.

Próbuję czytać książki, których autorzy udają, że poradzili sobie ze wszystkimi ograniczeniami. Albo jeszcze gorzej – którzy udają, że tych ograniczeń w ogóle nie ma.

I nigdy nie było.

Trudno jest czytać takie książki. Są nudne i głupie. Są nadęte jak mój znajomy Z.

Znajomy Z. jest bogatym dyrektorem. Ma żonę, samochód, dom. I święty spokój od spraw, które powoli zżerają innych ludzi.

Tych, którzy mają tylko żony.

Znajomy Z. uważa, że skoro w jego życiu pewne problemy nie istnieją, to najprawdopodobniej wcale ich nie ma. Są one wymysłami poetów i nierobów. Tych, którzy szukają usprawiedliwień dla własnej nieudolności i lenistwa. Praca rozwiązuje wszystko – tak uważa znajomy Z., który jest dyrektorem.

Czasem odnoszę wrażenie, że większość dostępnych mi książek piszą dyrektorzy. Albo przynajmniej ludzie, którzy mają żony, samochody i święty spokój od spraw, z jakimi boryka się reszta społeczeństwa.

Te książki są złe. Te książki tylko udają, że są książkami. Bo w istocie są one jadowitymi zwierzątkami. Te zwierzątka mają niewidzialne żądłka. I przez te żądłka wpuszczają nam do serc truciznę świętego spokoju.

## **Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Ewa Zaplątana**

Dusi się w ciasnej, mieszczańskiej atmosferze swojego domu, w którym brak życia przez nadmiar pralek, telewizorów i japońskich froterek.

Kocha swój dom z tej przyczyny, że jest to jedyny dom, jaki posiada. Dom nowych bogaczy. Ale też nienawidzi go za to, że nigdy nie zrozumie on i nie odwzajemni tej miłości. Miota się wplątywana wciąż w zależności i układy, których nie chce, lecz też bez których nie potrafi już żyć, bo jednocześnie, w ogniu tej bezpłodnej walki, wyhodowała w sobie mimowolne przyzwyczajenie do komfortu.

Jej bunt to dwie godziny lektury *Wilka stepowego*, gdy porwana dziką pasją podkreśla na czerwono płomienne słowa tego manifestu niezgody na świat, a zarazem tragicznej do niego miłości. Wierzy, że w ten sposób usprawiedliwia swój konformizm. Z czasem książka zastępuje jej duszę. Mówi jej słowami: „nieliczni, którzy potrafią się wyzwolić, docierają do absolutu i giną w jakiś dziwny sposób, są to ci tragiczni...”

I tak – swój własny tragizm zastępuje tragizmem cudzym, łudząc się, że nie przekracza tym sposobem granic lojalności wobec swojego przeznaczenia.

I wzruszona nagle, tragiczna, nakłada kosztowne futro i siada za kierownicą swego samochodu, by z nową siłą rzucić się w wir Spraw Nie Cierpiących Zwłoki, Telefonów do Załatwienia, Przyjaciół do Pogadania.

Lecz siła wyparowuje z niej po paru chwilach. Wraca do domu zmęczona, rozżalona, nalewa sobie wódki i leżąc na tapczanie usiłuje wygrzebać spod sterty śmiecia maleńką ocalałą cząstkę siebie...

Każda klęska wydaje się jej klęską ostateczną. Każde potknięcie budzi paniczny lęk o przyszłość. Każde zachwianie staje się ostatecznym upadkiem.

Tak oto funkcjonuje w niej brak pewności siebie, skojarzony z drugą niszczycielską siłą – z kompleksem winy wobec własnego życia, którego nie umie przeżyć tak, jak napisano w książkach...



A oto Moi Nieznajomi:

G e o r g i n i a S z p r y n c: babiszon rozlazły, człopiasty, bańkowaty, tłusta morda, ondul, cyce i brylanty.

W tle purpurowe zasłony, kinkiety pozłacane, dym gatunkowego tytoniu i pseudointelektualnego gładzenia.

Temat muzyczny: „Księżycu Alabamy, mówimy ci good-bye...”

A p o l i n a r y B e ł b e l: chuda pluskwa w palcie, z nosem w winkiel, urzędas wredny, tchórzliwy i zakatarzony. W tle brudne okno z widokiem na obłupane tynki.

Temat muzyczny: kapanie wody z kranu.

F l o r e n t y n a Z o ł z y: chuda paskuda z nosem i stopami. Płaski obcas! Higieniczna spódnica z zamkiem z boku! Guziczki! Guziczki!

W gruncie rzeczy dobra, więc ustawicznie przez wszystkich gnojona. Nieustanny pedagog ludzkości. Bez widoków. I bez męża. W tle haftowana makatka, filizaneczka z uszkiem i kaczuszką.

Temat muzyczny: człap, człap ogromnych bamboszy. Ewentualnie *Für Elise* fałszywie, jednym palcem.

M i k ł a ś W n ę t r u s i e ł k o: śliski tłusciosek z łapami i niebieściutkim ślipkiem. Tak, tak, tak, zaciera rączki i wsadza wrednego szpryngla prosto w brzuch.

Temat muzyczny: jazgot telewizora.

W tle komplet mebli „Kowalski”. Na pinezkach zdjęcia gołych bab.

T ę p i m o r d W a ł z e n b r u c h: nic dodać, nic ująć!

robić, nie gadać!

ryj, łapy i zad na szelkach.

tło: nie ma!

temat muzyczny: nie ma!

I nie będzie!

G i z e l l a „L a D i v i n a”: wiotki brunet w lejącej się żorżecie, perły, pończochy, długa cygarniczka. Twarz blada, sfatygowana. Puder. Worki pod oczami i tęskne spojrzenie spoza mgły.

W tle: srebrny wiraż kontuaru, butelki, smokingi, adria. Muzyka: valse-hésitation „Mélancolie”.

S w a s t y k a H a c k e n k r e u z: kostium zasadniczy, skąpy, z tweedu.

Męskie półbuty, sznurowadła.

Wąsik nad górną wargą.

Tło: wszystko jedno.

Muzyka: bez znaczenia.

Szkoda, że nie znam swoich nieznajomych. Są to postacie z nigdy nie napisanego dramatu. Są to postacie ze snu, z fikcji, z tego małego, prywatnego teatru, który każdy z nas w sobie nosi. Są parodiami, fantomami, są odbiciami krzywych luster. Czasem biorę do ręki takie lustro. Widzę w nim spokojną, uśmiechniętą, zadowoloną z siebie twarz.

Moją twarz.

Jeszcze jeden portret w galerii nieznajomych.

Zawody lekkoatletyczne. Podstępnie zwabiony przez Szwagra siedzę na trybunie, żuję gumę, patrzę, siedzę, patrzę, gapię się, próbuję myśleć, ale wrzaski, klepanie się po udach, klepanie sąsiadów po plecach, klepania, klepania, wrzaski.

Siedzę. Skok o tyczce. Coraz wyżej.

Pytanie: dlaczego umówiono się, aby podnosić poprzeczkę?  
można skracać tyczkę.

Żołnierze piją piwo. Chłopiec o twarzy Helmuta Bergera strofuje psa.

Upał.

Guma do żucia.

Dziewczyny, chłopcy, nogi, nogi, ramiona, brzuchy, karki, spocone, napięte twarze. Mięśnie. Ściągną. Żyły.

Wszechpotęga mięśni. Myśl sprowadzona do funkcji bodźcotwórczej dla kawałka mięsa, które wydusza swe możliwości na wylot, do dna, do obłędu. Piękno ciała... mój Boże! Te potworne dziewczuchy z biodrami, brzuchami, w obwisłych dresach, miotające się z dyskiem lub kulą pośrodku stadionu? Ci ohydnie powykręceni na obraz i podobieństwo swojego wroga chodździarze? Te gęby śliskie, wymiotne, pod zlepionymi od potu włosami? Ta wściekłość w oczach, kiedy konkurent wygrywa? Ta zawziętość spinająca mięśnie do jeszcze jednego, jeszcze dłuższego skoku, o którym za godzinę, dwie wszyscy zapomną?

Jeden, tylko jeden naprawdę piękny, lekki, smukły, frunący nad bieżnią pewnie i chyżo, arystokratyczny we wzgardliwej pewności siebie, w drwiącym wydeciu ust. Już wołam, już biję brawo, porywam się z ławki – biegnie, leci, piękny, zwycięski, krzyczę brawo! brawo! gdy pada na trawę, dyszy, śmieje się, brawo! brawo!

Zwycięza piękność moja z ateńskiego gimnazjonu, spod dłuta Praksytelesa, mój Antinous, brawo! brawo! mój dumny marmurowy Meleager, boski Tezeusz z błyskiem szczęścia w oczach, z kropelką dojrzałej goryczy na wargach... Po chwili zmęczony, z ręką wokół ramion kolegi, przechodzi obok mojej ławki. Zastygam wzruszony, nasłuchujący...

– No co, Jachu, ty ściągniesz jakieś dupy, ja trochę chlania i porządźmy sobie wieczorem...?

O Boski Kretynie! Bezmózgie Śliczności! Won! Wynoś się, paskudo, faflu, brudasie!

O Piękno cwane, przekupne, o Urodo – handlarko błyskotkami, którym jakże chętnie dorabiamy duszę...!

Byłem w Krakowie w poszukiwaniu protekcji. Odwiedziłem pisarza W. W., z którym umówiła mnie moja literacka ciocia L.

Pisarz spoglądał życzliwie oraz uśmiechał się z dobrocią. Jakież szlachetny to mąż!

Ileż słów pięknych pada, ile uczuć serdecznych objawia gest każdy!

Pisarz mówił o moich wierszach.

Potem ja mówiłem o jego książkach.

Pisarz wyraźnie się ucieszył i zaraz przestał mówić o moich wierszach.

Potem ciocia mówiła o książkach pisarza.

Potem pisarz mówił o zaletach cioci.

Potem ciocia wzięła kruche ciasteczko i zrobiła wrażenie zawstydzonej.

Potem weszła żona pisarza i powiedziała, że kran przecieka.

Potem siedzieliśmy jeszcze chwilę.

Byłem w Krakowie w poszukiwaniu protekcji. Kupiłem parę butów podhalańskich z juchtowej skóry. Poszedłem na Wawel. Ciocia wzdychała z powodu historii. Byłem też w muzeum. Ciocia martwiła się z powodu Madonny (farba odpada i w ogóle... jakoś tak źle ustawiona). Poszedłem na Planty, gdzie ciocia wzdychała z powodu upału.

Potem rozpadał się deszcz.

Wzdychałem z powodu pęcherzy. Ciasne buty to wróg numer jeden sztuki.  
Podobnie jak pusty żołądek.

Obiad jadłem u Wentzla. Kawę piłem w Europejskiej. Sok pomarańczowy w Noworolu, gdzie dosiadł się do mnie homoseksualista. Niestety, musiałem już wyjeżdżać.

Z serii Rodzina przed Telewizorem:

– Był już teleturniej?

– Był.

– Aha, będzie, to świetnie.

– Ojej, przecież mówię, że był.

– Ach był. A ciekawy?

– Nie. Taki sobie. Pytali jednego faceta, kto napisał *Cyrulika sewilskiego*.

– Rossini.

– Nie. Chodziło o innego *Cyrulika*. Trzydzieści lat przed Rossinim.

– Bizet.

– Nie. Nie Bizet. Bizet też napisał *Cyrulika*, ale jakiegoś innego. Zdaje się z Tyrolu.

– Ojej, to nie był cyrulik, a ptasznik!

– Co, ptasznik? To Ziehrer, a nie Bizet.

– Kto? Cirer? Nie cirer, a cyrulik!

Ciemno. Mgła. Nic nie wiadomo.

Jak zwykle zresztą.

*„Nie ma chyba rzeczy obojętniejszej niż dom, w którym się kiedyś mieszkało, i wiara, którą się straciło. Dom nadal stoi, mimo że dawny mieszkaniec zmienił się we włóczęgę, wiara nadal żyje w sercach innych ludzi.”*

(M. KUNCEWICZOWA – *FANTOMY*)

## Rozdział czwarty

### Italia

Z początku myślałem, że do Italii nie ma powrotów. Pierwsze dni były okropne, mimo że – podobnie jak poprzednim razem – zatrzymałem się u Silvia ( – piekło jest chyba krainą nigdy niezaspokojonych pożądań...)

– I think you are the hell – odpowiada Silvio).

Każdy plac, każdy zaułek, wszystko było przeszłe, minione, utopione w tle jakiegoś sentymentalnego kiczu: Carmen i ja, roześmiani, słoneczna szosa do Amalfi, gruby Roberto za kierownicą, Sean nuci jakieś wiersze.

A teraz: ja sam, nieswój, rozszczępiony w czasie, a więc obcy sobie, odległy, w dotkliwie jednorodnej przestrzeni. Schody Hiszpańskie, na których siedzi Sean z gitarą, a przecież go nie ma, siedzę ja, znów w tym samym miejscu, któremu czas odbiera ludzi, czyli sens, wobec absurdalnie nie zmienionych przedmiotów.

I zdumienie, że kiedyś potrafiłem oniemiać z zachwytu nad potrzaskanym aniołem z marmuru lub nad Madonną namalowaną na ocalałym skrawku ściany.

A jednak – Silvio okazał się silniejszy niż przeszłość. Z ulgą pozwalałem prowadzić się do knajp, gotowałem mu spaghetti i słuchałem jego wywodów politycznych na przemian z Vivaldim i *Tetydą na Skyros*.

Słowiańska melancholia ustąpiła przed łacińską żywiołowością – powiedziałyby pewnie moja ciocia z Glasgow ( – I po co ty znów do Rzymu jedziesz, czy naprawdę wydaje ci się, że można walczyć z czasem, że specjalnie dla ciebie pozostawi on wszystko nienaruszone wraz z ludźmi, którzy będą cierpliwie czekali w tych samych miejscach, i gdy znów przyjedziesz, będą na powrót podejmowali urwane wątki, czynili znajome gesty, prowadzili cię do znajomych restauracji po to tylko, abys mógł powiedzieć: ach, to cudowne, nic się nie zmieniło...)

Przecież właśnie zmienność, właśnie przemijanie jest największym cudem życia, i tylko głupcy nad tym boją, głupcy jak ty, co chcieliby, aby życie było raz napisaną książką, którą można sobie otwierać na dowolnej stronie. A więc rzuć tę książkę o Włoszech, jeżeli nie umiesz pogodzić się z przemijaniem. Rzuć ją i jedź do Hiszpanii, do Australii, na Księżyc, gdziekolwiek, gdzie nie byłeś jeszcze. I zacznij tam jakąś zupełnie inną opowieść. Ale – nie wracaj...).

Mikroskopijne mieszkanko Silvia. Benny Goodman z płyt. Maszyna do pisania. Papierosy. Szklaneczka coli. Kotka Gwadiana pręży się pośrodku słonecznej plamy. W otwartych szeroko drzwiach balkonu kocur Jenisej bawi się tubką olejnej farby. Pędzle w glinianym kubku. Na białych ścianach dziwne, niespokojne plamy – obrazy Silvia, który nie chce ich publicznie wystawiać, bo „ludzkość nie dojrzała jeszcze do takiej sztuki”.

W dole, w słońcu i zgiełku kłębi się Rzym. Uliczki wąziutkie, splątane, koty, psy, ludzie, targowiska, sklepiki, kwiaty, winogrona rozdeptane na bruku, zapach ryb w rzeźskim, wysyconym słońcem powietrzu. Włoskie miasta wydają się dla Włochów za ciasne. Logika nakaływałyby tu raczej rozmach i przestrzeń, jak na przykład w miastach niemieckich lub w Ameryce. Ale jest odwrotnie. Ciasnota podwaja energię Włochów, pobudza ich żywotność, wzmacnia naturalne im pragnienie swobody. Zaś szerokie ulice i rozległe place miast niemieck-

kich mają odmienne działanie: narodowi uwikłanemu w wewnętrzne sprzeczności i mitologie pozwalają łudzić się swobodą i niezależnością, stwarzają pozory wielkości i ekspansji. Prawdę jak zwykle zdradza tylko noc. Tam, na północy, pełna elektryczności, spleenu i erotycznych żalów. Na południu zaś, w Rzymie, w Neapolu, na Capri czy w Sorrento noc to czysty, naturalny, bo obywający się bez sztucznych podniet żywioł: śmiech, erotyzm przelewający się leniwym, nieświadomym własnego powabu ruchem lędźwi przechodzącej dziewczyny, perlący się kroplami wina na roześmianych wargach młodego marynarza, ruchliwy, niespokojny kolor rozwianych na wietrze sukien, rozkołysanych lamp ulicznych i – muzyka tego języka, którym jednakowo czule, słodko, przymilnie mówi się o polityce, o cenach warzyw, o piosenkach Giglioli Cinquetti i o miłości.

Jeden domek wysoki, drugi maleńki, wciśnięty między dwie barokowe kaplice. Tu nawet barok ma swój sex appeal: jakże jest różny od kolubryniastych klasztorów austriackich, od kapiących złotem niemieckich katedr.

Za rogiem placyk, na którym wśród skromnych ścian zakwitł nagle olbrzymią białą fontanną czyjś pański kaprys: marmurowa chimera, jak ze złego snu, nimfy i trytony pną się po spienionym kamieniu na szczyt, gdzie wpleciony w niesamowity gąszcz kwiatów i fantastycznych pnączy siedzi Sylen, ironicznie uśmiechnięty, z fletem gotowym do grania... (niezapomniany *Pijany Sylen* Rubensa! Cóż, jeżeli jednak, jednak... tu wdzięk i tajemniczość, tam zaś, poza samym Sylenem śmiesznym, smutnym i mądrym, już tylko obrzydliwe kłębowisko mięsiwa, obwisłych cycków i pośladków, rozlewających się brzuchów i sflaczałych mięśni...).

Następny placyk, a przy nim ukryta w cieniu dwu kamieniczek niepozorna fasada. Na zaśniedziałych drzwiach koślawy napis: Museo Privato (brzmi jak najbardziej obiecująco, jak każda prywatność każdej metropolii). Wchodzisz więc, płacąc znudzonemu staruszkowi za obskurnym stolikiem jakąś horrendalną sumę. Mijasz kruchtę (pleśń, chłód i niepokój) i nagle otwiera się przed tobą tajemnica: skromna fasada odsłania swe marmury i złocenia, w stłumionym świetle szepczą alabastrowi święci, w bocznej niszy przezroczysta Madonna płacze najprawdziwszymi łzami, tańczą lekkie anioły pod ginącym w mroku sklepieniem. I słuchasz krwawej historii ostatniego z rodu, który chcąc Boga przebłagać za swe zbrodnie, wybudował tę kaplicę. Bocznymi schodami zstępujesz do podziemi.

Ze szklanych trumien szczerzą się mumie nieszczęsnych ofiar książęcej fanaberii (zamordował około setki – szepce staruszek – chciał ich unieśmiertelnić ziołami, wychodziło wciąż na opak, zmarł na tajemniczą chorobę, gdy go otwarto, zamiast serca miał cuchnące jezioro czarnej ropy).

– Było też niemowlę, ale się rozsypało przy przenoszeniu – informuje na koniec.

Odprowadza cię do wyjścia, nie przyjmuje napiwku. Gdybyś nalegał, może opowiedziałby ci jeszcze jedną tragiczną historię pięknej Estelli, której pełne rozpaczy spojrzenie odprowadza cię z zawieszonoego nad drzwiami portretu.

I nagle, nie wiedzieć jak, wpadasz w sam środek tak zwanego eleganckiego świata. Via Vittorio Veneto, żywy trup włoskiej dolczewity lat pięćdziesiątych. Lawirujesz między marmurowymi stolikami, którymi gęsto zastawiony jest chodnik.

Lecz na giętych krzeselkach nie ma Mastroianniego, Anity Ekberg, nie ma Moravii, Felliniego i malarzy z via Margutta. Za to siedzi tu dzisiaj tłusty bankier z Hanoweru.

I jego tępa od złota i brylantów małżonka.

– Dlaczego jesteś smutny?

– ja? smutny? skąd. ja jestem tylko liryczny...

Wyjazd do Herkulanum. Zupełnie nie wiem po co.

Po co mi kamienie, graty, po kiego diabła włóczyć się znów wśród cegieł i potrzaskanych mozaik.

Że piękno?

Ha! Oto jeszcze jedna ugoda społeczna, jeszcze jedna fikcja, jeszcze jedno udawanie, że to, co stare i zakurzone, co pod byle dotknięciem rozlatuje się w proch, co przegniłe i strupieszale, umie – i MA PRAWO – nadal być piękne.

I te okrzyki w piętnastu narzeczach: oh! lovely! wunderschön! bello!

Jedno miejsce, tylko jedno miejsce w całym tym rezerwacie martwoty mógłbym nazwać pięknym. Nieważne, że były tam resztki jakiejś bramy, tympanon wsparty na dwóch kolumnach, cudem zachowujących równowagę na samym skraju urwiska. Nieważne, że kolumny chwytały w swe ramy pejzaż godny tokańskiego mistrza.

Ważny był stół.

Pośrodku mikroskopijnego patio marmurowy stolik, obalony tak, jak gdyby przed chwilą ktoś gwałtownie zerwał się od śniadania. Lecz zaraz wróci, aby go podnieść.

Tylko tu poczułem obecność człowieka. W tym bezdusznym nekropolis, gdzie śmierć jest wszędzie, nawet na twarzach przejętych turystek, nagły, niespodziewany podmuch obalił marmurowy stolik.

Czy można to nazwać cudem nieśmiertelności? Gospodarz, który po tysiącu lat powraca na swe podwórko, aby uporządkować bałagan... Czy doprawdy udało mi się wreszcie trafić na ślad Człowieka Nieśmiertelnego? Człowieka, który zawsze pozostaje obecny w swoim dziele?

Człowieka, który swą niezniszczalną obecnością nadaje sens kupie gruzu? Martwemu posagowi? Mozaice, na której zaschły ślady krwi? Człowieka, który nie pozwala się unicestwić swemu własnemu dziełu? Nie daje zepchnąć się do roli wytwórcy, którego zadanie kończy się z chwilą ukończenia dzieła, lecz zawsze pozostaje TWÓRCA, czyli kimś, kto zawsze w swym dziele pozostaje obecny, jako że utrwała w nim przede wszystkim siebie i mniej mu o kamień idzie, a bardziej o duszę.

Który nie ginie nigdy wśród wyrzeźbionych własną ręką marmurów, wśród domów przez siebie wzniesionych, pośród kanonów i praw przez siebie ustalanych...

Trudno powiedzieć, od kiedy kultura, wytwór ludzi, zaczęła tych ludzi unicestwiać, sprawiać, że z jej panów – stali się wyrobnikami.

Sytuacja paradoksalna: człowiek przywalony swym własnym wytworem. Skuty moralnością, którą sam wymyślił. Rzucany na kolana przed pięknem, co do którego sam postanowił, aby było piękne.

Nawet gdy wszystko w nim krzyczy NIE!!!, nie podoba mi się ta tłusta baba na obrazie, nie cierpię jabłek i winogron na kryształowych paterach, nudzą mnie wiersze o miłości, nie nawidzę smyczkowych kwartetów. NIE! NIE! NIE! nawet gdy wszystko w nim całą siłą ocalałej podświadomości pcha go do brudu i występku, jeżeli po nocach śnią mu się gigantyczne świństwa, a za dnia lepi się spojrzeniem do damskich pośladków, to jednak wciąż, mocą niebotycznego idiotyzmu pchany, mówi TAK.

Rezygnuje co dzień i co krok ze swego zbuntowanego, paskudnego człowieczeństwa, zdegradowany i opluty przez to coś, co sam wymyślił, a co już nie pozwala mu BYĆ i STANO-

WIC o sobie, lecz wciąż, pokolenie po pokoleniu, epoka po epoce, spycha go dalej i dalej na peryferie własnej osobowości.

Stąd hipokryzja.

Naturalna samoobrona jednostek dość silnych, aby zgodzić się na siebie, zbyt jednak słabych, by wynik tej ugody przeciwstawić obiegowym normom.

A więc: szaleństwo.

Ukochane dziecię dwudziestego wieku.

Obłąd jako rozpacz inności, która nie potrafi być inna.

## Filmy Kena Russela

Po filmie *Boy Friend* chodzę jak pijany, nucąc zabawne melodyjki.

Tak właśnie wyobrażam sobie *Swój Pierwszy Film* (którego oczywiście nigdy nie nakręce). Łobuzerska ironia, śmiech bezlitosny, znęcanie się nad trupem przeszłości tylko przez żal do niej, że zgodziła się odejść. Że jest już tylko trupem. I że nie można, jak kiedyś, tańczyć do upadłego shimmy i charlestona, że nie można wygłupiać się, bujać i udawać.

Bo nasz czas jest POWAŻNY.

I TRAGICZNY.

Nie wolno się śmiać zwyczajnie, z chęci śmiechu, a jeżeli wolno, to pod warunkiem, że będzie to ŚMIECH z PODTEKSTEM (tu miejsce na wyświechtane gorycze typu: epoka wojen atomowych, totalne zagrożenie ludzkości i tak dalej).

Dlaczego zwykły radosny śmiech brzmi dziś tak podejrzanie? I ja też, niezależnie od wszystkiego, co tu piszę, kogoś po p r o s t u śmiejącego się byłbym skłonny posądzać o debilizm lub przynajmniej o naiwność, przysłaniającą nieco jego bogactwa myślowe.

Śmieje się – a więc nic nie widzi. Nic nie rozumie.

Ktoś inny jest poważny – a więc dojrzał prawdziwy tragizm życia. Jest mądry.

Czy jednak prawdziwa, głęboka mądrość nie polega na tym, że widząc, zachowujemy się tak, jakbyśmy nic nie widzieli. Że nie zdzieramy niektórych masek, lecz nadal pozwalamy im mieć tych, których mieć powinny, aby nadal byli szczęśliwi...?

I czy zadaniem mądrości – tej, która czuła się dość silna, aby rozbić otoczkę złudzeń i oko w oko stanąć z tak zwanym tragizmem istnienia – nie jest wobec tego zatrzymać w pół drogi tych, co są za słabi, aby unieść ciężar prawdy? I sprawić, że nadal będą się śmiać, że w mroku zapalą nam czasem iskierki nowych złudzeń.

Czyż naczelnym obowiązkiem człowieka nie jest dawanie życia?

Czyż śmiech nie jest życiem?

Czy życie nie powinno być śmiechem?

Czy dawać życie – to tylko zapładniać się i rodzić?

A wtedy po co nam tyle dzieci, skoro każde z nich skazywać mamy na powolny rozkład w melancholijnych jadach naszej epoki! Gdy ohydna Informatyka i Propaganda wyje, ryczy z każdego głośnika, wypełza z każdej gazety, syczy, przestrzega z każdego transparentu, z każdego afisza: ludzie paleni, ludzie wieszani, ludzie mordowani, zawsze i wszędzie krew, nienawiść, walka systemów i walka wręcz, alkoholizm, prostytutka, dekadencja i degrengolada... Nie. Z tym nie ma sensu walczyć, bo to tak, jakbyś chciał walczyć z chorą tkanką, która już do tego stopnia rozrosła się wśród ludzi, że chorej komórki od zdrowej nie odróżnisz, a tylko czujesz, że cały czas z niewidzialnych źródeł sączy się w ciebie trucizna odbierająca



wolę walki, siłę i nadzieję. Wtedy jedynym ratunkiem staje się instynkt samozachowawczy. W lęku o własne przetrwanie, choćby tylko biologiczne, zamykasz radio, drzesz w strzępy gazetę, uciekasz na ulicę, gdzie ryczy następny głośnik. Ogłupiały padasz na łóżko, zasypiasz dzięki tabletkom, budzą cię poranne wiadomości...

Człowiek dwudziestego wieku.  
ARTYSTA dwudziestego wieku.

Muzy uciekają z nas, uzbrojonych po zęby okrutną, niepotrzebną wiedzą.

(...a on, tak, właśnie on, ten poeta  
co zginął tragicznie  
przywalony rzeczywistością  
uduszony własnym krzykiem  
To on właśnie miał  
zamiast serca  
mały cybernetyczny  
ołtarzyk...)

Inne filmy Russela: *The Devils*, *The Music Lovers*, *Women in Love*, *Lisztomania*...

Czyżby jedyny szalony, wyzwolony z mitów, taki, jacy bywali kiedyś najwięksi artyści...? Poeta, który zgodnie z marzeniem Wilde'a „wyżył się w pełni i całkowicie, wyrażając każdą myśl, urzeczywistniając każde marzenie...”

Tylko gdzie ta fala radości, która według Wilde'a powinna po kimś takim spłynąć na świat, nawracając go na słuszną drogę helleńskich ideałów?

Jesteśmy jak zatruta czarna woda, w której umiera najpiękniejszy kwiat.

Nie dość, że siebie nie potrafimy ocalić, to jeszcze niszczymy wokół to wszystko, co jest choć trochę mniej spodlone od nas. Cóż dopiero, gdy jest to cudownie piękne i subtelne, jak ta scena z *Women in Love*, gdy jeden z przyjaciół nagi idzie przez łąk zboża.

Albo tamtych dwoje, zakochanych i nieszczęśliwych, wyłowionych w uścisku z dna kanału, podczas ogrodowej fety, gdy wszyscy myśleli

że wciąż jeszcze  
niesie ich różowa łódeczka  
przez czarne  
niespokojne wody  
(ich miłości...?)

Russel nigdy niczego do końca nie dopowiada. Jego żywioł to dwuznaczność, aluzja, ironia, to pastisz – przewrotna gra ze spuścizną, z tradycją. Wiek dwudziesty to rzeczywistość przymusowa, której Russel nienawidzi za jej histeryczną nieprawdziwość, lecz też której poddaje się z lubością masochisty, bo wie, że nie tylko eliotowska zimna dekadencja, ale i wściekłe wgryzienie się w sam środek świata, aż do wymiotu, aż do obrzydliwości, sprowadzi ten istotny dystans do kultury jako całości i do cywilizacji jako dziedzictwa pokoleń. Szalona kolorystyka, szatańskie wizje jego filmów to właśnie rezultat takiego ryzykownego flirtu z terażniejszością, o której najchętniej opowiada w czasie przeszłym. To autor sztuki, któremu dobrze znane jest zakończenie wymyślonej przez siebie intrygi.

Diabelski bal w Loudun, sceny z zadżumionego Londynu, Venessa Redgrave i wrzątek wlewany do pochwy, Glenda Jackson i dom obłąkanych, wisielcy, zbrojeńcy, dzikość.

„Wszystko już było” – rzekł Ben Akiba, a **za** nim powtarza Russel.

A potem nagle czysta poezja uczuć w *Zakochanych kobietach*. Jednak i ta poezja umie być złem, tak samo jak zło zawsze jest u niego czystą, diabelską poezją (Genêt? znowu? więc jednak odszukali się we mnie, na jakimś podejrzanym przedmieściu mojego niewyraźnego ja...).

I tak – poezja, a może raczej miłość, staje się odkupieniem okrutnego świata. Płacz niespodziewaną klamrą zamyka diabelską orgię. Oto jakie zakończenie intrygi szykował autor, oto jaka jest jego odpowiedź na wybrzydzenia estetów i humanistów...

Pytanie dnia: czy Russel urodził się pod znakiem Skorpiona?

Uzasadnienie pytania: bo właśnie spod tego znaku pochodzi ta niesłychana, urzekająca swym rozmachem rozpiętość uczuciowa, ta namiętna fascynacja WSZYSTKIM, to artystyczne, obrazoburcze COŚ, co pozwala tworzyć...

(arcydzieła?).

Zaś po Russelu – Losey. Angielskie trawniki, cylindry, tiurniury i wielce kunsztowna sublimacja uczuć. Cała waliza wytwornych spięć i problematów (jak mawiała moja ciocia, bo „problem” zdawał się jej nie dość elegancki). Z *Romantycznej Angielki* wychodzę rozżalony na Glendę, że dała się zrobić w salon. I na pięknego jak zawsze Helmuta Bergera: żal było patrzeć, jak jego sataniczny wdzięk gaśnie w zbyt gustownych wnętrzach, a perwersyjna uroda matowieje pod szminką i pudrami.

I tak, gdyby nie Russel, można by pomyśleć, że pięćdziesiąt lat po Galsworthym i już dobrych sto albo i tysiąc po Mniszkównie salon wciąż tryumfuje w sztuce. Elegancja, dobry ton i manieri zdmuchują światelka gniewu tłące się tu i ówdzie.

Moja siostra powiedziała kiedyś jedno z najmądrzejszych zdań o sztuce współczesnej:

— wiesz, dlaczego jej nie znoszę?

Bo ona już nie potrafi się gniewać.

Pytanie: jak bardzo umie się gniewać Andy Warhol? Portret puszki z zupą ogórkową to bunt czy konformizm?

Sprzeciw wobec rzeczywistości czy pokorna zgoda na nią?

Bunt przeciwko sobie, że dlaczegoż by puszka nie miała budzić we mnie głębszych wzruszeń?

Czy może zrezygnowane pogodzenie się ze sobą, ze swoim smutnym ubóstwem, że puszka i tylko puszka, i już zawsze tylko puszka...

W tym momencie pora znów na Simoneę, której, ach! jak bardzo nie znoszę!... lecz razem – chwilo egzystencjalna, trwaj! jesteś piękna, gdy z twarzą Simony i w jej lekkim palcie na skraju zgiętego krzeselka przysiadasz

i zapaliwszy papierosa  
patrzysz z lekkim półśmiechem  
na tajemniczy wszechświat  
który cię dziś  
o różowym poranku  
na tarasie kawiarni Cluny  
nic to a nic  
nie obchodzi...

*„Tak więc niemal wszystko na świecie jest, można by rzec, jak dziurawy orzech: samo jądro trafia się rzadko, rzadziej jeszcze tkwi w skorupie. Szukać go trzeba zupełnie gdzie indziej...”*

(A. SCHOPENHAUER – *AFORYZMY O MĄDROŚCI ŻYCIA.*)

## Rozdział piąty

### Bartuchna

Bartuchna wygląda w mundurze jak oskubana gęś. Ja wyglądam w mundurze jak sanacyjny oficer.

Co jednak znaczy odpowiednia sylwetka.

I szkła w drucianej oprawie.

Bartuchna w ogóle jest trochę dziwny. Zazdrości mi tak, jak gdyby nie zazdrościł. Zarzuca mi coś tak, jak gdyby wszystko było w porządku. Cały jest w niedomówieniach, w subtelnym aluzjach, poza nawiasem i między słowami. Sprawia przeto wrażenie kogoś, kto nigdy się nie narodził, mimo że porusza się wśród nas, czy może raczej – jakby był cieniem kogoś, kto istniał z krwi i kości, ale dawno temu i już go nie ma pośród nas. Cieniowi pozostało parę przyzwyczajęń, parę odruchów swojego dawnego pana. I szuka go wciąż tak, jak gdyby wcale go nie szukał. Jest ćwiercią kogoś, kto byłby wspaniały i wyjątkowy, gdyby istniał w całości. I ta ćwierć nieśmiało przysiada na brzeżku pustego, zarezerwowanego dla kogoś innego obszaru, po którym hulają wichry i zimne melancholie. Zmrożona tym chłodem ćwierć nie dość, że nie próbuje nawet wtargnąć na ziemię niczyją, ale wręcz kuli się przeproszająco po swojej ubogiej stronie i czeka, czeka na zbawiciela, upatrując w nim swą jedyną szansę zaistnienia.

Chyba że alkohol, chwila jakaś wrzaskliwa, knajpiana, ludzie, śmiech, sztuczna otucha, złośliwa prowokacja... Wtedy ćwierć budzi się z uśpienia i skacze na oślep, wrzeszczy, śmieje się, tłucze jakieś butelki, łamie meble. Po chwili, przerażona własną odwagą, kapituluje, chowa się za węgiel, macha białą flagą.

I taki jest Bartuchna, blady, smutny z tą swoją trójkątną, ciągle zmęczoną twarzą, która zmęczona jest w taki sposób, jakby o to właśnie w życiu chodziło.

Czasem mam ochotę wrzasnąć, skłąć go, dać mu pięścią między oczy: obudź się! znajdź w sobie te ciepłe węgielki, które może uda ci się jeszcze rozdmuchać...

Albo zacznij w coś wierzyć, bo tak też można oszukać swoje nieistnienie. Wiara zamieszka w tobie, wypełni opuszczone przez ciebie ciało. Zacznij zbierać znaczki, zakochaj się, założ hodowlę jedwabników! Biegaj nocą boso po trawie, kup sobie hantle, weź na przeczyszczenie.

Tylko wreszcie zrób coś, na Boga, nim porwie cię pierwszy jesienny wichur...

Tak oto przez lęk życia dochodzi się do swej własnej nieprawdziwości. Godzimy się na swój stereotyp, aby żyć bez lęku. Aby żyć bez ryzyka. Aby trwać w tym bezpiecznym układzie, który dawno temu wymyślili za nas inni. I z czasem ta cudza inność staje się nasza własna. Niepostrzeżenie asymiluje się w nas obca osoba, którą dla wygody sami sobie narzuciliśmy. W imię świętego spokoju rezygnujemy z walki, godząc się na rozpanoszoną w nas obecność. I święty spokój zakłada nam kaptcie, wtyka gazetę do rąk, sadza nas w fotelu jak bezwolne manekiny, z których wytoczono duszę.

Twarz nam szarzeje. W oczach pojawia się smutek klęski. Święty spokój okazuje się być pokojem, w którym nas na resztę życia zamknięto.

A gdy przychodzi chwila opamiętania, nas już najczęściej nie ma. Odeszliśmy cisi i pokorni, nie zostawiając po sobie bałaganu, aby nasz następca źle nas nie wspominał.

...kryształowe gitary, siedmiostrunne noce,  
ogrody pościelone lekkim tiulem rosy.  
I wnet na trwożnych liściach srebrne panny  
kładą owadom do snu cichego maleńkie pierwiosnki...

A więc znów jest wiosna, czyli tak zwane nowe życie. O kretyńska bzduro uogólnień! Jadowita zmijo złudzeń!

Żadne nowe życie nie zrodzi się w tym samym zakurzonym pokoju, w tym samym uśpionym sercu, w tej samej do cna skłamaney duszy. Zbyt skorzy do usprawiedliwień czekamy wiosny, która nas oczyści, czekamy wiosny, by znów jej imieniem nazwać nasze nigdy nie zrealizowane nadzieje.

Jest więc wiosna – znów jakaś szansa, mgliste przecucie czegoś innego, czegoś, co nas od początku odmieni.

Ale miłości przekwitną i pierwszy żółty liść pojawi się na skroni. Rzucamy precz nadzieję, znowu o jeden żal smutniejsi, znowu o jedno życie starsi...

...dopóki nie roztają lody... wtedy znów...

(ha! kółko się zamknęło.

i co?

i nic.

bo prawdę mówiąc wiosna kwitnie jak oszalała.

wydaje mi się jakby kwitła BARDZIEJ

niż poprzednimi laty

i powietrze BARDZIEJ przejrzyste

i wiatr BARDZIEJ wietrzysty...

tak. tym razem wiosna jest zupełnie inna.

wyjątkowa.

i tej wiosny

NA PEWNO

wydarzy się

COŚ...)

## Ciotka Eda

Jeszcze jedna w tej poczwarnej kolekcji, w tym schizoidalnym sadomasochizmie Piękna. Jeszcze jedna uwieszona wiosną wilgotnych kiści bzu, rozsiewająca wokoło różaną wodę serdecznych spojrzeń i uśmiechów, uwielbiająca wszystkich jednakowo i każdemu gotowa oddać wszystko, z wyjątkiem... no właśnie. Tu kończy się Piękno, a zaczyna ciotka Eda.

(sama rozumiesz, kochana, że nie mogę skoczyć na ratunek twemu synkowi, mogłabym sukienkę zabrudzić, a to przecież prezent od Zbysia – tu czuły uśmiech w kierunku męża, któremu i tak wszystko jedno)

(ach, wiesz, że dla ciebie wszystko bym zrobiła, ale nie mogę, naprawdę nie mogę wpaść i odciąć cię ze sznura, to okropne, ale tyle wciąż pracy, a poza tym mogłaś wcześniej powiedzieć, że zamierzasz się wieszać)

(to straszne, że taka u was bieda, kochani, jestem doprawdy wstrząśnięta, wpadnijcie kiedyś, to sobie pouczujemy, tylko nie dziś, kochani, nie dzisiaj, bo jestem już umówiona)

(jak tylko wam czegoś zabraknie, to dzwońcie, wpadajcie, wiecie przecież, że można liczyć na starą ciotkę, ale dopiero po wakacjach, albo lepiej za rok, może lepiej na drugim świecie, tak, umówmy się na później, powspominamy stare dzieje, pogadamy nareszcie do woli, tyle wciąż pracy, człowiek zaganiany, ale życie jest piękne, naprawdę piękne...).

Na wycieczce w Paryżu rzuciła żebrakowi parę polskich monet, bo „akurat nie miałam przy sobie franków, a on tak błagalnie spoglądał”, zaś obszarpanej dziewczynce ze stacji Paddington, która podeszła do niej ze słowami: – Jestem głodna, czy ma pani coś do zjedzenia, chciała w miłosiernym odruchu dać bilet na film *Wielkie żarcie*, ale że miała tylko jeden, więc: – Sama rozumiesz, kochana, że nie mogę, ale wpadnij kiedyś do mnie do hotelu, na pewno coś dostaniesz – rzuciła, nie podając oczywiście adresu. I tak żyje ciotka Eda, osoba wykwinna i światowa, przepełniona bezgraniczną miłością do rodzaju ludzkiego...

## Milanówek

Poranek w Milanówku. Po wąskich, krzywych uliczkach spacerują pierwsi przechodnie. Stare, sypiące się wille budzą się z wolna wśród napęczniałych od rosy ogródków. Sterczy kościółek. Suną kobiety w czarnych sukniach. Grzechoczą przewieszane przez przegub różańce, szeleści perkal (a może to ich suche wargi? może pergaminowa skóra?).

Za nimi suną panowie w jasnych ubraniach; słomkowe kapelusze, elegancka siwizna. Buty apetyczne, śmietankowe z dziurkami. Panowie nie chrzęszczą, nie szeleszczą: patrzą godnie przed siebie i – o ileż bardziej jest to śmierć milcząca, zrezygnowana, bezgłośna i jakże wobec tamtej historycznej, rozmodlonej, pogardliwa. Panowie dystyngowanie krocą przez skwer. Przelotnie zahaczają wzrokiem o mnie, dyskretnie, boczkiem, by nie naruszyć mojej prywatności, lecz zarazem jak gdyby podkreślając, że moja obecność nie jest im obojętna, że widzą mnie, że może nawet przysiedliby się, porozmawiali... Ich wzrok zatrzymuje się jednak dokładnie na granicy pomiędzy naszymi prywatnościami: jest to skraj mojej nogawki, niedbale wiewający wokół kostki. I kostka ta nas rozdziela: powyżej jestem już ja, jest ON, który siedzi oto na ławce przed kościołem, ON – intruz, obcy, którego młodość jakże boleśnie rani ich serca.

Mijają mnie wytworni starsi panowie i nikną w drzwiach kościoła, znikają z mojego życia, jakby w śmierć odchodzili, w tę śmierć, którą będzie dla mnie ich w moim życiu nieobecność.

Pamiętać ich będę przez dzień lub dwa, nim nie nadjedzie pociąg, nim na powrót nie pomknę ku wielkim miastom, pełnym młodych, hałaśliwych ludzi.

Zaś oni tu pozostaną, postacie z obrazka, jakim jest ten poranek; niezmiennie, bo zmienia się tylko to, co żywe, nieruchome, bo taka właśnie jest pamięć, to największe muzeum obrazów. Pamięć pełna trupów, pełna upiornych zwłok w jasnych garniturach, gdy już wyjadę stąd i miasteczko stanie się dla mnie białym grobowcem, ukrytym wśród drzew bez zapachu i barwy...

Tu oto na zielonej ławeczce wedle topoli: czarny kapelusik, szurza pomarszczona twarzyczka, chusteczka oszczędna, higieniczna, w chudej piątce. Stara panna.

Ileż łez, cierpień i boleści, jakież to los okrutny, co jej, kruchej i niepewnej kobiecie, nie dał JEGO – wyśnionego, uwielbianego. JEGO – szwoleżera, oficera lub poety, któremu oddaje

się co noc, choć on nigdy nie przychodzi, a więc oddaje się widmu, wyobrażeniu, o ileż jednak wyraźniejszemu, w każdym drgnieniu jego mocnych mięśni, w magicznym trójkącie nagiego torsu, w ciasnym pasie bioder i ud, w chłopięcym loku na czole i w lśniącym uśmiechu, gdy woła coś do niej, kiwa dłonią, więc ona biegnie, woła: zaczekaj! wyciąga ręce i woła, potyka się, biegnie znowu, rozpaczliwa w nadziei, nieprzytomna w lęku, bo on niknie, rozplywa się jak czarodziejski kot, i tylko uśmiech zostaje, bledszy i bledszy, gdy ona wreszcie wbiega weń, znów oszukana, chwytą szydercze powietrze.

I takie właśnie są.

Trochę senne.

Trochę nieobecne.

Kryją się przed ludźmi, by swą natarczywą, drwiącą obecnością nie zniszczyli delikatnej siateczki ich marzeń. By nie powiększali pustki.

Stare panny.

Tonący w brzozech niski biały mur. Sypią się wykwintne wille. Kobieta idzie ostrożnie w rozlatujących się pantofelkach. Ogląda się za siebie trwożnie, jakby dla sprawdzenia, czy wiernie podąża za nią cała jej ukochana epoka. Morozowiczowie, Duninowie, Messalka... Tam oto, na samym skraju czasu, przemyka maleńki punkt: to lando pana Wedla, cichy stukot kół, dalekie rzenie konia. Pan Wedel i jego piękna żona, ich wielki biały dom na rogu Kościuszki i Mickiewicza... ostatni karnawałowy bal... czy Messalka śpiewała wtedy jeszcze, czy może już tylko siedziała milcząc w kącie salonu, zapatrzona w siebie, zamyślona, w szarym jedwabiu przetykanym srebrną nicią... Morozowiczowie, Mościccy... rozlatują się pantofelki, poszarpany tren tiulowej sukni wlecze się gdzieś daleko, hen, aż po tajemnicze źródło Czasu.

I wstaje nowy, okrutny dzień nad białym Milanówkiem. Światło wdziera się przez opuszczone rolety. Bezlitosne światło, które dokładnie oblewa porcelanową tarczę tykającego na komódce zegara.

Fiszbin, naftowa lampa. Marynia w błogosławionym stanie i obowiązki Matki oraz Polki. Jak to na wojence ładnie, cetno i licho, cyt, sza, pani dziś bardzo zmęczona, ach, służba, służba, niech no Janowa przekąsi coś w kuchni, воск na parkiecie, biskup w salonie, pułkownik na koniu.

Stop.

Seans spirytystyczny zakończony. Narkotyki przestaje działać.

Bums!

Mała atomowa bombka wybuchła w zacisznym smuteczku serca.

## **Ciotka Eda i jej przyjaciółka Doris**

Milanówek na obrazach Doris to słodka, milusińska robótka ręczna, cacko z lukru, wydumuszka, pierniczek. Różowo-błękitne obrazki chciałoby się jeść garściami. Drzewka wydymają się jak haftowane poduszki, czyściutkie domki aż proszą, żeby zamieszkać w nich szczęśliwą rodziną z dziećmi, ciotunią i ploteczkami przy kawie.

Śmierć gdzieś się ulotniła. Pozłacana laurka straszy swoimi ślicznościami.

Taka już jest ta malarka z Southampton, że czegokolwiek się tknie, wszystko natychmiast zmienia się w niemowlęcą wyprawkę. Jest szczęśliwa, bo żyje tylko tą częścią życia, która nie



sprawia kłopotów. Chadza tylko tą stroną ulicy, po której rosną cieniste akacje. Bywa tylko u tych ludzi, którzy nie sprawią jej przykrych niespodzianek.

A wszystko pochodzi stąd, że urodziła się w kraju, w którym warto się urodzić.

Ma przytulny biały dom nad brzegiem morza.

I mnóstwo przyjaciółek podobnych do siebie jak dwie krople wody, aby nie sprawić sobie zawodu.

W Polsce jest na zaproszenie ciotki Edy. Ciotka postanowiła sprowadzić sobie malarkę. Ponieważ w tym roku nie jedzie do Anglii, więc sprawia, że Anglia przyjeżdża do niej: w niskim białym daimlerze, w kapeluszu z kwiatami, uśmiechnięta i zadowolona z siebie Anglia, w której towarzystwie można zrobić nie gorsze entrées niż w sukience od Diora. Ciotka Eda jest uszczęśliwiona. Przedstawia Doris wszystkim, którzy z racji swego stanu lub urzędu na to zasługują. Jeżeli jest inaczej, ciotka natychmiast przy pomocy swoich uszminekowanych usteczek zmienia im stan i urząd. Wszystko po to, aby „nie sprawić złego wrażenia”.

I w ten sposób okazuje się, że jesteśmy jeżeli nie najlepszym, to przynajmniej jednym z najlepszych t o w a r z y s t w w Europie Środkowej. No, w każdym razie takim, na jakie bez wątplenia zasługuje jeżeli nie najlepsza, to przynajmniej j e d n a z n a j l e p s z y c h malarerek współczesnych. A także jej s e r d e c z n a przyjaciółka. Ciotka do mistrzostwa opanowała metodę skromnego ukrywania się w cieniu swoich przyjaciół w taki sposób, aby ją tylko było widać. I tak wielkie brylanty na paluchach malarki błędną wobec szatańsko skromnego naszyjnika z afrykańskich maseczek: ach! to tylko prezent od znajomego! – lecz takim tonem, że wyobrazasz sobie przynajmniej prezydenta. A wielkie kwiaty na kapeluszu Doris wędną żałośnie w zestawieniu z perwersyjnie elegancką woalką, zasłaniającą uprzejmie spuszczonego wzrok ciotki. Doris jest oczarowana. Szczerzy żółte zębiska (jak ja bym chciał choć raz omiąć tę zębiska, gdy mowa o Angielkach), potrzasa zwiędłym podgardlem niby workiem z dukatami i mówi well, well oraz charming, charming.

W Wilanowie Doris dowiaduje się, że Sobiescy byli „w pewnym sensie” spokrewnieni z naszą rodziną (ciotka wie, że Anglik nigdy nie zapyta o ten „pewien sens”), a w Łazienkach otrzymuje porcję pikantnych historyjek z życia króla Stasia opowiedzianych tonem, jakim wtajemniczamy kogoś w tylko nam znane szczegóły z życia naszych osobistych przyjaciół.

Ponieważ Doris właśnie przygotowuje do druku pierwszy tom swoich pamiętników, ciotka Eda postanawia wkroczyć do literatury anglosaskiej w postaci paru rozdziałów tomu drugiego.

Niestety. Doris umiera nagle na zawał serca w swoim cichym domu nad brzegiem morza. Oburzona ciotka wykreśla ją natychmiast z pamięci jako osobę niegodną zaufania.

Stare panny...

stare panny...

stare panny...

Czy i we mnie jest to coś, co i one mają? Coś obronnego, nieśmiałego, coś, o co chciałoby się walczyć, ale nie ma sił i wiary...? Coś tajemniczego, wstydliwego, o czym wie tylko noc, tylko sen, tylko ta druga, milcząca w nadziei i oczekiwaniu osoba, która żyje w tobie bezprawnie i beznadziejnie, bo nigdy, przenigdy nie odważysz się dodać jej sił, by wyszła, by zdemaskowała się przed światem...

„Prawo do życia mają tylko istnienia bezwzględne” – pisze Witold Gombrowicz.

Czy i on był starą panną?

Czy i on lękał się, wahał i drżał przed ujawnieniem tego drugiego kogoś, kto płakał w nim i marzył o czułości, o miłości, o tym, co jest ciepłe i serdeczne, jak matczyzna suknia, jak policzek dziewczyny, jak dłoń przyjaciela...? Czy i on – jeszcze jeden warowny zamek wzniesiony dla ochrony drżącego serca, bezbronny w swej niemowlęcości, gdzieś na dnie piekieł, które rozdmuchano, by ono nie umarło z zimna...?

I aby nadal swym pukaniem w ściany warowni przypominało o swym istnieniu, nie pozwalało nam zmienić się w lodową górę doskonałości...? w kościsty paluch dydaktyki...?

Ono, które zawsze i wszędzie zadać potrafi kłam słowom, jakie wypowiadamy, gestom, jakie czynimy, bo słowa, gesty, wszystko to jest na zewnątrz, dla ludzi, z nim natomiast porozumieć się można tylko

milczeniem...

## Stephanie

Była – i pojechała. Jakiś zamęt, płacze, hałaśliwe tłumy przed hotelem „Merkury” w Poznaniu. Jakieś walizki, portier, butelka szampana na pożegnanie.

Była – i pojechała. Oto jak przechodzi się w niebyt.

A przecież pachną jeszcze jej włosy. Nie, nie używała ani chanel, ani coty. Jest to raczej zapach słońca zmieszany z rumiankiem. Piegowate ramiona. I skóra tak biała, że aż przypominał się Huxley i jego damy angielskie pod jedwabnymi parasolkami. I jeszcze oczy: wielkie, ciemne, o których mówiła ze śmiechem: sheep's eyes.

Nie! To przecież niemożliwe! Nie kocham jej! Na pewno nie ma we mnie ani jednego z tych ślepych, białych zwierzątek, nazywanych miłością (dlaczego zwierzątko? że ślepe, to rozumiem, że białe – ostatecznie też, ale dlaczego zwierzątko???)! a może to w niej było coś z ufego zwierzątka, gdy wtulała we mnie miękką głowę, włosy, włosy na twarzy, na szyi, na ramionach, słodki zapach, o którym mówiła: sexy smell.

– And, hair is a very sexual thing – powtarzała czasem, cała sexual w tym momencie, zarzucała włosy na plecy tym wyćwiczonym ruchem Raquel Welch).

Zwierzątko, gdy patrzała pokornie, lecz też jakby czujny fałsz, tresura jakaś inteligentna w tej pokorze, gdy czuło się, że w każdej chwili gotowa jest rzucić ci się do gardła. Stephanie знаła bowiem święte, odwieczne prawa płci: kobiece prawo pokory i uległości i męskie – zdobywania i tryumfu.

– Patrz – mówiły jej oczy wiernie we mnie wpatrzone.

– Pamiętaj – podszeptowały biodra kołyszące się lekko.

Stephanie była mądra. Pogrążając się bez reszty w swojej płci, jednocześnie narzucała mi moją. Niejako zmuszała mnie do niej, czemu z rozkoszą się poddawałem. Pławiłem się w swej męskości jak aktor w ukochanej roli, którą pozwolono mu wreszcie zagrać. Stephanie umiejętnie regulowała pokrętłem: powoli, coraz głębiej i głębiej schodziliśmy w swoją podświadomość, tam gdzie w jej zmęczonej codzienną krzątaniną główce odżywało dziś marzenie o Raquel Welch i gdzie w moim zrezygnowanym, sparszywiałym sercu oddychał jeszcze resztką jakiejś dawnej chłopięcej nadziei mit Tarzana i Winnetou.

Byliśmy więc parą filmową. Role zostały rozdane. Teksty bezbłędnie wyuczone: roześmiani na słonecznych ulicach, spoglądający sobie w oczy nad szklaneczkami czerwonego wina, ach! dobrze wiedzieliśmy, że nas obserwują, że patrzą na nas jak na kinowy ekran.

Piękni dwudziestoletni, w drogich, kolorowych szmatkach.

Dopiero alkohol, ten pierwszy wróg teatru. Dopiero noc, rzyganie, ohydny smak tytoniu i ćmiący ból głowy.

I pierwszy spazmatyczny szloch na zakończenie aktu.

Oklasków nie było.

Do rana paliliśmy papierosy i po raz pierwszy mówiliśmy o smutku. (P. S.: Czy i ten smutek był przewidziany w scenariuszu?).

Ach, ileż udawania, że jesteśmy sobie tak OKRRRRROPNIE potrzebni.

Wyjechała przecież i znakomicie prosperuje beze mnie. A i mnie jako tako bez niej się żyje. Dwa tygodnie, w ciągu których odegraliśmy naszą sztukę do końca. Łącznie z malowniczym finałem: zagraniczny autobus z wielkim białym napisem EUROPA, tłumy zapłakanych ciotek, ostry, ciepły wiatr porywający kapelusze i my – młodzi, piękni, w romantycznym uścisku.

Les Incroyables!

Ciekawe, co myślała. Może naprawdę było jej smutno. Ten mały, zwyczajny smutek na pożegnanie, potrzebny jak twarzowa chusteczka do otarcia łez.

Fakt jednak pozostaje faktem i należy dać świadectwo prawdzie, że w tej dramatycznej chwili nie dbała o makijaż. Strugi czarnych łez przyozdobiły opuchniętą od płaczu twarz.

Pytanie: Czy zaraz potem (gdy autobus odjechał i znikła za rogiem moja sylwetka z uniesioną na pożegnanie ręką) wyciągnęła torbę z kosmetykami i pomalowała się od nowa?

Czy może lojalnie odczekała parę godzin.

Była – i pojechała.

Teatr opustoszał.

Znów wściekła codzienność.

I żal do tych, którzy jej z nami nie dzielą.

## **Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Kobieta Potwór**

Noc. Cisza. Otwarte okno. Zapach macierzanki, słowiki zasuwają jak oszalałe. Kołderka, odchylona lekko, nęci świeżością krochmalu. Mam nadzieję, że tym razem nie przyśni mi się znowu Kobieta Potwór, najkoszmarniejszy babiszon, jakiego nosiło diabelskie łono.

Przeczytała około dwóch powieści. Widziała półtora filmu. Za to bardzo dobrze, jak sama twierdzi, zna ludzi. Podczas wieczorów w malowniczym klubie „Parnas” (którego jest kierowniczką), przy orgiastycznych świecach i wybebeszonej muzyce, miesi z tego swym grubym, jadowitym ozorem zakalcowate placki swych poglądów na życie oraz sztukę. Do wszystkich mówi: – Pan jeszcze nic nie wie, młody człowieku..., a piętnaście podbródków kłapie jej wokół szyi, olbrzymie cyce zawalają trzy czwarte stołu, sapie, brzęczy ciężkimi bransoletkami. W skąpym świetle lśnią na jej froncie trzy złote zęby i chełboczą hektolitry wrednych czeluści w jej kaprawym spojrzeniu.

Śniło mi się, że spadała na mnie ciężka, bańkowata, chełbiasta, urwana z jakiejś cienkiej szypuły u sklepienia ohydnej, śluzowatej przestrzeni.

Kiedyś zupełnie pijana powiedziała mi na ucho: – Im się wszystkim wydaje, że to tak łatwo być brzydkim, starym babskiem...

Jednak zaraz potem zaczęła zachowywać się BARDZO DWUZNACZNIE w towarzystwie młodego poety poszukującego poparcia. Więc przestało mi być jej żal.

Poeta krył kędzierzawą główkę w zacisznej dolinie między Himalajami jej piersi i mówił do niej „mamusiu”.

Mamusia zaś gładziła go po włosach i wodziła wokoło tryumfalnym wzrokiem.

Zaraz też przepadli gdzieś oboje.

Tyle na razie.

Łączę uściski.

*„Przeszłość każdego z nas by zmoła, gdyby nie trzymała się na swoim miejscu.”*  
(I. COMPTON–BURNETT – *TERAŻNIEJSZOŚĆ I PRZESZŁOŚĆ*)

## Rozdział szósty

*O przyjdź, kochanku mój,  
blade usta daj...*

(ANDRZEJ WŁAST)

W poszukiwaniu straconego tomu *De Profundis* Przybyszewskiego, otwieram Dawno Nie Wietrzony Lokal: szafkę, w której straszy przeszłość... (płyty gramofonowe Syrena—Electro i Odeon, przebój teatru BANDA, sensacyjna Nelly Herten w *Pocałunku kochanki*, chór rewelersów Dana śpiewa tango *Przebacz*, Vera Bobrowska i romans *Gdzie twoje serce*, także buteleczka wyschniętego fiksaturu, fotografia Jadwigi Smosarskiej: „Kochanej pani Luci na pamiątkę wspólnego pobytu w PATRII”, jeden złamany fiszbin, brenner od naftowej lampy) obok najbardziej trywialnej terazniejszości (bilet lotniczy Bydgoszcz – Warszawa lot numer 712, zdjęcie na tle autokaru Almatu, zepsuty parasol składany Pewex, aparat fotograficzny Smiena 2 z uszkodzoną migawką).

Szukając książki (którą, jak się okazało, ukraść mi był z biblioteki pan C., gbur, cieć i pseudointeligencka lafirynda kolekcjonująca nazwiska oraz białe kruki), trafiam na plik programów kabaretu Morskie Oko, Warszawa 1931—1935. Natychmiast zapominam, że miałem właśnie pisać esej o poezji współczesnej (u Przybyszewskiego pragnąłem odszukać pewien nadzwyczaj ekspresyjny zwrot o oku namiętności wgryzionym w czyjąś erotyczną wątrobę czy w perwersyjny szpik, nie pamiętam, w każdym razie chciałem przeciwstawić go pewnemu cybernetycznemu oświadczeniu młodego poety, który wraz z ukochaną tworzył obwód scalony czy coś w tym rodzaju. Nadto zamierzałem wykorzystać w eseju fragmenty innych, wierszy młodych twórców, np.: „matko, pieluchy moich wspomnień rozwieszasz na sznurach swego cierpienia”, czy „lancetem pocałunku wrzód twoich warg rozcinam”. W ten sposób estetyka szalonej wątroby Przybyszewskiego spotkałaby się z estetyką owrzodziałył uczuć młodego poety ze Szczecina. Potwierdziłoby to moją tezę o nienaruszonym przetrwaniu pewnego rodzaju ekspresjonizmu lirycznego, który ongi rozdmuchany przez Przybyszewskiego w Czarnym Prosiaku, dogorywa dziś tu i ówdzie w postaci szczątkowej, zwyrodniałej, niemniej niebezpiecznej. Oczywiście wnioski żadne z tego faktu nie płyną. Tyle że jeszcze jedna okazja do zabawy, do popastwienia się nad przeszłością: sadomasochistyczna orgietka literacka na temat: motywy wrzodu i wątroby w poezji polskiej wczoraj i dziś).

Zamiast tego: kabaret Morskie Oko.

Natychmiastowa asocjacja: wuj, który mi mówi (mam wtedy około dziesięciu lat) – Ach! jakie nogi miała Pogorzelska!

I jeszcze ciocia: – A Ordonka śpiewała bez mikrofonu! Stąd powłóczyście spojrzenie damy w peniuarze (okładka) oraz perłowy uśmiech Toli Mankiewiczówny (tylko pasta do zębów Tlenol-Ra zapewni ci sukces towarzyski) wywołują natychmiast magiczną lawinę skojarzeń...

Buick ulubiony samochód wyższych sfer towarzyskich

Wyżymaczka Madame Sans-Gêne uczyni twego męża szczęśliwym „Jak pantera przychodzisz żadna krwi...” – nowe tango Faliszewskiego dziś w rewii „Parada Gwiazd”

– Kup mi rękawiczki u Talikowskiego – mówi Nora Ney

Polonia Palace Hotel: kawiarnia sfer ziemiańskich, tu spotkasz Igo Syma

Elita towarzyska stolicy bawi się na dancingu NITOUCHÉ, rewelacyjna orkiestra Kataszka, taniec ekscentryczny w wykonaniu Bekeffi, bar amerykański, gabinety na telefoniczne życzenie...

Kto chce mieć figurę zgrabną i elastyczną, ten winien nosić opaski PRUJAPOL: Z. Prujewicz i Synowie, Poznań. Opaski PRUJAPOL to jedyna podpora obwisłego brzucha!

kanold, kanold, kanold, jedyny na świecie  
cukierek śmietankowy który lubi dziecię

I Stasia Nowicka jako seniorita w Tangu-Milondze. Kobieta i Bestia: scena w jednym akcie wybornie odtąńczona przez Zizi Halamę. Wielki Letni Cyrk – Sport Palace! Ulubięcy Warszawy słynni satyrycy Din-Don, międzynarodowy turniej walki francuskiej pod kontrolą Związku Atletów w Berlinie! Władca Piekieł—Czarny Mefisto—Szarle-Roberts! M-Ile Ricardi... jasnowidząca! Komiczne intermezjo Manc i Cichoracki! Duo Kaniewskich znakomici tancerze tak zwani Królowie Piruetów!

Abe Fajngebaum po powrocie z Paryża i Londynu poleca wykwintne nowości futrzarskie, Charles Geber – firma chrześcijańska – pierze i farbuje garderobę męską i damską w całości i bez prucia. Ostatnia zdobycz techniki europejskiej! dwusprężynowy gramofon przenośny ORPHEON niezbędny w każdym kulturalnym domu, najlepszy przyjaciel na wsi i w podróży... Nawet partia bridge'a może zaczekać, gdy gra powszechnie znane ze swej dobroci radio Hilversum...

Z jednej więc strony – świat dawny, zagubiony, figlarny, salonikowy, nostalgiczny i uwodzicielski jako antidotum na...

(na co?)

na nic. nie powiem. nie ma sensu wywlekać znów wszystkiego od początku. Ważnych jest jednak tych parę starych płyt i fotografii. Bal w Resursie Kupieckiej anno 1925 i stary ford ze szprychami, którym moja Matka jechała na pierwszą Wystawę Krajową do Poznania...). Na drugim zaś biegunie – moje awangardowe łaty na tyłku oraz sweterek kusy z napisem „green vegetables”, szlagier sezonu 1977.

„– A teraz przyszłość wyrasta przed nami jak z mora, brzemienna w przeróżne groźby i wątpliwości. Czy skończymy z tym kiedyś?

– Wtedy, gdy skończymy ze wszystkim...” – pisze Compton-Burnett.

Teraźniejszość pastwi się nad przeszłością.

Przeszłość cicho pojękuje w tajemnej skrytce serca.

Już Krzyś mi kiedyś mówił, że w tym moim bydgoskim mieszkaniu, wśród starych, miękkich mebli, wśród fotografii, płyt, cioć i mitów przeszłości, błąka się jakiś złośliwy, upudrowany, szczerzący się złośliwie zza balonika z napisem „Witamy rok tysiąc dziewięćset dwudziesty” duch, który kpi sobie z mojej awangardy, że cały ten sposób mówienia, poruszania się, ubierania to tylko jeszcze jedna mało skuteczna próba ucieczki przed czasem przeszłym, i wciąż przypomina mi swoją obecnością, że balansuję na krawędzi dwóch epok: tej, którą z legend, z płyt i z ciocinych opowiadanków wchłonał w siebie grzeczny chłopiec, oraz tej drugiej, spod znaku pijanego Londynu i szalonej Europy, po której buszował spragniony wrażeń młodzieniec.

I ważne, że w obu tych epokach czuję się niewygodnie: w roku 1920 czegoś mam za wiele (łaty?, Joyce?, Chomsky?), zaś w pięćdziesiąt lat później czegoś mi znów najwyraźniej brakuje.

Może szczęśliwego uśmiechu mojej Matki, gdy stoi w lekkim futerku przed uchylonymi drzwiami staroświeckiego forda...?

...wciąż jeszcze błakają się we mnie tandetne, koślawe manekiny przeszłości, z którymi pobratałem się dawno temu, gdy niebacznym zgubnym dla młodego umysłu skutków, odwiedzałem różne plugawe piwnice intelektualne pełne pijaństwa i rozkładu, pajęczyniaste strychy, na których gnieździli się przegrani dekadenci: fordanserki z papier-mâché, żigolaki z tektury, ciotki ujeżdżające swoich generałów i generałowie dający salut pierdnięciem głośniejszym niż wybuch wojny.

I te zmory właśnie muszę wypędzić z siebie, wypłuć je, poćwiartować, wyśmiać w nich siebie: układnego chłopca przebranego na kinderbalu za małego gigolo; uperfumowanego kretyna, który sunąc z cicią w upojnym tangu udaje, że jest mną.

Stąd „Noc Sylwestrowa”, poemat nie opublikowany nigdy, rzadko też komu pokazywany. Tam jest i charleston, i są ciasteczka, i jest gigolo uśmiechający się do mnie porozumiewawczo zza uchylonych drzwi, i jest długonoga Marlina i pijani marynarze, cała ta kupa rupiecia, przez którą brnie cień mojego sumienia, resztką rozpaczliwej prawdy, która zwalczyć chce własną tandetność, odciąć się od swej ohydy, która błaga o ciemność, o ciszę, o Boga..., o co jeszcze...?

Kocham siebie.

Uwielbiam siebie.

Mam fioła na swoim punkcie.

Jak każdy z was kocham w sobie to, co mnie od innych odróżnia.

Nie znoszę siebie.

Nienawidzę siebie.

Nie mogę patrzeć na swą gębę w lustrze.

Jak każdy z was nienawidzę w sobie tego, co mi nie pozwala roztopić się w tłumie.

Matka moja, de domo Bończa-Beck-Bukowska, pochodzi ze starej, zuhożałej rodziny wołyńskiej. Jej ojciec, a mój dziad, wcześniej osierocony i przygarnięty wraz z czeredą rodzeństwa przez wuja, wielkopolskiego hreczkosieja, posyłany wciąż do wszystkich diabłów i używany do upokarzających posług, zdołał dzięki temu znów obudzić w sobie dumę, przyciszoną nieco przez ruinę znamienitej niegdyś rodziny. Umknął do Berlina, wówczas miasta wielkich możliwości, gdzie założył pracownię krawiecką.

Duma jednak pozostała. Szalona, irracjonalna, kłócąca się, ach! jakże boleśnie z krawiecką rzeczywistością. Duma, która była tą jego prywatną fikcją, jaką gdzieś głęboko pieści czule każdy człowiek.

W 1920 roku wrócił wraz z żoną i trzema córkami do Polski, do Bydgoszczy, która w owych czasach była stolicą dumnego kupiectwa i rzetelnej gospodarności. Stworzył dom zasobny, ucziwy, tolerancyjny i radosny. Trzy śliczne dziewczyny ubrane jak lalki, w szufladzie biurka kasetka z pieniędzmi zawsze otwarta dla wariackich zachcianek dorastających pańien, kamienica w posagu dla najstarszej, ufny spokój i dobrobyt lat trzydziestych – już po wielkim kryzysie, tuż-tuż przed wielką wojną.



Wzrastająca w cieplarnianych warunkach DUMA rozkwitała całą pełnią barw: pysznym kwieciami na kapeluszach córek, lśnieniem cylindrów pierwszego kandydata do ręki, blaskiem reflektorów amerykańskiego forda, którym zajeżdżano pod Teatr.

Jeden z kuzynów oszalał: pojechał na Wołyń, hen, pod Tarnopol, szukać papierów w zrzuconym gnieździe. Blask herbu: białego jednorożca na błękitnej tarczy, miał dodać wagi chudej kieszce i doprowadzić wreszcie do małżeństwa z HRABIANKĄ. Autentyczną. Nie taką jak Bończa-Beck-Bukowskie, których pradziad, jeszcze w czasach rodzinnej świetności, kupił był hrabiowski tytuł od austriackich karmazynów.

I tak trwała sielanka odmierzana karnawałowymi balami w Resursie Kupieckiej, weselami niezliczonych kuzynów i kuzynek, premierami w kinie „Cristal” i regatami wioślarskimi na sławnym torze w Brdujściu, gdzie Matka jako szlakowa zdobywała coraz to nowe odznaczenia.

Wybuchła wojna. W podartych pantofelkach, płacząc, trzy siostry uciekają warszawską szosą z mordowanego miasta. Runął pałac z bajki. Zostają zgliszcza dawnego życia.

Uprzejmi panowie o stalowych oczach proponują ratunek: – Dla was, Niemców – mówią – bo rodzina pochodzi przecież z Berlina, prawda? przyjęcie listy Volksdeutsch jest już niejako obowiązkiem. Na wołanie Matki Ojczyzny nie wolno odpowiadać milczeniem. Za to jedna jest tylko kara: Oświęcim.

Dziadek, na którego spada brzemień straszliwej decyzji, nie załamuje się jednak. I mniej mu może idzie o deklarację krwi, bo ona zawsze przecież tęsknić będzie za Unter den Linden i za Hawelą, ale o dumę. To ona właśnie nie pozwala mu ugiąć się przed obietnicami. To ona właśnie, ohydna, bezsensowna, krwiożercza, domaga się tego samobójczego NIE, bo tylko ona rozumie, że samobójstwo bywa w takiej chwili zwycięstwem. Przyjmuje ich po pańsku, wyniośle, drze na ich oczach niemiecką książeczkę do nabożeństwa, starą i wytartą, która nagle urasta do rangi heroicznego symbolu.

Odchodzą wściekli, z pogrózkami.

Nie, nie zginęli wszyscy, jak by to wynikało z opowieści. Którędyś, sobie tylko znanymi ścieżkami, bokiem, po kryjomu, ze sfalszowanymi dokumentami, z podrobionymi świadectwami, przez zielone granice i przez kordony straży przedarli się na spotkanie Nowego Dnia.

Na jednej z tych ścieżek moja Matka spotkała Tatę. Ze szlochem pełnym innego, nowego lęku ściskali sobie dłonie i spoglądali na zwycięskie armie, które wkraczały do martwego miasta.

Płacząc, witali pierwszy mglisty dzień wolności.

Ostatni dzień walki o kraj.

Pierwszy dzień trudniejszej walki  
o siebie...

Dlaczego patos? dlaczego smutek i żal teraz, trzydzieści lat po tamtym dniu? gdy mnie jeszcze w ogóle nie było? gdy nikt mnie jeszcze nie przewidywał?

Wspólność lęku...?

Wspólność bólu...? ...który oni dopiero przeczuwali?... a który dla jakiegoś kretyńskiego żartu Historii teraz oto staje się i moim udziałem...?

Nie wiem.

Jak zwykle nic nie wiem.

Mogę się tylko domyślać.

P. S. Na tym zresztą polega literatura.

*„Bo trzeba umieć zatracić siebie na pewien czas, jeśli chcemy nauczyć się czegoś od rzeczy, którymi nie jesteśmy.”*

(F. NIETZSCHE – *WIEDZA RADOSNA*)

## Rozdział siódmy

### I.

W swoich wspomnieniach (wydanych u nas raz tylko, w 1957 roku) tak pisze o życiu Simone de Beauvoir (ta sama, którą tak bardzo chciała być Patrycja z Nowego Jorku. Pojechała nawet dwa razy do Paryża, skąd pisała, jak ją Paryż zniewala oraz jakie wzbudza natchnienia. Rzecz typu: błękitna mgiełka nad Sekwaną, na brzegu chudy – koniecznie! – poeta pisze arcydzieło. Patrycja zadumana, z papierosem – Gauloisy! – i w artystycznej apaszcze kontemplanuje metafizykę porannych zapachów Paryża: świeżutkie bułeczki, liście wilgotne od porannej rosy itd., oraz ich wpływ na sztukę światową. Wzruszeniom swym daje wyraz: listy są ogromne, pisane, zależnie od statnich lektur, pod Gertrudę Stein, Virginię Woolf lub Anaïs Nin.

Czego pragnąć może Amerykanka w Paryżu? Być muzą poetów i malarzy. Sprawa jest w cenie, odkąd kandydatów oraz mniej.

Pytanie drugie: czego pragnąć może Amerykanin w Paryżu?

Wydać natychmiast wszystkie pieniądze lub – przezorniej – ulokowawszy je w Travel czekach, włóczyć się bez grosza po Montmartrze udając poetę lub po prostu Francuza.

Na takiego trafia spragniona bycia muzą Amerykanka.

Robi się chryja.

Potem wymieniają czeki na walutę i idą razem chlać do Maxima):

„...rzeczywistość przerasta wszystko, co można o niej powiedzieć, należy więc mierzyć się z nią w jej wieloznaczności, w jej nieprzejrzystości, zamiast redukować ją do znaczeń, które dają się wyrazić słowami...”

Patrycja doszczętnie obrzydziła mi Simone, ale precz osobiste żale! Słowa powyższe mogłyby przecież stanowić motto tej książki. Może to zresztą sami już zauważyliście (choć nigdy nie należy zbytnio liczyć na czytelnika. Błąd ten uczynił Joyce. Do dziś pół świata męczy się nad jego szyframi, aby w ten sposób stanąć na wysokości postawionego przed sobą zadania.

Niestety! Zagadka rodzi zagadkę, sprzeczność goni sprzeczność, aż wreszcie zmęczony człowiek może i machnąć na to ręką, gdyby nie wstyd, gdyby nie myśl, że w tym samym czasie, kto wie, może innym jednak się udaje. Bierze więc znów *Finnegans Wake* do rąk, dodając sobie otuchy ciepłym nagle rozbudzonej ambicji.

I wreszcie zaczyna to wszystko bardziej przypominać hazard niż istotne zainteresowanie. O Joysie mówi się przy okazji i tylko dlatego, że w końcu to on to wszystko napisał, choć równie dobrze mógłby być ktokolwiek inny, obdarzony podobną siłą żartu i mistyfikacji).

## II.

A teraz – krótka historyjka w szczegółach i z podtekstem. Tytuł:

### Na przykład Brighton...

...gdzie na brzegu promenady nadmorskiej  
znajduje się wielki (pośród jeszcze większych) hotel  
wśród pubów, straganów z lodami, turystów – przede wszystkim Francuzi, to im wychodzi  
taniej niż weekend w Boulogne lub w Ostendzie  
Anglia jest nadal Bardzo Tania no i do tego  
sława Brighton antykwiariaty z cieniutko rżniętym kryształem  
Królewski Pawilon – brzydota tak intensywna że aż  
podniecająca i nadal jeszcze resztki tak zwanego eleganckiego świata Który ignoruje fakt  
śmierci królowej Wiktorii oraz upadek Imperium; to tylko tak się  
wydaje lecz Brighton jest Brighton ruletka  
nadal się kręci.

Ten hotel nazywa się tak jak promenada i molo: Palace Pier są tam oczywiście kryształowe  
lustra

i cichobieżne windy ale nie o tym mowa Bo

w podziemiach Cymes pierwsza klasa szczególnie dla przybysza z purytańskiej Europy  
Wschodniej gdzie robi się to samo ale po cichu Tu natomiast najślawniejszy w Europie Gay  
Club to znaczy paręnaście podziemnych sal połączonych w zawiły  
labirynt

w którym przy dźwięku najmodniejszego w tym sezonie zespołu Manhattan Transfer ba-  
wią się: panowie z panami panowie z chłopcami chłopcy z chłopcami oraz najczęściej Chłop-  
cy z Panami których tak łatwo oskubać ze złotych pierścionków i papierosnic ale najlepsze  
jest że Panowie nie mają nic przeciwko temu

gdyż złoto już dawno temu zamieniło się w tombak a Panowie w Panie – tłuste tyłki w ob-  
cisłych spodniach aluminiowe bransoletki i makijaż pośpiesznie kładziony niewprawną ręką  
Gdy już żona i dzieci śpią OJCIEC RODZINY po cichu  
w łazience

a potem zasłoniwszy twarz wymyka się z domu drząc  
z podniecenia i ulgi.

Chłopcy natomiast jak to chłopcy – w dżinsach w wysokich kowbojskich butach z tym  
aroganckim półśmiechniętym spojrzeniem które tak bardzo działa  
na zbite w wyczekującą gromadkę cioty.

– Czy pan jest Polakiem? – zapytał barmana bo zdawało mi się że usłyszałem swojsko  
brzmiące przekleństwo – tak – odpowiedział Czesiek – ale już tyle lat minęło nie jestem już  
choć tak jakbym jeszcze po trochu był Anglika w każdym razie nikt tutaj ze mnie nie robi  
Zawsze lubiłem TE rzeczy zarabiam całkiem nieźle w Polsce ćwiczyłem akrobację teraz bar-  
dzo mi się przydaje

– Z kim rozmawiasz? – zapytał Arcybiskup podchodząc do baru. Aha nie przedstawiłem  
go jeszcze To jest prawdziwy Arcybiskup oraz jego przyjaciel Lord też prawdziwy obaj lubią  
TE rzeczy Lord specjalizuje się w południowo-wschodniej Azji (chętnie ucałuję mały indo-  
chiński wąsik Oferty pod Koneser z Brighton) zaś Arcybiskup podobnie jak król Jerzy któryś

albo baron de Charlus lubi przede wszystkim żołnierzy lub zapaśników (mocnego blondyna w dobrze spranych dzinsach zatrudnię od zaraz Oferty Lolly z Palace Pier).

– Ach, to ten uroczy Polak – mlasnął Arcybiskup spoglądając na odsłonięte ramię Czeška – obaj Polacy – popatrzył z kolei na mnie.

– Wielebny Ojcze – powiedziałem patrząc mu prosto w oczy co on rozumiał opacznie bo widać było że wyobraża sobie NIEWIADOMOCO – czy Ojciec uważa że przebywanie w tego rodzaju klubie jest jednym ze sposobów szukania Boga?

Lecz on nie zmieszał się tylko rozłożył ręce (– cóż ja mam tłumaczyć takiemu pozytywiście!) i rzekł: – chłopcze drogi ani ty ani ja ani nikt w ogóle na świecie nie może mieć pewności

że Bóg nie był homoseksualistą...

– A to jest Tony i Blair – powiedział Lord

popatrzyłem z przyjemnością na dwie młode uśmiechnięte twarze

– oni się AUTENTYCZNIE kochają – dodał mi na ucho

– Chodź zatańczymy – wyciągnął do mnie rękę Tony niski blondynek Nigdy dotąd nie tańczyłem z chłopcem Kobiety czasem tańczą ze sobą Mężczyźni nigdy To

dyshonor Ale właściwie dlaczego skoro taniec

jest w swym założeniu manifestacją zewnętrzną nic wspólnego nie mającą z tym co istotnie w człowieku siedzi choć swoją drogą dziwnie tak trochę...

A potem podszedł do nas Big Fat Ted z Brighton o którym mówiło się po prostu Bi Ef Ti zabawny strasznie ze swoim ogromnym brzuchem i jeszcze większym tyłkiem – taki to pożyje – szeptali z zawiścią Lord i Arcybiskup obaj chudzi i nieszczęśliwi w zbyt obszernych swetrach w których nie wiedzieć dlaczego upodlenie wydaje się jeszcze podlejsze a strach

jeszcze bardziej zastraszony – Hi boys – powiedział Ted i uśmiechnął się tłusto do mnie a potem spojrzał na Blaira i cmoknął

Piliśmy długo przy barze a rano gdy już był czas

uczynić ze sobą COŚ

poszliśmy wszyscy na jego małą lecz za to

własną plażę: – Uważaj tu są rekiny wprawdzie takie małe że mogą co najwyżej wykastrować ale to zawsze nieprzyjemne

ostrzegął Ted piliśmy

piwo Colt 45 a on opowiadał:

### **opowieść Bi Ef Ti z Brighton:**

nikt nie chciał mnie znać dopóki tak jak setki

innych chłopców błąkałem się od miasta do

miasta i

od knajpy do knajpy W śmierdzących wagonach

pozwaląłem się ścisnąć bezzębnym starcom a

potem

odchodziłem ze skradzioną zapalniczką

na rogu kupowałem gorącą parówkę chuchałem

w zmarznięte dłonie i byłem szczęśliwy

dopóki jakiś policjant nie dopadł mnie w bramie  
Taki sam jak wszyscy.  
Wygodne ciepłe łóżka  
w których narodziła się  
moja nienawiść.  
Nikt nie chciał mnie znać dopóki używałem  
słów  
jakich mnie nauczyła matka Moja biedna dobra  
Starucha Gdy już nie było co jeść ukradła  
kurę —  
– starej nic nie zrobią – mówiła – a ciebie  
szkoda Masz dopiero siedemnaście lat Pamiętaj  
ukraść komuś kurę to jeszcze nic nie znaczy  
gorzej o wiele gorzej jest ukraść komuś  
młodość.  
Biedna stara wierzyła jeszcze  
że stoję dopiero u progu Tam gdzie miłość  
jest jeszcze nadzieją  
a pożądanie  
nieśmiałym spojrzeniem znad szklanki...  
Wiele lat potem ukradłem kurę – była nadziana  
złotem i miała brylantowe oko. Ten brylant  
noszę dziś wpięty w ucho  
a bransoletki brzęczą ilekroć swój leniwy tyłek  
przenoszę z jednego barowego stolka na drugi.  
Nikogo nie chcę znać – jest to mój mały  
rewanż  
Te setki chłopców  
błąkających się po przedmieściach  
serca Jest tylko moje  
pożądanie gdy wargi układam w lukrowane  
serduszko Chodź chłopcze chodź  
Odpowiem na wszystkie drżące pytania  
twojej młodości; Me pulchne ramiona  
ochronią ciebie Chodź  
niechaj w twe usta włożę  
zatrutą komunię  
mojego szczerozłotego języka...

Tak mówił Bi Ef Ti a słońce prażyło niemilosiernie  
Królewski Pawilon drgał lekko na promenadzie  
rozmyty w błękitnych mgiełkach a płaskie kamyki  
którymi są usiane tamte plaże nie pozwalały swobodnie  
niemyśleć

Wieczorem odbyło się Wielkie Przyjęcie  
na które Arcybiskup zaprosił tysiąc osiemset dwanaście osób (mniejsza o symbolikę liczb)  
a w kuchni na podłodze znajdowały się dwie warstwy gęsto ustawionych butelek z planszami  
wskazującymi gdzie szukać  
red wine gdzie sherry a gdzie  
urzęduje Ciocia Lou czyli maskotka  
wieczoru W hinduskim zawoju na głowie i w arabskim burnusie  
miała na policzku pieprzyk i mówiła zachrypniętym basem:

kto chce się dziś ze mną przespać  
niech pisze podanie do  
piekła  
bo noszę wciąż w sobie niewygasły płomień  
diabelskie nasienie młodości  
W Paryżu w Hamburgu i na Sumatrze  
gdzie mąż mój miał hodowlę węży  
kochałam się z nim w hamaku  
i wtedy nazwał mnie  
Fred...

(dwa dni w hamburgu u karla i carstena KONIECZNIE opisać wycieczka do wedel piwo  
astra potem

wizyta rodziców karla ewa zakochuje się w carstenu a on nic zupełnie nic co za nieszczę-  
ście zakochać się w kimś TAKIM ewa załamuje się patrzy wzdycha karl i carsten jakże piękni  
zachód słońca nad takim małym śmiesznym jeziorkiem w samym środku miasta piwo zimne  
piwo taras kawiarnia pismo DU und ICH co za świnstwa nagi rudolf valentino jak to! więc on  
TEŻ??? co za zdziwienie biedna mała carsten nie patrzy na nią jest mu przykro najchętniej

by wszystko ale to  
wszystko zmienił  
to znaczy  
żeby ewa była chłopakiem)

## Jak się ten świat kręci

I tak się ten świat kręci, mawiają czasem mądrzy ludzie, gdy się na chwilę zapomną.  
Wszystko się miesza, kołuje, drzewa umierają stojąc, czekamy na Godota.

– Masz coś nie tak pod sufitem – powiedziała by ktoś przenikliwy.

Niewielu jednak jest ludzi przenikliwych, dlatego mając zwyczajnie i po prostu coś nie tak  
pod sufitem, nadal mogą liczyć na ludzką tolerancję (dziwne słowo, prawie już zapomniałem,  
jak się je pisze). Rzekłbym nawet, że moja szajba w pewnym sensie ludziom odpowiada:  
czują się przy mnie bardzo NORMALNI, bardzo PRAWIDŁOWI. Ach prawidłowość! Nie-  
szczęsna prawidłowość. Z niej bierze swe początki wszystko zło. Ohyda NORMY, która  
wbrew naukowym dowodom przecież nosi w sobie nieskończoną różnorodność świata; znów  
szczerzą się żółte zębiska z jakiejś przemądrzałej kanapy: jesteśmy normalni, to znaczy, że  
ani o jotę nie różnimy się od siebie, jak seria kremów do golenia, jak poszczególne centyme-  
try papieru toaletowego.

Poszukiwanie siły w jedności (jednakowości)?

Lęk przed niespodziankami?

Wieczne ludzkie NIEPRZYGOTOWANIE?

I tak wciąż od nowa, z każdym wschodem słońca, z każdym obrotem koła (historii?), powracamy do punktu wyjściowego.

I tak się ten świat kręci.

Postscriptum:

Kochani! jeżeli kiedykolwiek będziecie w Neapolu, nie omińcie via Caracciolo (ten szyk! ten gwar!), kaplicy Sansevero (gdzie cudowna statua Christo Velato wyrzeźbiona w przezroczystym marmurze przez Giuseppe Sanmartino) oraz zamku Capo di Monte (widać go najlepiej z placu Municipio). Kilkuset pokoi Palazzo Reale nie warto nawet brać pod uwagę: są wszystkie jednakowe, złote i purpurowe, i obrazy w ciężkich ramach, i świeczniki ze złoczonego brązu. A kiedy zmęczy już was złotogłów, klejnoty oraz cała ta włoska jatka historyczna (książę di Sangro wlewał swym służącym płynny metal do żył), to przejdźcie się promenadą nadmorską via Partenope, której jedną stronę stanowią olbrzymie secesyjne gmazyska. Wy jednak idźcie drugą stroną, wzdłuż kamiennej balustrady, nad którą przefruwa lekki słony wiatr od morza, i odczytujcie nazwy hoteli oraz magazynów, jeśli wam nagle nie przesłoni ich kolorowa ciężarówka z napisem Shell.

Hotele: Excelsior, Vittoria, Royal, Santa Lucia.

Magazyny: Chrysler, Simca, Alfa Romeo, Renault.

Poza tym kawiarnie, gięto-krzeselkowe, daszkowe: Chalet de la Ville, Chalet la Fontanina

oraz wielki

kryształowo-nikłowy

salon firmy Lloyd Adriatico Assicurazioni.

Jeżeli jeszcze wasze słońce od wiatru twarze owieje słoneczny zapach Chanel 5 (oczywiście Amerykanka, kraciaste dżerseje, kodak, zęby, uśmiech, uśmiech szczęśliwy, zęby), to już z całą pewnością będziecie wiedzieli, że znajdujecie się

w NEAPOLU.

PARYŻ to wyrzeźbione w kamieniu arcydzieło artystycznej harmonii i racjonalizmu, gdzie każdy załom dachu, każdy narożnik, każde drzewo spełnia określoną ściśle kompozycyjną funkcję.

LONDYN zaś to niespokojny, metafizyczny gąszcz ulic, domów, parków, ludzi, tłum chaotyczny, nieopanowany, narastający ekscentrycznie wokół Westminsteru, jak drzewne słoje wokół swojego rdzenia. Dzieło gwałtowne, nigdy nie ukończone i jakby z zasady niespójne, to znaczy, że ktoś, malując ten obraz, nie wiedział dokładnie, co chce namalować, i dodając wciąż farby, łamiąc harmonię i perspektywę, burząc tło i domalowując je na nowo, zmierzał powoli do absolutnie doskonałego portretu ludzkiego niepokoju i zachłannej wyobraźni

(uwaga! nie byłem nigdy w Nowym Jorku ani w Rio!)

Paryż zbyt jest wyważony i przemyślany: taki trochę staromodny esteta i znawca win. Warszawa to tragiczna snobka całkowicie pozbawiona wiary w swoje możliwości. Rzym przytłacza swą pontyfikalnością i zmusza do agresji (patrz Gombrowicz, gdy nie zdjął w Ba-



zylice kapelusza). Jedynie Londyn, ta swojska metropolia, która umie być i wsią, i cyganerią, i wytwornym salonem, i pogaduchą przy piwie (czy aby nie za bardzo dają się OPANOWY-WAĆ temu miastu??????????).

## Jedyna noc w Brukseli

którą spędziliśmy leżąc do białego rana na gorących płytach Grand Place, gapiąc się w rozgwieżdżone niebo, i było nam jak nigdy dobrze.

Wieczorem tłumna społeczność placu dzieli się na trzy kategorie:  
siedzących (w eleganckich kawiarniach pod arkadami, skąd dobiega muzyka skrzypiec lub pianina, głuszona nieco dyskretnym szcękaniem stołowego szkła. Cecha charakterystyczna siedzących: na ich twarzach śmiertelnie znudzony Wielki Świat, a na stolikach kosztowne aparaty fotograficzne)  
chodzących (wokół placu, godzinami, do obłędu, przy akompaniamencie gładzenia jakiejś żony lub kochanki, która OBOWIĄZKOWO ma spuchnięte w kostkach nogi, a w garści ściska kurczowo plastikową torbę z kanapkami. Są to najczęściej oszczędni Niemcy, którym żal wydawać na kawiarnię, lub niepewni siebie Polacy, którym brak odwagi, aby tak jak my przejść do kategorii trzeciej)  
leżących (których znak rozpoznawczy to cielecy zachwyty, że tak leżą sobie i gwiazdki im spadają, a nie opodal grupka Hiszpan tańczy flamenco i jakiś brodacz brzdąka na gitarze, i jest upalna noc, i są wakacje, i OSZALEĆ MOŻNA...).

Potem Ewa pije Stella Artois, ja piję Pale Ale na przemian z Heinekenem. Siedzimy na giętych krzeselkach przed piwiarnią, obok Manneken Pis oraz pielgrzymki zachwyconych turystów. Ewa ma o coś do mnie żal. pretensja wisi jej tuż-tuż na koniuszku języka, zapala się złym ognikiem w kąciku oka.

Lecz w sukurs przychodzi nam młody chłopak w obcisłych do granic wytrzymałości dżinsach. Mija nas kręcąc tyłkiem. Ogląda się znacząco. Wybuchamy śmiechem.

Jednocześnie – inny śmiech. Dwóch Anglików z dwiema żonami. Oni grubawi, z portfelami, weekendowo uszczęśliwieni. One – koszmarnie szkapy w niezgrabnie noszonych wyjściowych sukienkach. Chichoczą z byle czego, sprzączka urwana przy bucie wywołuje istne paroksyzmy. Wszelkimi siłami usiłują być szampańscy, jak na ciężko zapłacony weekend w Brukseli przystało.

Za dwa dni wrócą do biur, by sycić się zazdrośnymi uwagami kolegów. One zaś znów pograżą się w gorzkim niezaspokojeniu starzejących się pań domu.

— Jaki smutny potrafi być czasem czyjś śmiech – mówię mało ciekawie.

Ewa popatruje mądrze przez chwilę. Pociąga łyk i mówi:

– Wiesz co?

My nie musimy BYĆ weseli.

Nam po prostu JEST dobrze.

## Hansaplatz w Hamburgu

Mały, krągły placzyk. Pośrodku pomnik osrany przez gołębie. Siedzimy, pijemy ciepłą Fantę oraz Lifta prosto z litrowych butelek. Lift jest lepszy. Gapimy się na bramę burdelu.

Jedna dziwka gruba, w gładkim zielonym. Druga chuda decha w granatowe grochy. Zakład, która pierwsza złapie fart. Czekamy. Fanta się kończy. Wreszcie zajeżdża białe volvo. Dziwki robią się czujne. Posuwają bliżej z obu stron. Volvo chwilę waha się. Odjeżdża. Dziwki pySKUją. (hotele: Intim. Eros. Sexy.)

Mówimy o Karlu i Carstenie. Ewa odnalazła w nich tak zwane ciepło oraz dobroć. Dmie w trąby pod tytułem:

nie wolno niszczyć uczuć.

Próbuję nieśmiałyach trąbek ironicznych. Ewa krzyczy na mnie: nie wolno niszczyć siebie!!! (hotele: Liebe Mutti. Paradise.)

Wyjaśnienie: dąć w trąby oznacza przemawiać do Boga, do Sumienia oraz do Moralności. Dęciu w trąby towarzyszą rozszalałe kotły, pioruny oraz Walkiria cwałująca dziko przez ciemną noc metafizyki.

Dąć w trąbki znaczy uprawiać lekkie zaśpiewy umoralniające z towarzyszeniem sekcji rytmicznej. W sumie sprowadza się to do nieszkodliwego gędzenia na temat „życia”, „ludzi” i tak dalej, gdy akurat nic ciekawego się nie dzieje. Są jeszcze fleciki, czyli piti-piti na strunach serduszka pod tytułem „dlaczego mnie nie kochasz” i tak dalej. Występują najczęściej w sytuacjach à deux, gdy jest się albo jeszcze PRZED, albo już PO.

## Ramiona ciotki mej...

### I

pachnące szamponem i pudrami;  
knajpa Cafe de Paris na Kurfürstendamm  
szczupły blondyn  
trujący błękit przezroczystych oczu  
i powieść Les Pompes Funebres oczywiście  
Genêt.  
(ta krowiasta Niemka  
z ekspresu Ostenda—Wiedeń  
jakże wstrząśnięta  
gdy przerwałem nagle uprzejmą konwersację  
na temat Chin i polityki wewnętrznej  
rządu angielskiego  
Bo on siadł vis-à-vis  
poprawił poły flanelowej marynarki;)

– OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

ramiona ciotki mej  
pachnące mydłem LUX i płynem do kąpieli FENJALA  
pub King William na Hampstead  
genialny mały Sean  
o malajskiej twarzy tygrysięgo milczenia  
mówi pogardliwie: Europa straciła już swoją szansę.

Milczę.

Szczupły blondyn  
pachnący kąpielą  
przypadek  
czy może —  
żywa delikatna dłoń  
kufel  
rąbek piany na wardze  
i znów —

Ramiona ciotki mej  
pachnące świeżą skórą  
Niesłychane ramiona  
otwierające się zawsze tym jednym ruchem otwarcia  
nie zamykające się nigdy;  
Pachnące latem ramiona  
szansy  
której nie wolno  
zlekceważyć.

## II.

Ciotka jest NIE-DO-OPISANIA. Ma dziewięćdziesiąt lat. Ma kochanka. Nosi wielkie kapelusze. Kokietuje mnie, ilekroć na peronie dworca Zoologischer Garten

jej biały kapelusz

torba z bananami

– żebym się już teraz posilił

obiad dopiero o drugiej

jedziemy szerokimi alejami Berlina, samochód kołysze, robi się słodko, leniwie, banany, ciocia uśmiechnięta za woalką.

Przy kawie włącza gramofon. Uczy mnie shimmy i one-stepa.

– Pytasz po co? Ty w ogóle PYTASZ po co? Jak to! Kulturalny mężczyzna musi umieć tańczyć!

– Że co? Że już nie shimmy? Co ty tam wiesz. Nie miałeś jeszcze okazji do niczego wracać. Ale zobaczysz. To ja mam rację.

Wieczorem alkohole. Ma łeb mocniejszy ode mnie. Pijaniuteńki w sztok nuceę fokstrotą *Lady Hamilton*. Ciotka w tym czasie urządza rewię mody: Monte Carlo tysiąc dziewięćset dwadzieścia, Baden-Baden tysiąc dziewięćset trzydzieści... kapelusze, koronki... umieram, ginę, nie ma mnie, rozplwam się w alkoholu, wsiąkam w aksamit fotela... dym, muzyka, ciotka wirująca na dywanie, nie ma mnie, niknę, ciociu... ratuj...!!!

– Rano na katzenjammer najlepsza kiszona kapusta.

– W ciągu dnia do picia tylko zimna herbata.

– Wieczorem mocna kawa i znów można od początku.

Ciociu! ILE TY MASZ LAT????!!

– Nieważne, kochany. Zapytaj, na ile się czuję... (toast pod następne stulecie).

– A twój kochanek?

Ciotka milknie. Mrozi się.

Po chwili wyniośle, manierycznie:

– Prawdziwy gentleman w rozmowie z kobietą nigdy nie użyje słowa kochanek. Powin-  
nam się obrazić. To jest tylko mój dobry przyjaciel. A że czasem pocałujemy się w tańcu, cóż  
w tym złego?

(...już-już, kochanie, tylko szczękę wyjmę...)

Przy koniaku rozkleja się. Pyta:

– Ty jesteś lekarz, ty mi powiesz. Czy w moim wieku TO może zaszkodzić?

– Co, ciociu? – pytam niewinnie.

– Ojej, pytasz, jakbyś się wczoraj urodził. No TO... – poprawia suknię na kolanach – z  
nim, no wiesz...

– Wie ciocia, ciociu to może nie zaszkodzi – mówię mądrze – ale jemu na pewno tak.

– Ale on przecież jest zupełny szczeniak! – denerwuje się ciotka – dopiero sześćdziesiąty  
piąty mu idzie...

O ciotce napisałem cały cykl wierszy pod tytułem „Berlin Tańczący”. Żaden w druku się  
nie ukazał. Może były zbyt świńskie, może zbyt dekadencjne... Za ciotką ciągnie się obło-  
czek przeszłości, złocisto-burdelowa chmurka berlińskiego Babilonu lat dwudziestych. A ona  
sama, figlarna i erotyczna, ogląda się na ulicy za chłopcami, przekomarza się z listonoszem.

Czas to jest bardzo dziwna rzecz.

Niektórzy umieją się z nim dogadać.

*„Większość ludzi ma, jak rośliny, ukryte właściwości, które ujawnia przypadek.”*  
(LA ROCHEFOUCAULD)

## Rozdział ósmy

### I.

„...spod lewej powieki wyjąłem senną pompkę milczenia...”  
(Gałczyński czy Krzyś Czajka? Warszawa czy Bielsko-Biała? leżałem na włochatym dywanie czy siedziałem w fotelu? czy szklanka którą trzymałem miała pęcherzyk powietrza utopiony w grubym dnie? położyła fotografia starej zakonnicy chyba jeszcze holenderskie cygaro od którego zrobiło mi się niedobrze czytaliśmy wiersze czy coś nam się wspólnie śniło...?)

Astragale są to wałeczki.

(komplet z kremowego krepdeszynu. zakiet w stylu klasycznego cardiganu. bluzka biała. jedwabna. szyfonowy kwiat. perły długie. lśniące. w kilku sznurach.

cygarniczka ogromna. namiętna. symbolicznie wysterczająca z nieskromnych pasowych ust... temat muzyczny: johnny wenn du Geburtstag hast...

fox-erotic)

Być różą? Dwuznaczną? Poetycką? Pachnącą raz tak, raz inaczej?

Czy raczej: być możliwością róży.

Obietnicą róży.

Ciągłym stawaniem się różą, jej wzrastaniem, czerpaniem soków ze zdumiewającej gleby, rozkwitaniem co sen i umieraniem co chłodne, szare przebudzenie.

Wyrastaniem z najgłębszego swego niepokoju.

I nieznajdowaniem miary w żadnym wcieleniu.

### II.

## Kuzynka Domów Panujących

To prawda, że drobiazgi bezlitośnie demaskują przed nami inne osoby. Lecz też to, na jakie drobiazgi zwrócimy u kogoś uwagę, a jakie nam umkną, w nie mniejszym stopniu nas demaskuje przed innymi. Patrz:

Agnieszka, dla której wciąż jeszcze ma swoje Ogromne Niepodważalne Znaczenie łyżeczka do herbaty położona wzdłuż spodka, broń Boże oparta o krawędź! a także rodzaj otrzymanywanych kwiatów: tylko nie goździki!

choć niby dlaczego nie?

ale cóż, tak już jest, że Prawdziwie Elegancki Mężczyzna darowuje wyłącznie róże, bez dodatków, wstążeczek itp. Lub tulipany. Frezje wyglądają podejrzanie. Gerbery dyskwalifikują w przedbiegach.

No ale goździki to już zupełne dno.

Poza tym skarpetki. Wyłącznie czarne! Nie wolno nosić wzorzystych! Kolorowe tylko do ekstrawaganckich strojów, lecz pod warunkiem, że jest to ekstrawagancja dyskretna!

I tak stale na wykrzyknicach oraz znakach zapytania (zdziwiona, lekko drwiąca linia Jej Arystokratycznych Brwi) żyje sobie ta Kuzynka Domów Panujących...

Aneks: Agnieszko! Jeżeli jeszcze raz będziesz się „odpowiedzialnie wywiązywała” z czegokolwiek, jeżeli jeszcze kiedykolwiek uznasz coś za „szlachetne”, „bezdyskusyjne” lub „rozsądne”, jeżeli jeszcze raz „prześlesz ukłony”, a pod listem zalatującym pluszowymi kanapami podpiszesz się „szczerze tobie oddana”, słowem, jeżeli kiedyś znowu spróbujesz być sparaliżowaną ciotką ze złotym face-à-main w strupieszalej ręczce, jeżeli znowu poprobujesz mnie podszczypywać w policzek, pieszczotliwie targać za ucho i poklepywać z wyrozumiałą dobrocią, to, jak Boga kocham, wyciągnę ci nos jak makaron, zwiążę w петельkę i przybiję zardzewiałym gwoździem do ściany, a na zwisającym końcu będę się bujał od rana do wieczora...

Agnieszka umie stwarzać atmosferkę. Zapala świece w srebrnych lichtarzach. Miękkie smugi światła na wieku fortepianu. Lekkie tiule wachlowanych wiatrem firan. Jakiś łagodny pasaż. Białe dłonie pianisty.

I księżna: – Ach, mistrzu! Jak pan pięknie gra...

– A tak sobie popierdalam.

I teraz oto stoję JA.

Oparty o antyczną sekretkę. Popijający białe wino z kieliszka na cienkiej nóżce. Obrzucają mnie ciekawymi spojrzeniami. Taksują moje dzinsy i łatany sweter. Sprawdzają, czy pasują do siebie. Siedzą wokoło grubi, chudzi, już znudzeni, choć nic im się jeszcze nie znudziło, już obrażeni, choć jeszcze nikt się do nich nie odezwał. I ich kobiety, wyżarte babiszony wbite siłą parowego młota w pękające w szwach jedwabie, torturujące swymi cielskimi kruche krzeselka, wyrastające z wyściełanych fotelików jak olbrzymie guzy nowotworowe zbuntowane przeciwko własnej formie, bezkształtne i bezlitosne, z tępo-wrednymi uśmieškami przyklejonymi do uszmińkowanych pysków. Albo chude, jadowite deski do prasowania, z zębami na wierzchu, z oczami sprytnymi dookoła głowy, niepokonane w plotce, niedościgłe w bezinteresownej złośliwości, zażarte w swej ohydzie, perwersyjnie podkreślanej pieszczotliwością uśmiezków, z których cieknie żółć, i spojrzeniami spod sztucznych rzęs, w których kłębi się cała ich żyłasta, niezaspokojona babskość.

Agnieszka wśród nich lekka, świeża, czarnowłosa, we francuskim golfie, z długą cygaretką. Rozmowa oczywiście o sztuce. Boska niekompetencja znawców, oglądających świat z autokaru, stałych bywalców klubów zagranicznej prasy, gdzie w obszerną płachtę „Le Monde” nieznacznie wetknąć można ostatni numer „Przekroju”. Zerkają na mnie. Czekaają na mój bunt, na świństwo, na coś, co ośmieli się rozbić ich konwencję, aby tym zgodniej mogli wystąpić w jej obronie, tym bezlitośniej wyśmiać, wyszydzić i raz jeszcze potwierdzić odwieczną prawdę własnej niezniszczalności.

Snoby. Zawsze takie same. Zawsze zwycięskie. W każdej epoce przodują, w każdym stroju kolaborują, albowiem ryzyko walki o prawdę, o siebie, o autentyczność zgrabnie potrafią zastąpić bezpieczną łatwizną pozorów. Agnieszka. W locie. Od znanego malarza do młodej stypendystki z Leningradu: – Ach, kochanie, popatrz, ty znów w Warszawie, zagrasz coś dla nas, prawda?

I biedactwo przyszpilone do taboretu wali mazurki, walce, wypluwa etiudy i ronda, zmusza fortepian, by gadał za nich przez chwilę, póki znów nie nabiorą sił, by z filiżankami, widelczykami, achami i ochami ruszyć do szarzy na następnego gościa.

Niech powie, niech zaśpiewa, niech obnaży przed nimi część swą bezbronnej prawdy, aby ją uklepać mogli chętnymi oklaskami...

(– jaka jest różnica między uprzejmością a hipokryzją?  
– taka, że uprzejmość nigdy nie daje się przyłapać).

Znów spotkanie z Kuzynką Domów Panujących. Tym razem w Sopocie, który coraz mniej przypomina wykwinny kurort, zaś coraz bardziej podupadający burdel. Kuzynka jednak nie zauważa zmian. Ze znużeniem rozgląda się wokoło, łowi w tłumie garnitury i kapelusze z wytartej słomki, drobne dyskretne pierścioneczki na pomarszczonych palcach, brwi wyskubane i wyrysowane na czole cieniutkim łukiem, wargi wąziutkie, zapadnięte, wymalowane w serduszek – wszystkie te znaki rozpoznawcze BeZetów, czyli Byłych Ziemian.

– Wiesz, tu jednak nadal przyjeżdża NIEZŁE towarzystwo... – A po chwili: – Po południu idziemy na wyścigi konne, wieczorem będzie bridż, przyjdiesz?

W słowie brydż grubiańskie ygrek zostaje zastąpione cienkim wytworkim i. Wypstryka ono pomiędzy oszczędnie zasznurowanych warg niby pogardliwa szpicruta i tnie wokoło po chamskich pyskach, nachalne, wyniosłe, wwierca się w mózg jak arystokratyczny świderk dobrego wychowania i wykwinnej dykcji.

Bridż.

Nie. Nie przyjdę na bridża, bo mnie nudzi. Na wyścigach też mnie nie będzie, strata czasu, zresztą byłem już kiedyś w Ascot, tuż obok rodziny królewskiej... (ach! doprawdy?! I jak wyglądała moja ciotka?)

– Jaka ciotka?

– Elżbieta.

– Jaka Elżbieta?

– No, moja ciotka. Królowa.

Milknę. Coś we mnie kipi, ale jeszcze nie wiem co.

Kuzynka patrzy na mnie leciutko uśmiechnięta. Patrzy. Czeka. Patrzy.

Coś we mnie rośnie, ale nie wiem co.

Lecz ona wie, że zanim się dowiem, już będzie po wszystkim. Już jak zwykle wezmę ją wpół, przytulę i powiem czule z domieszką wścieklej rezygnacji: – Agniecha, ty cholero, dałabyś wreszcie spokój dworom europejskim, tak jak one już dawno temu dały spokój i tobie, i twojej rodzinie.

Ale jeszcze nie skończę zdania, gdy ona w krzyk: – Jak to! Dały spokój! Też coś! Co ty opowiadasz! Ciocia Burbon wizytuje u nas co rok, uwielbia Warszawę, a jak zmarł Radziwiłł, pamiętasz, kondolencje mieliśmy z całego świata. Dali spokój, też coś...

I długo jeszcze mruczy do siebie SZCZERZE OBURZONA.

Kuzynka Domów Panujących przekabacna przeze mnie, przewrotnika i czasem łobuza, zaczęła wreszcie stawać okoniem własnej genealogii.

Skandal! Panika w rodzinie! Agnieszka klnie! Opowiada sprośne dowcipy! Głośno odbija przy obiedzie! Cioci powiedziała: „odpieprz się”! Wujowi: „ramol”! Skandal! Skandal! Wtedy ja do niej:

– Kochana, jesteś neofitką. Ucz się dwuznaczności zachowań. Dwupoziomowości znaczeń. Ucz się podtekstów, ironii, a porzuć lub ukryj święty gniew świeżo nawróconej na ryszotki i bezceństwa. Przecież wiesz, że z TWOJĄ KRWIĄ i tak nigdy nie zdołasz upaść dostatecznie prawdziwie, aby ich przekonać. A zresztą – po co właściwie masz upadać. Twoje



całe zadanie to rozbić ich konwenanse, zdeorientować ich, zagubić we własnym świecie, który sobie wygodnie ponazywali. Najlepsza zaś jest dezorientacja podskórna, taka, która ma blaskiem prawdy, choć przecież skrywa w sobie najokrutniejsze perwersje i najotchłanniejsze piekła anarchii. A więc stanowczo bądź przeciw nim, lecz też jakby po trochu w ich kierunku się skłaniaj, w półukłonie, w półgębku, w półmroczyku, perfidnawo, złośliwie, padamdonózek, ach cioteczko! lecz też im bardziej, ach cioteczko, tym mocniej wdupęmniepocałuj, ale bez tej dupy, na Boga, obrzydłej, upačkanej, za którą natychmiast wykopuje się za drzwi, ale w pupkę mnie pocałuj, w pupkę różowiotką, wypudrowaną, pocałuj mnie w pupkę, aż nadejdzie czas, gdy...

Ha! Tu mi przerywa. Pokazuje urwany pasek od zegarka. Martwi się, posmutniała nagle, bezsilna.

I wnet wraca na łono rodziny, która szczęśliwa, że może zbłąkanej owcy okazać swe miłosierdzie, zaraz jej szykuje pyszną, świeżo zaparzoną herbatkę.

### III.

## Babcia

Introdukcja i fandango Boccheriniego.

Astragale są to waleczki.

Na obrazach Rembrandta – Saskia.

U Malczewskiego – ruda, chimeryczna demonessa.

Seurat jest przedstawicielem pointyilizmu (Babcia Szott-Zaleska na wystawie malarstwa współczesnego: dlaczego te głowy są ucięte? twarze zielone? ludzie bez nóg? nogi z oczami? dlaczego ten świat taki jest bez barwy? bez rozmachu? Profesor Tatarkiewicz uczył kolorystyki. Malowania portretów tak, aby były podobne. I świat żeby był podobny do świata. oko do oka. kwiat do kwiatu. dlaczego na tych obrazach nic nie jest do niczego podobne? ludzie nie są ludźmi? świat jest koszmarnym snem?

Profesor Tatarkiewicz uczył mnie kolorystyki. Uczył też, że najważniejsza ze wszystkiego, nawet ważniejsza od kolorystyki, ważniejsza od perspektywy, jest miłość. że bez miłości nie ma sztuki.

dlaczego na tych obrazach tyle jest nienawiści...?)

Babcia jest przygłucha. Ma dziewięćdziesiąt parę lat. Maluje. Czyta. Wspomina pałac koło Nałęczowa. Ossowieckiego. Wycieczkę autem po Europie (w Monte Carlo dostałam grypy. W Paryżu była mgła. W Brukseli padał deszcz. W Berlinie zepsuł się nam samochód. Zjechałam całą Europę i nic nie widziałam. Pamiętam tylko małą gospodę w Czechach, gdzie nie było mgły, nie padał deszcz, samochód działał, a ja byłam jeszcze zdrowa).

Babcia do dziś jest wierna miłości, bez której nie ma sztuki. Oraz życia. Z biegiem lat wzrastało w niej pragnienie i jednego, i drugiego. Jej ostatnie obrazy są spokojne, radosne, pełne ukochania tego, co odeszło. W pastelowych kolorach zachodzą umarłe słońca Lubelszczyzny, śmieją się córki w białych tenisowych strojach, gołąb przysiadł na gałęzi...

No i ostatnia miłość Babci, młody malarz szczeciński, subtelny, przystojny Maciej.

– Więc jak pan mówi, panie Grzesiu? Woltmann? Mój Boże, to straszne! Tak się przecież nazywa odmiana ziemniaków, ojej, Woltmann – wzdycha Babcia, która jest markizą – (to pan

jest hrabiczem, panie Grzesiu, ach, cudownie! teraz to już możemy spotykać się bez przeszkód – szczebioce na spacerze. A kiedy komar siada jej na policzku i usiłuję go odpędzić, woła radośnie: – W pysk, panie Grzesiu! Niech pan w pysk wali! Od hrabicza w pysk dostać to i markizie wypada!).

A Maciej organizuje wystawę obrazów w szczecińskim Zamku. I Babcia niby to na grób męża wymykała się z domu zarumieniona, w obłoczku sekretnych perfum, z leciutkim makiżajem kładzionym pośpiesznie w bramie. I czeka, a gdy on nadchodzi, niby to właśnie PRZYPADKIEM tędy przechodziła. I – jak to miło pana znów ujrzyć (ukradkiem poprawia kapelus) – bo wie pan, my artyści powinniśmy trzymać się razem. Że też mi pan nigdy swoich obrazów nie pokaże...

– Tak... rzeczywiście... – peszy się Maciej – ale wie pani co? właśnie idę do swojej pracowni, to niedaleko. Przejdźmy się razem.

– No nie wiem, czy będę teraz mogła – zwleka Babcia, nagle manieryczna, dobrze wychowana (niech on sobie nie myśli, że mu tak zaraz, za pierwszym razem, łatwo pójdzie!), właściwie wybieram się na grób męża...

– Trudno, wobec tego kiedyś indziej – Maciej kłania się, całuje w rękę.

I zostaje sama. Wraca smutna do domu. Bierze krople i leży cały dzień w swoim pokoju, popłakując od czasu do czasu.

– Niech pan go jakoś przeprosi ode mnie, panie Grzesiu. Taki był smutny, kiedy mu tego kosza dałam. Niech pan mu powie, że my artyści nie powinniśmy być małostkowi...

W czarnym kapelusiku, z apaszka przewiązaną wokół szyi, z wielką czarną torbą przewieszoną na ukoś przez poły fantazyjnego prochowca łowi wyblakłymi oczami kolory zmierzchu, pomarszczoną twarz nastawia ciepłemu wiatrowi...

I taką ją zapamiętam, gdy mówi: – To nieprawda, że nienawiść cokolwiek buduje. Nienawiść wszystko niszczy. Także talent. Buduje tylko miłość, tylko ona jest coś warta na tym cholernym świecie...

– Ile krzesłek miał lord Blotton, babciu? (zobaczysz, że ona będzie wiedziała).

– Kto miał, Nataleńko?

— Lord Blotton, babciu! (w prawe ucho, bo lepiej słyszy).

— Blotton? Ach tak, pamiętam, zdaje się jedenaście?

Siedzimy osłupiali. Natalka czerwienieje z radości.

No nie. Tego Gombrowicz nie przewidział.

– Jak to miło z pana strony, że mnie pan na wystawę zaprasza, panie Macieju. Specjalnie sobie na tę okazję nogi umyję.

A może i coś więcej...

(Maciej robi się czerwony jak burak. Spuszcza oczy. Dusimy się ze śmiechu. Babcia puszcza do nas oko. Wychodzi, wyfruwa chichocząc.)

KONSTERNACJA!

– Nie bądźże staroświecka, babciu – droczy się Natalia – wiesz przecież, że my ze sobą śpimy już od dawna.

– Ja wiem, wiem kochaneńka – rumieni się Babcia – nie o to mi idzie, tylko o te... no wiesz... (rumieni się jeszcze bardziej, odwołuje na boczek, szepcą, Babcia grzebie w torebce i coś po chwili wyciąga).

– No nie, babciu! Tego już za wiele! – woła Natalka szczerze oburzona i pokazuje pudełko z pigułkami.

– Ależ kochaneńka, nie bądźże staroświecka – chichocze Babcia i umyka do swojego pokoju.

I taką ją zapamiętam, gdy płacząc w słuchawkę, mówi błagalnie:

– Niech pan powie, panie Grzesiu, że to nieprawda. No niech pan powie. On nie mógł wyjechać. Tak po prostu, bez pożegnania...

...aż dobra Babcia Derby-Crown  
nakryje się salopą  
i wnet pożegna krzywy kram,  
co zowie się Europą.

Jeszcze pociągnie z China Blau  
potężny łyk herbaty,  
obetrze nos i powie: ciao!  
bywajcie, stare graty!

Doprawdy dość was wszystkich mam,  
bye, bye, panowie, panie,  
już wszystko wiem, już wszystko znam,  
za stare jest to dla mnie.

Bywaj, Europo! Wiedersehen  
Paryże i Florencje!  
wreszcie zdecydowałam się,  
nie chcę was widzieć więcej!

Podłubie w zębach chwile dwie,  
ani się nie spostrzeże,  
że okręt morskie fale tnie  
i niknie już wybrzeże...

Tak lekko mi i słodko tak!  
kopnęłam ją ukradkiem,  
tę starą kurwę. Niech ją szlag!  
Odpływam na Kamczatkę!

I taką ją zapamiętam, gdy mocno ściskając mi dłoń, mówi:

– Do zobaczenia, hrabiczu. Niech pan nie zapomina markizy, której dał pan w pysk.

I niech pan napisze czasem, czy świat jest naprawdę taki, jakim go sobie wyobrażaliśmy.

I czy jest pan

szczęśliwy...

## IV.

Wszystko rozłazi mi się w paluchach jak zetłła guma. Dreszcz zgrozy mnie przenika na myśl o jakimś spotkaniu wieczorowym typu: wrażenia z podróży, slajdy, fotografie, rozmowy, rozmówki, pogaduszki, świntuszki i pitigrilli nad filiżaneczką mokki i tortem na talerzyku.

Przeszłość przywala mnie ogromną górą, spod której powoli, wiersz po wierszu, linijka po linijce usiłuję się wydostać.

I jeszcze do tego: idiotyzm ludzi, idiotyzm studiów, idiotyzm czasu, którego jak zwykle nie udaje się rozciągnąć.

(biedni ludzie! znów im się za nic dostało!

Byłby największym mędrcom ów, co by nareszcie wyjaśnił, kim właściwie są ci tajemniczy „ludzie” lub „oni”, uważani zazwyczaj za czynniki sprawcze wszelkiego zła spadającego na osoby prywatne oraz publiczność.

„już ONI wiedzą, z której strony nas uderzyć”

„nie bój się, już ci się ONI dobiorą do skóry”

I tak dalej.

A najczęściej bywa, że zalazła nam za skórę jedna jedyna osoba, przez którą dostaje się całemu rodzajowi).

## Czekanie

W życiu brak jest czasu na czas. Przebywamy wciąż obok siebie, stwarzani przez marginesy, formowani przez przypadki, wypełniają nas okruchy, resztki tego, co powinno być naszą pełną osobą, naszą osobą prawdziwą lub, przynajmniej, naszym ku niej upartym podążaniem. Niestety. Wciąż mamy za mało czasu, aby całym sobą przebywać w tym czasie, który akurat jest. Znakomity paradoks: jest idem i jest idem, ale brak między nimi per. To tak samo beznadziejne jak dwa koła, którym brakuje ramy.

Większość zatem czasu spędzamy jak bądź, odwalając minuty i godziny w oczekiwaniu jutra, pojutrze, bo oczekiwanie jest bezpieczne, bo zwalnia nas z obowiązku uczynienia czegoś sensownego z chwilą, która właśnie trwa (a kiedy właściwie TRWA chwila?).

Szkopuł w tym, że prawdę mówiąc, nie bardzo wiemy, co robić z chwilą, która, jak sama nazwa wskazuje, jest krótka. A to, co za krótkie, nadaje się tylko do wyrzucenia. Co ambitniejsi wierzą, że nadejdzie Wielkie i Długie Wydarzenie, które wreszcie usprawiedliwi ich bezwład i indolencję... (ha! ambitni! Boże, na co stworzyłeś ambicje? odpowiedź: do zapychania dziur w duszy.)

Cała zaś nieambitna reszta łagodnie zezwala, aby kropelki życia wyciekały z niej dzień po dniu... „uśmiechnij się, jutro będzie lepiej” – brzmi radosne przesłanie piosenki.

Trochę inne jest przesłanie poezji: „jutra nie

ma.

jest tylko dziś

którego nie umiesz przy sobie

zatrzymać”.

melancholia, melancholia  
w kształcie wielkich sennych kół  
wolno toczą się te koła  
aby lekko opaść w dół...

(to nic nie znaczy, to tylko taka chwilowa niedyspozycja.

Jak zwykle wbrew wszystkiemu, czego sam siebie uczę i co wypominam innym, nie umiem oprzeć się tym miękkim, ciepłym napadzikom smutku.

To tak samo jak napadzik ciepłka, gdy nagle obejmuję E. i tuląc swój policzek do jej policzka, mówię: – No i cio, no cio, pupenka? A wtedy ona: – No no, widzę, że znów cię ciepłko napadło).

Prócz napadów smuteczku i ciepłka bywają też napady:

lodówki (jeżeli chcesz, potrafisz być nieprzyjemny – mówisz oschle do najbliższych na świecie osób, sznurując nieżyczliwie usta),

paskudy (jest to wyższy stopień lodówki. Wtedy już CHCESZ być nieprzyjemny),

salonu (salon napada ciebie wtedy, gdy nagle masz ochotę nałożyć rękawiczki „ruchem prawdziwej damy”, zaczynasz używać słów „wykwintny”, „wypada”, „należy”, prychnasz pogardliwie na taksówkę, gdy nie zatrzymuje się na lekkie skinienie twojej dłoni, oraz decydujesz się powiedzieć swym przyjaciołom „nareszcie parę słów PRAWDY”. Na tym etapie napad salonu zaczyna mieć wiele wspólnego z napadem paskudy).

Może też być napad szajby (wtedy chodzisz wspak, mówisz do wewnątrz, płaczesz na słubach i ryczysz ze śmiechu na pogrzebach), napad piwa (leziesz do pierwszej z brzegu knajpy), napad dyma (palisz najohydniejsze kipy z popielniczek) oraz spermocisk (leziesz do pierwszej z brzegu baby).

„...jestem sam, zupełnie sam, zagubiony jak pryszcz na pośladku...”

(z niczyjego wiersza. tak mi się po prostu pomyślało).

*„Sztuce niepotrzebne są tendencje – sama w sobie jest celem.”*

(F. DOSTOJEWSKI)

## Rozdział dziewiąty

### I.

Odrzućmy estetyczne złudzenia! Poeta nie jest już Pegazem społeczeństw. Poeta może być co najwyżej tych społeczeństw spowiednikiem. W nim sumują się grzechy i występki jego epoki.

I swoją poezją daje jej rozgrzeszenie.

Lub nie daje, jeżeli jest to poezja słaba, niepewna siebie i swoich ekspiacyjnych właściwości. Jeżeli jest tylko maleńkim, lirycznym okienkiem w inny świat, świat, którego wcale nie ma.

Dziś trzeba poezji silnej, bezwzględnej, apodyktycznej, która już dłużej nie chce bawić się ocalaniem tego, czego ocalić się nie da. Ona chce ZMIENIĆ świat w taki sposób, aby to, co ważne, miało szansę ocalić się samo.

Wiemy, że poezja nigdy świata nie zmieni. Lecz sens poezji to wiara, że jest inaczej. Jej siła to samej sobie wmówione przekonanie, że los świata od niej zależy.

I ta siła pomnożona przez to, co w ludziach z człowieka jeszcze pozostało, być może zdolna będzie ocalić nas przed samounicestwieniem. Nas, którzy nie umiemy już być liryczni, których gwiazda wypaliła się nieomal do cna, którymi prawdziwie i do głębi wstrząsnąć potrafi już tylko śmierć(?)

Trzeba poezji radosnej w swym szaleństwie, nie spokojnej w świadomym sobie smutku, świadomej w obłądnie, obłąkanej wśród puszek po piwie, w dzikiej muzyce, w tańcu pośród ruin.

Poezji, która, tak jak kiedyś człowiek, znowu potrafi sięgnąć szczytów swojego obłąkania i samego dna codziennej normalności. Która biletowi tramwajowemu nada godności boskie, a gwiazdy sprowadzi między nas, abyśmy znów mogli uwierzyć, że istnieją. I która wyszydzi miłość tylko po to, abyśmy jeszcze mocniej kochali, i opluje nasz sztandar, abyśmy go wyżej ponieśli.

Która zburzy nasze domy, abyśmy je lepsze budowali, i odbierze nam matki, abyśmy pojęli, czym dla nas są.

Poezji, która świecąca krechą wypisze na niebie wielki znak zapytania (...abyśmy nie pytali już więcej

o życie, choć ono jest,  
o Boga, choć on nas nie słyszy,  
o miłość,  
choć tuż-tuż o krok  
czeka...).

I która zniszczy wszystko, w co kiedyś wierzyliśmy, abyśmy na gruzach ukochali nareszcie cały nasz

utracony świat...

(a ona... poszybuje wtedy wysoko, spełniwszy postawione sobie zadanie, i spadnie znów któregoś dnia maleńkimi, skrzącymi się w słońcu kropelkami rosy, którymi na płatkach pierwszych wiosennych kwiatów znowu zachwycać się będą nasze dzieci...).

## Sprawa Manifestu

Młodzi gdańscy poeci postanawiają wspólnie ogłosić nowy manifest poetycki. Dopadają Pana Redaktora, szarpia, tłumacza, przekonują, aż wreszcie przyrzeka wydrukować w PO-EZJI.

Następnie proponują, abym się do nich przyłączył. Sprawa robi się interesująca: wyzwanie, pojedynek, totalny szturm na sprzedajną literacką rzeczywistość! Młodzi znów w natarciu! Drżysz, Ziemi! Kryjcie się, gady, nim zdepcze was mściwa stopa Młodości!

Siadam do maszyny. Nie! pędzę do maszyny! frunę, rzucam się na klawisze, w tyrtejskim szale płodzę, rżnę, spermą młodego buntu zalewam kartkę po kartce!

Wreszcie pakuję list do koperty. Adresuję: Cały Świat.

Nadawca: Młodość.

Wysyłam list. Drzę w oczekiwaniu.

Nic.

Cisza.

Wreszcie jakiś telefon, jakieś tłumaczenia, niedomówienia, aluzje. Pogadamy, jak przyjedziesz.

Przyjeżdżam: Anna smutna, coś męci, nawija, nie tak, nie tędy. Rozumiem z tego, że ktoś nawalił, ktoś nakrzyczał, ktoś oszukał. Nie wiem. Nie czuję. Nie chwytam. Ale słucham dalej: utopił, przepuścił, zamordował, czy powiesił, gwałcił, zdeprawował, zawiódł i nie dotrzymał.

Manifestu nie będzie.

Spisek Sprzymierzonych padł ofiarą własnej trutki. Wiatr zmienił kierunek i gazy wyduśły napastników.

Ella Fitzgerald smęciła z płyty swoje *Stars of Alabama*, herbata stygła w szklance, dym tytoniowy dodał trochę drapieżnej melancholii.

Życie.

Cóż.

W końcu jesteśmy młodzi.

I wszystko jeszcze przed nami.

A oto mój manifest:

## Dziewięć przykazań Gombrowicza

1. Nie pytać wciąż do znudzenia o cel, o drogę i tak dalej. Rzeka nie wie, po co płynie. Człowiek nie wie, po co żyje. Poeta nie wie, po co pisze. Poeta nie ma prawa tego wiedzieć. Jeżeli wie – nie jest poetą.
2. Żyć, żyć i jeszcze raz żyć. Stawać odważnie twarzą w twarz ze wszystkim, co jest naszym czasem. Naszą rzeczywistością. Choćby dlatego, że jest to jedyna rzeczywistość,



jaką posiadamy. I nie umykać przed nią w tani sentymentalizm, w pięknoduchostwo, które szczęśliwie już dość dawno temu zdewaluowało się samo.

Ani, z drugiej strony, w jeszcze tańszy naturalizm, który prostą drogą prowadzi do jednej tylko prawdy:

prawdy goryczy i bezsensu.

Omija prawdę nadziei.

Poezja karmi się nadzieją.

Życie jest nadzieją.

Poezja karmi się życiem.

Więc żyć, nie wiedząc po co, iść przed siebie, nie zadając zbyt wielu pytań i na żadne z nich nie znajdując właściwej odpowiedzi. Tworzyć, czyli pozwalać, aby tworzyło się samo. Z tego, co najpiękniejsze, najprostsze, a więc najprawdziwsze: z uśmiechem dziewczyny, z glinianego dzbanka, z biletów tramwajowych i ze słońca, które za każdym razem zachodzi inaczej.

Powinno zachodzić inaczej.

3. Zdumieć się i zachwycić, gdy w czasie wędrówki nagle, z jakiegoś pęknięcia rzeczywistości pozornie jednolitej, wyłoni się **DZIWNÓŚĆ**.

Te pęknięcia – to są właśnie wiersze.

Nie szukać ich więc, nie wytwarzać. Szeroko otwartymi oczami łowić świat nie okłamując siebie i innych, że **TAJEMNICĘ** można wyprodukować pracowitym, skrzętnym dłubaniem.

Na nią trzeba czekać.

Ukazuje się ona nielicznym.

Tym, którzy są cierpliwi.

Tym, którzy w nią wierzą.

4. Wierzyć – wierzyć. W cokolwiek. Byle wypełniło to pustkę pomiędzy pewnikami.

Wierzyć, że to, co robisz, ma swój sens. Nawet absurdalny, ale ma. Absurd to przecież jeszcze jedna z metod opanowywania świata. Nie gorsza, nie lepsza od innych. Wierzyć choćby w absurd, choćby w chaos, jeśli jest on poszukiwaniem nowego porządku.

Nowego Stworzenia.

Na innym niż dotąd poziomie.

I wierzyć, że na wyższym.

5. Kochać. Tego nie sposób, nie wolno ominąć. Kochać wszystko, co pomnaża w tobie świat. Pomnaża w tobie ciebie. Pomnaża w tobie drugiego człowieka.

Poeta musi ciągle uważać, by serce nie zmieniło mu się w maszynę do pisania.

Poeta musi bać się skostnienia.

Dla poety tylko miłość jest ocaleniem. Tylko ona daje mu szansę wyjścia poza siebie. Poza skorupkę własnej poetyckości. Tam, gdzie pośród ludzi, pomiędzy fugą Bacha i smażonym kotлетem, uśmiechem dziewczyny i słońcem na szybach, dzwonkiem tramwaju i sonetem Szekspira rodzą się wiersze.

Poeta je zapisuje.

6. Nie próbować rozumieć zbyt wiele. Poezja jest wprawdzie zdzieraniem świata masek, lecz czasem lepiej niektóre zostawić na swoim miejscu. Zdarza się bowiem, że choć są tylko maskami, są jednak ciekawsze, barwniejsze od tak zwanej nagiej prawdy. Poezja nie umie żyć bez barw.

7. Stawiać kabałę, wróżyć z fusów, grać w klasy. Powagę obezwładniać śmiechem, a śmiech wzbogacać wzruszeniem. Pamiętać, że poeta jest w końcu tylko jednym z ludzi i tak samo jak oni załatwia czasem fizjologiczną potrzebę.  
Z drugiej jednak strony nie samą potrzebą fizjologiczną żyje poeta. Siusianie lub kopulowanie ma prawo być tematem wiersza, lecz ostatecznie nie zawsze trzeba korzystać z wszystkich praw. O tym też się wie, jeżeli nosi się w sobie ziarno śmiechu, ziarno szyderstwa, również z siebie, a może przede wszystkim z siebie. Czyż nie jest to nowa szansa poezji: wyśmiać siebie samą, rozbić swój zwierzały estetyczny kostium.  
Dylan Thomas – to był ktoś.  
O nim też pamiętać.
8. Nie ludzić się, że poezją można cokolwiek wywalczyć. Poza wzruszeniem poezja nigdy niczego nie ukuła.  
Poezja służy utrwalaniu tego, co zdobywa za nią miłość i rewolucja.  
Poezja im pomaga.
9. Nie nudzić. Sztuka, jak każdy inny towar, musi być przede wszystkim atrakcyjna. A zatem – nie wstydzić się formy. Wyśmiewano ją po tylekroć tylko dlatego, że zawsze była tak niebezpiecznie pociągająca.  
Więc: szukać szans w tym, co jest pociągające. Co ma lekkość i wdzięk. Kolor i sex appeal.  
Tylko w takim opakowaniu uda nam się przemyścić WIELKOŚĆ i WAŻNOŚĆ.  
I tylko tym zręcznym chwytem zatrzymamy w pół drogi odchodzącą publiczność.
10. Nie lekceważyć powyższych dziewięciu przykazań. W przeciwnym razie grozi nam powolna śmierć przez utopienie w gęstych sosach bezsilnej melancholii. Amen.

## II.

„...poezja jest dla mnie dyskusją z przeszłością, określeniem mojego miejsca w tradycji i współczesności...”

(z wypowiedzi programowej Młodego Poety)

Nie oszukujmy się! Poezja nie jest żadnym „zglobianiem drugiego dna rzeczywistości”, żadnym „poszukiwaniem swej tożsamości poprzez wiersz” lub inną temu podobną bzdurą, których zawsze pełno na zjazdach, kongresach, w wywiadach i deklaracjach młodych poetów z tak zwanymi ambicjami. Spójrzmy w szydercze oczy prawdy! Ona drwi z każdego naszego słowa, im bardziej jest literackie, im bardziej papierowe, im bardziej cuchnie od niego idiotyzmem i histerią koziego bobka, który chce zakwitnąć. Ta prawda stoi z boku i na wymioty jej się zbiera od tej żalosnej parady natchnionych min, kabotyńskich gestów, wyrachowanych półtonów i niedomówień. Ta prawda nie będzie miała dla was litości, gdy przyjdzie czas rozrachunku.

Wówczas okaże się, że poetami bywaliście tylko przy okazji. Tylko wtedy, gdy tego od was oczekiwano. W wierszu, w wywiadzie, na ekranie, gdy na poezję można było uwieść, gdy na poezji można było się wywindować.

Lecz poza tym byliście ohydnyymi purchawkami pełnymi zapiekłej zawiści. Mierzwą bijącą się o stolki, głównym próbującym zrobić coś z nadmiarem wolnego czasu, gdy już zamknięto knajpę, a dziewczucha poszła do domu.

Albo jeszcze gorzej: apostołami, którzy uwierzyli w swoje posłannictwo, siewcami syntetycznych wzruszeń, wyniosłymi obrońcami schizoidalnych bezwartości, od których sam Pan Bóg odwraca się ze wstrętem, tak są uperfumowane, uszmkowane, rozkładające się od środka.

Nie oszukujmy się! Poezja nie jest ani legalizacją rynsztoka, ani biletem wstępu na Parnas. Wszystko, co chcecie PRZY JEJ POMOCY osiągnąć, jest kłamstwem. Kłamstwem brzydoty, ale i kłamstwem piękna, kłamstwem upadku tak samo jak kłamstwem zwycięstwa. Nic nie można przy jej pomocy OSIĄGNAĆ: ona niczemu nie służy. Jest bezużyteczna jako narzędzie, jest bezsilna jako oręż. Nic nie można dzięki niej zdobyć, nic przekabacić, niczego podkopać lub przeszmułować.

Bo ona jest STANEM.

Stanem świata.

Stanem życia.

Ona jest płynnością czasu, przezroczystością powietrza, niewidzialnością uczuć, tęsknotą pokoleń.

Ona tak jak Bóg – i Szatan – żyje wszystkim.

Niczym.

JEST.

I ty ją zapisujesz, gdy czasem zechce ci się ukazać, a ukazuje się rzadko. I tylko niektórym.

I tak oto nadszedł czas, aby przypomnieć powiedzonko cioci Melanii: – Daj spokój wierszom.

Weź się za handel.

Mówcie sobie, co chcecie, ale ja swoje wiem.

*„Dowcip, jak wiadomo, musi być nieścisłym i niesprawiedliwym, nie uwzględniać od-  
cieni i przekręcać rzecz, a przy tym wciskać się niedyskretnie w pewne tajniki, na któ-  
rych lubi osiadać pasożytem. Dowcip ma swój popęd do bytu, wskutek którego gmatwa  
brutalnie iluzje, poluje na niedomówienia, sekrety.”*

(K. IRZYKOWSKI – PAŁUBA)

## Rozdział dziesiąty

Drogi Krzysiu! Przesyłam Tobie opowiadanie o markizie, która zrobiła siusiu o piątej. Niestety, tylko część – reszta nadal przebywa rozsiana po notesach, skąd wyjdzie, gdy tylko będę miał więcej czasu i energii (czytaj: wiary i nadziei. Jest to mój prywatny akt strzelisty do Pana Boga Literatury, który ostatnio uparł się rozbudzać we mnie niebezpieczne wątpliwości).

„Markizę” zamierzam prowadzić dalej bez większego przywiązywania wagi do akcji. W zamierzeniu jest to historia zbudowana z samych marginesów, dysertacji i uzupełnień, z której nic absolutnie nie wynika, poza zabawą w literaturę, w style i maskarady. Fabuła pozornie idzie naprzód, ale zaraz nawraca, kręci się w kółko i goni w piętke. Nie zamierzam dojść do żadnego stwierdzenia poza tym, że wszystko już było i tak Bogiem a prawdą nic sensownego powiedzieć już nie można.

W całej historii literatury, sztuki, a może ludzkości w ogóle, było i będzie tylko parę osób wybranych, aby głosiły NOWOŚĆ. Są to albo geniusze, albo święci, albo najwięksi cwaniacy. Reszta, której natura odmówiła daru geniuszu, świętości lub cwaniactwa, musi niestety pogodzić się z rolą drugoplanową, kompilacyjno-prześmiewczą, o ile nie chce popaść w napuszone kretyństwo lub w kompleks myszy, której nie udaje się ryknąć.

Nadal uważam, że najlepsze rzeczy są „te do śmiechu”. Nie znoszę, gdy Gombrowicz lub Witkacy zaczynają filozofować. Co innego Goethe, Kafka, ci, którzy po to się urodzili.

Na tym kończę filozofowanie.

### Markiza zrobiła siusiu o piątej (opowieść podparyska)

#### I.

Markiza zrobiła siusiu o piątej. Jak zwykle znajomym ruchem opuściła majteczki, po czym wytwornie przysiadła na brzeżku muszli. Przez chwilę wsłuchiwała się w subtelną kantylenę strumyczka uderzającego o porcelanowe ściany, a potem zadumała się, gdy cienkie smyczki przeszły w groźne fortissimo wiolonczel. Zrobiło się jej trochę smutno: co dzień o piątej ten sam koncert budził w niej nieznany żal, jakąś dziwną melancholię, jak gdyby co dzień o piątej zmuszona była składać okrutnym bogom bolesną ofiarę z czegoś, co było jej nierozdzieloną częścią i istotą.

Z westchnieniem opuściła Miejsce Ofiarne, poprawiła na sobie odzież, po czym ruchem prawdziwej damy pociągnęła srebrny łańcuszek. Opuszczała Sanktuarium zostawiając za sobą dudniące, spienione FINALE, grzmot budzący w sercu trwogę.

Jej Wyjście na Powrót Pomiędzy Gości odbywało się według ustalonego wieloletnią tradycją ceremoniału. Gdy zarumieniona lekko zamykała za sobą drzwi Świątyni, goście spoglądali na nią z uprzejmą wyrozumiałością, nie pozbawioną szczypty zainteresowania.

– Jak było tym razem, markizo? – zdawały się pytać ich dyskretnie, przysłonięte mgiełką Najlepszego Wychowania spojrzenia. Lecz ona przechodziła mimo, dumna, wyprostowana, z lekkim cieniem ironii na rasowej twarzy. Kapłanka Tajemnego Obrządku ignorowała ciekawość niewtajemniczonych. Spuszczali więc głowy zawstydzeni swoim wścibstwem i gdy podchodziła po chwili, proponując z miłym uśmiechem cocktail lub sandwicza, dla zatarcia złego wrażenia, wpadali natychmiast w ton histerią podbarwionej wesołości, co jest, jak wiadomo, dość popularnym błędem towarzyskim. Lecz markiza uśmiechała się wyrozumiale: dobrze znała swoich gości, a swoją wartość jeszcze lepiej. Nie na darmo płynęła w niej błękitna krew de Vollayów. Zaś oni, cóż, mili, sympatyczni, lecz brak im przecież tej fantazji, tej rafinady, która dobrze urodzonym pozwala lekko i uroczo popełniać najgorsze w świecie gafy. I jeśli nawet powodem tego jest istotny brak dobrego wychowania, co też w wielkim świecie nierzadko się zdarza, to brak jest go w TAKI SPOSÓB, jakby o to właśnie chodziło.

Markiza zamyśliła się. Na twarzy jej pojawił się smutek. Stała w kącie salonu, pomiędzy pyszną żardinierą z petersburskiej porcelany a obrazem w ciężkich złożonych ramach. Obraz przedstawiał jej babkę, Karolinę Waldenu, walczącą z rozwścieczonym niedźwiedziem.

– Ach, jakież ona miała styl... – rozmarzyła się markiza, spoglądając z niesmakiem na wymiętą koszulę i postrzępione dzinsy młodzieńca, rozprawiającego zawzięcie z jej kuzynem, starym baronem Appoplexy.

Ten też już całkiem zszedł na psy – pomyślała o baronie – kiedyś niżej książątka nie upolował, a dziś zadaje się z takimi jakimiś... lewakami... tak, świat bez wątplenia dobiega swego końca...

Nie trzeba chyba dodawać, że markiza miała na myśli Wielki Świat.

## II.

– Gdzie jest markiza!? – dopytywał się nerwowo przystojny młody człowiek w aksamitnym ubranku – muszę koniecznie widzieć się z markizą!

Goście spoglądali na niego z pretensją. Irytująca była Jego natarczywość i zdenerwowanie, którego nawet nie próbował ukryć. Panów roztrzącał, paniom zaglądał w twarze.

– Gdzie jest markiza, muszę widzieć z markizą! – rozbrzmiewało z coraz to innego końca salonu.

– A cóż to, młody człowieku! – wykrzyknął wreszcie baron Appoplexy przerywając pogawędkę z młodzieńcem w wystrzępionych dzinsach – czyżbyś doprawdy nie wiedział, gdzie markiza znajduje się o piątej?!

– Nie mam pojęcia – szepnął zbity z tropu chłopiec. Baron z ukontentowaniem spojrzał na szczupłą, smagłą twarz, na blond wąsik okrywający delikatne usta, a potem głęboko zajrzał w błękitne oczy przesłonięte niesfornymi kosmykami jasnej czupryny.

– Markiza robi o piątej siusiu – wyjaśnił łagodniejszym tonem. Nie odrywając od młodzieńca oczu sięgnął do tacy i podał mu kieliszek z szampanem.

– Niech zatem boski trunek skróci nam chwile oczekiwania na powrót tej niezwykłej kobiety. Pozwoli pan – wyciągnął rękę – Appoplexy jestem.

– Roberto Waldenu – zabrzmiało w odpowiedzi.

– Roberto? Jak to! Czyżby...

– Zgadł pan – odparł z uśmiechem młody arystokrata – jestem prawnikiem Karoliny Waldenu, tej od niedźwiedzia. Markiza jest moją ciotką.

– Jeśli tak, to pójdź, kuzynie! – wykrzyknął uszczęśliwiony baron.

– No no, to ci dopiero – poklepywał Roberto po szczupłym acz mocnym ramieniu i uśmiechał się rozanielony. Uwagi jego nie umknęły jednak krótkie, niespokojne spojrzenia, jakie Roberto rzucał poza plecy barona, tam gdzie krył swój pochmurny wdzięk oraz czarne kędziory osobnik w wystrzępionych dzinsach i wymiętej koszuli.

– To jest Zenek – powiedział baron oschle i podając mu kieliszek dodał – masz, napij się też.

– No tak – westchnął Roberto wykonując rękoma ruch, jakby chciał się przeciągnąć – panowie wybaczą, chyba poczekam na piętrze, dopiero co wróciłem z podróży, z Kanady, panowie rozumieją... nagła zmiana klimatu...

– Ależ naturalnie, naturalnie! – pośpiesznie wykrzyknął baron—i tak niedługo się spotkamy, będziemy wtedy mogli więcej... tego... więcej porozmawiać... Kanada, Kanada – sapał odprowadzając rozkochanym wzrokiem wysoką sylwetkę Robertina. Ten śliczny chłopiec w wielkim futrze, ze strzelbą, oko w oko z dzikim niedźwiedziem... Ach, to zbyt piękne, aby mogło być prawdą! Baron delectował się wyobrażeniem mocnego, męskiego zapachu potu zmieszanego z juchtem, jaki nie tak dawno jeszcze bić musiał od smukłej dziś i uperfumowanej sylwetki Roberta Waldenuć.

– Markizo! – wykrzyknął dojrzwawszy ją nagle pod portretem prababki.

– Wyobraź sobie, kochana, to doprawdy coup de foudre! – potrząsał jej ramieniem, opowiadając całe niezwykle spotkanie.

I zdziwił się ogromnie, gdy spostrzegł, że markiza blednie, a piękną jej twarz szpecić poczyna grymas niepohamowanej wściekłości.

### III.

Roberto odpoczywał w pokoju na piętrze, wdychając zapach kwiatów, delectując się tchnieniami wiatru przepuszczanego przez muślinowe firanki.

A więc to wszystko będzie moje – myślał patrząc z lubością na rozstawione wokoło eleganckie louis-philippe'y, na aksamitne zasłony, na obrazy, których złożone ramy dyskretnie odcinały się od ciepłego beżu tapet.

Pobyt w Kanadzie zmęczył go niepomierne. Odziedziczone po prababce instynkty łowieckie niestety nie szły w parze z równą przodkom wytrzymałością na trud i niewygodę.

– Tak, tak, galopująca degeneracja – westchnął ze smutkiem.

Pierwszego niedźwiedzia położył jednym strzałem. Z drugim jednak poszło gorzej – zwierzę porwało się na równe nogi i sprawiło mu tęgie lanie. Szczęściem, zgodnie z umową zawartą z Wszechkanadyjską Spółką Bardzo Wytwornych Polowań, niedźwiedź i tym razem miał wybite wszystkie zęby i obcięte pazury. Co by się jednak stało, gdyby Spółka zawiodła? Roberto wzdrygnął się. Odtąd niedźwiedziom wstrzykiwano również środki nasenne. Szły same pod lufy, łagodnie uśmiechnięte. – Biedactwa – rozczulił się nagle. Dziarsko zeskoczył z otomany. Z zadowoleniem poklepał adamaszkowe obicia i wyszedł na taras. Ogród wprost kipiał zielenią, poprzątkowaną różnokolorowymi klombami, ciepły wiatr rozpościł w powietrzu wachlarze fontann, iskrzących się w popołudniowym słońcu jak drogocenne kamienie. Hen z dala, spomiędzy drzew, dobiegały go tony sentymentalnego walca...

– To wszystko będzie moje – westchnął raz jeszcze. Niezły ten Zenek. Ha, baron! Kuzyn! Będzie z nim trochę kłopotu. Że też zawsze musi się jakiś stary pedek napatoczyć. A czy to moja wina, że jestem taki przystojny? – obejrzał wypolerowane paznokcie, strzepnął z klapy

niewidzialny pyłek. Najpierw, jak zawsze, będą liściki, zaproszenia na cocktaile i wycieczki za miasto. Potem umyślny przyniesie jeden, drugi, trzeci bukiet róż.

Aż wreszcie – czy pozwolisz, że odwiozę cię do domu, kuzynie? I wyznania w ciemnym aucie, płacze, błagania o choćby cię nadziei. Rozpaczliwe listy, groźby, potem przeprosiny, wreszcie próby samobójstwa.

Aż potem któregoś dnia spotkają się przypadkiem na bulwarze: chłodny ukłon i demonstracyjne przytulenie do siebie nowego chłoptasia. Scena pod tytułem: i patrz, głupcze, cóżeś stracił.

A swoją drogą, skąd bierze się we mnie ta przyjemność w uwodzeniu starszych panów? Potrzeba ciągłego potwierdzania swoich możliwości? Mój Boże! Przed kim! Toż to miernoty, pluskwy, palcem kiwnąć, bucikiem tupnąć, i już nie ma!

Skrzywił się z niesmakiem. Stanowczo czuł wstręt do siebie. Odwrócił się, by skierować swe kroki do pokoju i wtem zatrzymał się jak wryty. Oto stała przed nim w pełnej krasie swoich czterdziestu lat oraz jedwabnej sukni w kolorze bois de rose jego ciotka, Milonga de Volla.

#### IV.

Rodzina de Volla spokrewniona była z Największymi Rodami Wszechczasów. Nieprawie łoża, konkubiny, mariaże, intrygi i kamaryle rozgałęziły potężne i tak drzewo genealogiczne do rozmiarów wprost w dziejach niebywałych, mimo że Wielkie Przewroty i Rewolucje od czasu do czasu przetrzebiały niezliczone zastępy ciotuń, wujaszków i kuzynek.

– Ta głupia Antośka – mawiało się w Rodzinie o cesarzowej Marii Antoninie – jak można było tak s t r a c i ć g ł o w ę dla tego nedorajdy.

– Ach, te nasze Romki – mawiano dla odmiany o ostatnich Romanowych – tylekroć babka ich przestrzegała, rzućcie te trojki, szampany, dajcie co czasem na ubogich... No i mieli za swoje.

– A Wiktor Emanuel, ten idiota – wspomniano przy innej okazji. – Rodzina Rodziną, ale kuzynka Benito winien był trzymać na większy dystans. Nieraz upominała go babka Karolina: Wiktoru, caro mio, nie zapominaj, że Benito to parweniusz i uzurpator, każ mu uciąć głowę. Nie posłuchał, no i dograł się biedactwo.

W chwili gdy toczy się nasza opowieść, ród de Volla nie otrząsnął się jeszcze ze straszliwego szoku, jakim był dla wszystkich smutny koniec wujaszka Ciano (ach, jakież on miał charme, jaką dystynkcję, jaki sex appeal!), ruina domów panujących Bułgarii, Rumunii i Czarnogóry (kuzynek Montenegro! ileż on miał prymitywnego, słowiańskiego wdzięku!) oraz zakończone fiaskiem próby utrzymania swych wpływów w Polsce i na Węgrzech. Rodzina miała teraz na utrzymaniu spory oddział bezrobotnych krewnych, którzy po wielu daremnych próbach usamodzielnienia się, zdobycia finansowej niezależności i powrotu do dawnej świetności, padali wreszcie jak muchy, wyprzedając resztki sreber i obrazów lub kojarząc się w żalosne, samozachowawcze związki z hodowcami bydła, producentami długopisów oraz dziedziczkami naftowych latyfundiów. Niektórym jeszcze smutniejszy los był pisany: ciocia Praskowia Romanow, na przykład, już dwudziesty rok usycha w swym sklepiku na przedmieściach Hamburga, gdzie sprzedaje łapki na myszy oraz karmę dla kanarków, wujaszek Hohenzollern bez większego powodzenia prowadzi małą pralnię w Patagonii, a biedna Mania Burbon, najczulsza, najlepsza w świecie cioteczka, znaleziona została w palarni opium w Jokohamie z nożem w plecach. Zaś baronowa Grossesgeld, ongiś właścicielka miasta Łodzi i



okolic, winna jest Losowi i Historii szczególną wdzięczność za doczekanie szczęśliwej starości na poddaszu swego dawnego pałacu, z którego ludowa władza przydzieliła jej również drewnitnię.

Katastrofa dziejowa oszczędziła jednak Pień Rodziny. Odarty z gałęzi trzyma się oto dumny i wyprostowany, chętnie służąc wsparciem lub choćby wytchnieniem różnym rozbitkom życiowym, ludzkim ruinom i wykolejeńcom w rodzaju choćby barona Appoplexy, niegdyś właściciela pięciu kabaretów w Budapeszcie oraz kasyna gry w Sopocie, którego jedynym dziś zajęciem jest poszukiwanie wszystkich nici ewentualnie łączących go z Rodziną, co usprawiedliwić miałyby jego bywanie na wszystkich bez wyjątku rautach markizy oraz pobieranie stałej pensji miesięcznej, jaką mu, nie wiedzieć dlaczego, wypłacała. Wierzchołkiem Drzewa, twardo opierającego się dziejowym burzom, była bowiem we własnej osobie Milonga de Vollay, jedyna dziedziczka rodowej fortuny, czyli winnic w Szampanii, zamków w Hiszpanii, banków w City, teatrów na Broadwayu, hoteli na Majorce, burdeli w Hamburgu, farm owczych w Australii, plantacji maku w Turcji, szulerni w Las Vegas, mostu w San Francisco, gondoli w Wenecji, kanionu w Colorado, piramid w Egipcie, dżungli nad Amazonką, księżycą nad Tahiti i białych nocy w Leningradzie.

## V.

– O, ciocia – wybąkał Roberto, wstrząśnięty nieoczekiwanym spotkaniem. Tyle razy ćwiczył przed lustrem wyniosłą minę i lodowaty ton, jakim bez wątpienia powita ciotkę, a tu nagle wata w kolanach i kluska w gardle. Ciotka wyglądała oszałamiająco. Twarz jej nosiła wyraźne ślady dawnej piękności, skażonej piętnem bólu i wieloletniego osamotnienia. Po śmierci wujaszka Ciano zamknęła się w jednym ze swych zamków, aby karmić z okna gołębie oraz pisać pamiętniki. Pierwszy ich rozdział ukazał się był nawet w paryskim piśmie, drugiego jednak nigdy nie dokończyła. Po latach separacji na powrót rzuciła się w wir światowego życia z namiętnością zdradzającą, że nadrobić pragnęła stracony czas. Zrozumiała bowiem, że zmarłych nic nie ożywi, chyba że Pan Jezus, ale też dopiero na Sądzie Ostatecznym. W oczekiwaniu więc na Sąd Ostateczny wydawała sławne na cały beau monde przyjęcia, na których bywały koronowane głowy oraz korpusy dyplomatyczne. Dwa razy w tygodniu w reprezentacyjnym salonie swej willi pod Paryżem (a czy są w ogóle jakieś inne wille?!) urządziła cocktaile, do których clou należało opisanie już Siusiu o Piątej. Taką bowiem miała przypałość, że mogła tylko o piątej. Wprost nie wyobrażano sobie przyjęcia bez cichej symfonii, dobiegającej spoza oszklonych drzwi wytwornej toalety, i bez z lekka wyniosłego, z lekka zawstydzonego Wyjścia Markizy na Powrót Pomiedzy Gości. Ach, bez wątpienia była ona Ostatnią Damą Naszych Czasów! Nic więc dziwnego, że młody Waldenuć zapomniał całkiem języka w gębie na widok tej rozrzutnej, wielkopańskiej pewności siebie, tego aroganckiego, choć pieczołowitą uprzejmością stonowanego spojrzenia, tego, w końcu, czaru niewieściej subtelności, która małym zmarszczkom w kącikach ust kazała układać się w wyraz smutku i wyrozumiałej ironii.

Teraz jednak oczy jej tchnęły irytacją, choć markiza starała się to ukryć.

– A więc jesteś, żyjesz, kochany – powiedziała sil się na uśmiech. Nadstawiła upudrowany policzek.

– Tak, ciociu, żyję – szepnął Roberto wzruszony.

– Ostatnie wieści o tobie miałam ze trzy lata temu. Mówiono, że zabił cię wściekły niedźwiedź czy pijany traper w jakiejś knajpie. Nawet na mszę gregoriańską dałam. I znów wymuszony uśmiech na twarzy, a w oczach wzrastające wciąż rozdrażnienie.

Weszli do pokoju. Usiedli w fotelach.

– Przystąpmy jednak do rzeczy – odezwała się po chwili tonem nieoczekiwanie ostrym. – Wiem, po co tu się zjawileś, nie będziemy owijać w bawełnę. Ile chcesz?!

– Wszystko – odpowiedział Roberto. Przełknął już był kluskę w gardle i mówienie przestało sprawiać mu trudność.

Markiza aż podskoczyła z wrażenia, choć uczyniła pewien wysiłek, aby nie było to zbyt wyraźne.

– Czy ja dobrze słyszę? Powiedziałeś: wszystko???

– Tak. Wszystko, cioteczko, i nie ustąpię ani o piędź – odparł z mocą młody markiz – już dość przepuściłaś m o i c h pieniądze. Teraz ja obejmuję rządy...

## VI.

– Ten nasz kuzyn, jak mu tam, Waldenuć, jest cudowny, absssolutnie cudowny! – pisał baron machając tłustymi rączkami.

Goście już poszli. Służąca zbierała kieliszki i talerzyki. Nadszedł wreszcie ten wyczekiwany moment pokoktajlowego odprężenia, gdy jedną nogą tkwiąc jeszcze w surrealnym i nieodpowiedzialnym bałaganie, drugą niechętnie przygotowujesz do powrotu ku Odpowiedzialności. Zawieszenie w czasie, wśród pustych butelek, pełnych popielniczek oraz przewróconych kieliszków, z kropelkami alkoholu na krawędzi i śladami szminki do ust.

– Tak, tak, cudowny – mruknęła markiza siadając w głębokim fotelu w pozie zrezygnowanej – jeszcze ci ta jego cudowność bokiem wylezie.

– A niech wylezie, niech wylezie wszystkimi bokami naraz – szczebiotał baron – kuzyneczko! czy widziałeś te jego oczy, usta, ten wąsik i włosy puszyste, te ramiona szczupłe i mocne jak u mężczyzny, prawdziwego mężczyzny, a zarazem chłopca, chłopięcia – delektował się swoimi słowami, kreśląc w powietrzu znaki kabalistyczne, mające jakby wyczarować kształt ramion, karku, układ włosów młodego markiza Waldenuć.

– Nudny jesteś, Apciu – westchnęła markiza – zawsze ci tylko to jedno w głowie. Ledwie ujrzysz jakiegoś młokosa – już miłość od pierwszego wejrzenia, już poświęcenie, już dozgonna wierność. Dziwni jesteście wy... no ci... – wykonała nieokreślony ruch dłonią, chcąc najwyraźniej uniknąć prostackiej dosłowności – zawsze pewni siebie, zawsze pełni aroganckiej wiary. Niepowodzenia niczego was nie uczą. To już prawie głupota – żadnych wniosków z doświadczeń. Dno.

– Ty nie rozumiesz, kochana, na czym to wszystko polega – powiedział baron – nie możesz zrozumieć, bo jesteś tylko głupią kobietą.

– Eee, zawsze ten sam argument. A wy czym jesteście, mężczyznomi? Też coś! Umrzeć można ze śmiechu.

– Co też ty pleciesz! – zdenerwował się baron. – Jesteśmy wybrani, jedyni, niepowtarzalni. Z każdej płci wzięliśmy to, co ma najlepszego. Umysł mężczyzny, serce kobiety. Czyż może być piękniejszy arrangement?

– Tak, tak. Tylko co w tym waszym pięknie robią grube brzuchy, spocone łapy, oślinione wargi i lepkie spojrzenia, kiedy mignie wam w tłumie jakiś przystojny tyłeczek! – zaśmiała się szyderczo markiza.

– Wiesz co? Idź lepiej zrobić siusiu! – zirytował się baron nie na żarty – nie przypuszczam, że stać ciebie na takie prostackie rozumowanie! Kuchnia, zupełnie kuchnia! Idź sobie, idź! – zamachał tłusciutkimi rączkami, policzki zatrzęsły mu się jak galaretka z nóżek. – Zaręczam ci, że ten twój kuzynek też jest z tych, a wcale nie ma spoconych łap! A Rimbaud miał? A Czajkowski miał? A twój prastryj Ludwik Bawarski miał? Przeciwnie! Był śliczny, czytał wiersze, opiekował się sztuką...

– Wara ci od mojej rodziny! – krzyknęła markiza i wyprostowała się dumnie. Wiedziała, jak dokuczyć baronowi. – Moja Rodzina – powiedziała z naciskiem – tyle dała światu, że ten może wybaczyć jej parę niewinnych ekstrawagancji. A co do tego młokosa, to sam wkrótce się przekonasz, jaki w nim diabeł siedzi. Poczekaj tylko, aż puści z torbami i ciebie, i mnie, i nas wszystkich w ogóle. Nie łudź się, już on ciebie na pensyjkę nie weźmie! To tylko mnie było ciebie żal. On jest cyniczny, wie, czego chce. I bez skrupułów wywali ciebie na zbyte łeb!

Wychodząc śmiała się złowieszczo. Baron ocierał łzy.

## VII.

Baron Appoplexy był bez wątpienia kobietą. I to bardziej kobietą niż kobieta. Zauważmy, jak często na balu maskowym skromny urzędnik przebrany na przykład za włoskiego karabiniera bardziej jest karabinierem niż karabinier. Ten jest po prostu tym, czym jest, urzędnik natomiast do przywdzianego kostiumu dodaje też swą tęsknotę, swe pragnienie karabinierstwa, czyli, aby być silnym, władczy, męskim. Ponieważ jednak fakty temu przeczą, stwarza przeto fikcję siebie samego w cudzej skórze, posługując się w tym celu przerysowaniem obiegowego stereotypu. Najczęściej jest to parę cech najbardziej typowych, doprowadzonych ad extremum. W rezultacie osiąga się stan karabinierstwa wyższy, niż jest to u karabiniera prawdziwego.

I tak baron, będący w gruncie rzeczy mężczyzną, zdołał wytworzyć wokół siebie atmosferę wysublimowanej kobiecości. Dyskretna falbana u jego żabotu tchnęła cudzą płcią intensywniej niż sterta falban u stuprocentowej kobiety. Ta falbana, skromna, lecz NIEZAPRZECZALNA w swym istnieniu, biła po oczach, prowokowała. Podobnie cień pudru na obwisłych policzkach i miękki gest dłoni, którą unosił ku rzadkim włosom, bezskutecznie próbując nadać im powab lubieżnie lejącej się fali.

Jakże często kardynalny błąd czynimy, nazywając mężczyznę mężczyzną i kobietę kobietą dlatego tylko, że jednemu przypadły w udziale dwurzędowe garnitury, a drugiemu kapelusze z kwiatami. Jak wiele pomyłek, jak wiele prawdziwych czasem dramatów powodujemy zwyczajną naszą gnuśnością, której nie chce się zajrzeć w głąb.

Milonga de Volloy znała życie. Świetnie poruszała się w labiryntach jego praw, dobrze znała ciemne zaułki uczuć i pułapki rozterek. Dość wcześnie więc zrozumiała, że choć Apcio nie jest niestety materiałem na kochankę, to jednak, traktując rzecz perspektywicznie, ma szansę stać się wierną i godną zaufania przyjaciółką.

– Nawet nie wiesz, kochana, jak uwielbiam te nasze popołudniowe ploteczki – mawiała czasem do barona, dolewając mu herbaty...

I na tym kończę opowieści z wyższych sfer.

A swoją drogą chyba należałoby wreszcie skończyć z tymi sferami... (powiedział Robespierre zacierając ręce)...

Patrzę smętnie na kilkanaście stron „Markizy, która zrobiła siusiu o piątej”, i próbuję ożywić w sobie swój dawny chichot.

Nie wychodzi: przewrotny chochlik wdepnął w grząskie bagno jakiejś dętej melancholii, pierdziastego spicznienia, diabli wiedzą czego jeszcze. Wiem, muszę rozdmuchać w sobie jakąś isierkę, przytknąć zapalną do ukrytego głęboko lontu, wyrwać z serca chwast, ziele paskudne i krwio pijne, co ssie mnie od środka niczym połknięta gąbka, przyprawiając o duchową niestrawność i aksjologiczny niebyt.

Złośliwi mówią, że to przez paszport. Nie dostałem, nie wyjechałem. W porządku.

Ale za to byłem nad morzem. Opaliłem się, pooglądałem to i owo, przeczytałem Henry Millera (Boże! Gdyby to można napisać coś takiego jak *Kolos z Maroussi*! Ha! Nic trudnego, zdawałoby się. Wystarczy znaleźć kolosa w pannie Basi z Milanówka, giganta w Kaziu z Cieszyna, demona i wariata w magistrze Kądziołkiewiczu z Bydgoszczy. Proste, prawda? Dobrze przypatrzeć się, pogadać, perfidnie okazać serce i pociągnąć za język.

Próbowałem.

Kolos w wydaniu panny Basi dał się zwabić na jedną, drugą kawę, opowiadał o sobie chętnie i w miarę szczerze, uśmiechał się rozkosznie, szczebiotał, czasem uronił łezkę, aż wreszcie zwąchał, że nie o romans urlopowy idzie, ziewnął i poleciał gdzieś na zakupy.

Kazio „Gigant” nie dał się nigdzie zwabić. Patrzył podejrzliwie, aż wreszcie powiedział, że bym się odpieprzył, bo on nie z tych.

Demon Kądziołkiewicz chętnie i długo rozprawiał o sobie, opisywał tragiczne spięcia losu, obnażał rany zawodów i bolesne garby kompleksów. Najciekawszy był jeden, z dzieciństwa: nie pozwolono mu chować jeża. Odtąd ilekroć ujrzy jeża, wybucha rzewnym płaczem).

No i tak. Dwa tygodnie plaży, obiadów w stołówce, spacerów po lesie.

Opalony, wypoczęty.

Tyle że Miller tkwi we mnie jak nieznośna drzazga.

A jednak piszę cały czas, czego dowodem ukończona niedawno nowelka pt. „Za szybą”. Nie jest to niestety tak przez Krzysia wyglądzany scenariusz filmowy, który, jak każde dziecie pierworodne, rodzi się w bólach i z komplikacjami. Zaproponowana przez Krzysia problematyka zakładu pracy, w którym obraca się oraz ma pierwsze konflikty tak zwany Młody Z Ambicjami, zupełnie mi nie leży. Powiem więcej: nie interesuje mnie. Budzi we mnie płaski, oślizły lęk, jak dotknięcie chełbi bałtyckiej, która w dziewięćdziesięciu procentach składa się z wody. Jej obecność to tylko pozór obecności. Jej konkretność, solidność rozplywa się w hektolitrach półpłynnej, obrzydłej substancji. Istnieje na zasadach karykatury istnienia. Jest – ale jej nie ma, bo wyciągnięta z ciepłej wody na gorący piasek, wystawiona pod pręgierz bezlitosnej prawdy słońca, kurczy się, rozpada, proch, pył i kupa szmat. Jak to, co zostało z czarodzieja w noweli Tomasza Manna.

Więc jak tu z czegoś, co rozłazi się w palcach, tknąć pyszne kobierce dowcipnych sytuacji, zajmujących dialogów, jak wyciąć z tego prawdziwych ludzi, jak z galarety wykrzesać dra pieżność, jak w mętnej wodzie odnaleźć ogień...? Jak z niczego budować coś, co przystrojone kwiatami, obsypane confetti i popstrykane perfumami, pragnąłbym złożyć u Krzysiówych stóp jako Scenariusz Jego Pierwszego Filmu...

(muzyka)

*„Do you know nothing? Do you see nothing? Do you remember NOTHING?  
I remember. those are pearls that were his eyes”*

(T. S. ELIOT – *A GAME OF CHESS*)

## Rozdział jedenasty

### Podróż Sentymalna czyli pisane w samolocie

Nogi długie.

Nogi długie obciążone.

Nogi długie obciążone pończochami.

Ka – ka – o – we – no – gi – poń

czo

cha

mi

„...je n'ai plus même pitié de moi

et ne puis exprimer mon tourment de silence

tous les mots que j'avais á dire se sont changés en étoiles...

– Qui donc est-elle?”

Ona, która nogi długie nosi na palcach. Delikatnie.

Obciążone.

– Qui donc est-elle?

Nogi. Dwie smukłe lilie. Majestueux et beaux.

Jaka ona jest. Ta stewardesa, która się pochyla. Która stoi tyłem do mojego fotela. Nogi długie obciążone. Pończochy koloru cacao-choix (w dyskretnym szkłe, dyskretna muzyka, taras dyskretnego hotelu PLAZA. I słońce osuwa się na wzgórze za miastem).

Cacao—Plaza—Choix.

Nachylona przyjmuje zamówienie. Łagodny półprofil. Tylko ćwierć uśmiechu. Reszta gładka w milczeniu. Łagodny półprofil w świetle.

Światło rozproszone w półmroku...

(...śliczny jesteś, mój przyjacielu, piękny jest twój profil, gdy wszystkie nasze nie wyśpiewane słowa przemykają przez twe pociemniałe z tęsknoty oczy i wargi lekko ci drżą, jak gdybyś chciał dogonić nas w półnagiej, niespokojnej nadziei, lecz zaraz potem zniechęcenie i smutek, gdy włosy twe gładzę dawnym, znajomym ruchem, który nie sprawia już żadnych niespodzianek, bo dłoń, jak zawsze, błędząc przez chwilę za uchem, ześlizguje się powoli po karku i już wiesz, że za chwilę wtuli się strwożona w zagłębienie między łopatkami i tam czekać będzie, aż nowa nagła radość rozjaśni ci wzrok i ze szlochaniem, jakim witamy rozkwitające nocą białe kwiaty, pochylisz głowę na moje ramię i czekać będziesz na przebudzenie dłoni, na jej zejście w dół, po drżących z niecierpliwości plecach, gdy przymknąwszy oczy, by widzieć cię dokładniej, delikatnie, miękko budzę cię z zamyślenia, wołam cię z twej nieobecności, pragnę cię mocniej i mocniej, byś wypełnił moje oczekiwanie, moją spłoszoną nieco, lecz już wznoszącą się wyżej i wyżej, pełniej i pełniej, i coraz słodziej, coraz trwoźniej kochającą cię miłość. I miasto za nami ciemne, obojętne. Błyski przejeżdżających aut, daleki pejzaż wież, kościołów, dachów... dachy, uskrzydłujące nas niby złe anioły... O ileż piękniejsze jest to miasto w

tle, gdy z włosami, które rozwiewa lekki wiatr, stoisz w szeroko otwartym oknie, lekko pochylony w przyszłość, z ustami rozchylonymi na przyjęcie następnego mocnego pocałunku nocy.

A teraz przelatuję oto wysoko nad tobą. Nie doścignie mnie nic prócz wspomnienia, na które nawet ty nic nie poradzisz, przed którym nawet ty się nie obronisz.

Pewnie leżysz teraz w łóżku, na kołdrze, którą w nocy odrzuciłeś aż pod okno, wodzisz palcem po zaciekach na tapecie, czekając na maître, który przyjdzie z twarzą błyszczącą i wredną. Może myślisz, z którego lotniska odleciałem. Na którym wyląduję. I dokąd pójde w obcym mieście, w którym nie ma twojego adresu. Cóż. Jestem już tylko blaszaną puszką z rozmachem ciśniętą przez otwarte okno, jestem coraz mniejszym punktem na twoim młodym, zamaszystym życiu. I popatrz – jednak jestem sentymentalny. Lecz to takie trudne być kimś innym, trzymać się zasad, których uparcie przestrzegaliśmy: żadnych sentymentów, żadnego mazgajstwa. Jesteśmy razem – i jest dobrze. Żegnamy się – i jest nadal tak samo, tyle że o jednego mniej...)

...łagodny półprofil. Choix. Stewardesa uśmiecha się przyjmując zamówienie od wciśniętego w fotel worka czarnych tiulów i koronek. Zawiązany czarną aksamitką, znad której sterczy pomarszczona żółta maska z peruką Elisabeth Arden wetkniętą na czubek. Mówi wściekle, dławiąc się każdym słowem. Brzęczy złoto na suchych przegubach rąk, lśni proteza w czarnej jamie ukarminowanych ust. Niewinność jaśminu. Łagodny półprofil odpływa między fotelami. Worek głębiej zanurza się w fotelu. Poprawia pod pachą torebkę. Przymyka powieki. Sen. Zejście w siebie, w jedyne go godnego zaufania współnika, z którym można przeprowadzić jedynie uczciwy rachunek. Rachunek życia. Tylko po co.

Gdy ma się tyle złota, wtedy i życie staje się współnikiem. Ba! ono wręcz odważa za ciebie całą robotę, tobie pozostawiając tylko słodką świadomość, że gdyby tylko się chciało... można by...

Sen. Koronki. Elisabeth Arden.

Władza, która w zarozumiałej pysze morduje w sobie człowieka.

Zakuty w złoto człowiek ginie z braku powietrza.

Peruka. Wyschnięta skóra. Zęby.

Pończochy koloru curry znów pojawiają się między fotelami...

(dlaczego pan jest smutny? dlaczego pan nawet nie uśmiechnie się do mnie, choć tyle razy tędy przechodzę, raz nawet trąciłam łokciem pańskie oparcie? może jest pan zakochany? lub może był pan zakochany i teraz liczy wszystkie swe utracone szanse? Czy ona była piękna? czy kochała pana? i czy rozumiała miłość, której bardziej potrzeba spokoju niż namiętności, inaczej zagubi się w płątaninie wybiegów, kłamstw i niezaspokojeń? czy ona to rozumiała? czy może tak głupia albo tak młoda jeszcze była, że zapalała światło wtedy, gdy powinien być półmrok, i odzywała się, gdy należało milczeć, i nie wysyłała listu do pana, bo strasznie jej się dokądś spieszyło, i nie dzwoniła, bo akurat nie miała drobnych w torebce...? czy nie uśmiechała się do pańskich przyjaciół dlatego, że któryś z jej małych ząbków trochę wystawał? i nie przychodziła na randki, bo wydawało się jej, że w ten sposób zmusi pana do tęsknoty?

Czy była kobietą, proszę pana, który nigdy się nie uśmiechasz, a tylko patrzysz wciąż na obłoki, choć to nic ciekawego?

Czy była kobietą?

Czy może była tobą, którego pozostawiłeś daleko w dole, tam, gdzie już nigdy nie powrócisz, bo czas biegnie szybciej niż przestrzeń i nigdy nie można wrócić tam, gdzie wśród niezmienionych sprzętów umiera obca nagle i daleka przeszłość...).

...i oto znów piszę do ciebie  
aby zawczasu wypełnić czeluść pustki  
która nas kiedyś pochłonie...

(to moje własne sprzed stu albo i dwustu lat,  
gdy byłem jeszcze Całkiem Inną Osobą. Nie mam  
pojęcia, ani jaką osobą jestem teraz, ani jaką  
byłem wówczas, jedno jest pewne, że tych dwóch  
osób nie można ze sobą porównywać, chyba że  
chciałoby się mówić o włosach, o skórze,  
o sposobie chodzenia. Reszta jest wrzaskiem bez  
słów, słowami, które gadają swoje bez związku  
i sensu, choć my  
wciąż w zbożnym trudzie  
nadawać sobie rangi pragniemy  
słowami  
które śmieją się z nas  
o jakże szyderczo!  
naszymi własnymi ustami...)

## Zmęczenie

I znów próba odnajdowania sensu poprzez chaos – reakcja na brak wiary w porządek rzeczy pomieszana z instynktem samozachowawczym (groźba unicestwienia? nihilizm?).

A może zamiast tego – jednak szalone urzeczenie lodowatą przezroczystością kosmosu, grą nierealnych barw, przelewaniem się nieskończonych perspektyw...

Próba wyzwolenia się w Ostateczności?

W śmierci?

Gdy nagromadzone w tobie odłamki życia, cała ta kupa szmelcu, w której z wolna tracisz orientację, przestała już służyć czemukolwiek, i widząc niemożliwość wyrzucenia z siebie choćby jej części, zaczynasz jednocześnie zdawać sobie sprawę z tego, że paradoksalnie zaczyna ona przerastać własną formę i wciąż większa, wciąż nachalniejsza, ogromną kupą zwyrodniałych strzępów oddziela ciebie od Czegoś Bardzo Ważnego, co ukryte w tle, jest być może twą podświadomością, być może twą tęsknotą, może melancholią. I nagle zostajesz sam, patrząc tępo na stertę duchowego śmiecia. I obgryzając paznokcie spoglądasz w lustro, które przestało już cokolwiek obiecywać.

Stoi po prostu w kącie.

Upstrzone przez muchy.

(domalowujesz swemu odbiciu karminowe wargi i powłóczyste rzęsy Lilian Gish).

Zmęczenie, zmęczenie. Czuję się jak omułek, który umarł w środku. Skorupa, w której nic już się nie rusza (moja siostra opowiadająca o omułkach i małżach. W perłopławach pasożytuje jedna z form rozwojowych tasiemca. Nazywa się mało poetycznie: wągr. Lecz wokół tych wągrów nawarstwiają się wkrótce błękitne, baśniowe cuda: największe, najpiękniejsze perły.

Pytanie: czyste piękno tylko wtedy, gdy trochę paskudne w środku?



Odpowiedź: Nie wiem.  
Jak zresztą wielu innych WAŻNYCH RZECZY).

Zmęczenie, zmęczenie.

Paradoks – wtedy jednak pisze mi się najlepiej. Umysł jak gdyby przejmuje funkcje zmęczonego ciała, mimo że jest od niego zależny.

Dlatego do pewnej granicy pisze mi się znakomicie. Potem jednak odskakuje jakaś klapka, przepala się bezpiecznik. Na mózg spada czarna mgła, w ustach pojawia się kwaszek papierosów i gorzyc Weltschmerzu.

Znalazłem dziś w starej kieszeni plan Monachium. Lśniący, prawie niewygnieciony, choć włożyłem się z nim w garści przez trzy deszczowe dni z rzędu. Smak piwa w Hofbrauhaus oraz parówki z musztardą w barze „Bei Mimi”, gdy widelec zatrzymał się nagle w pół drogi do ust, bo oko ujrzalo M. idącego pod parasolem środkiem Kaufinger Strasse. Nad nim lśniły w mokrym słońcu złote kopuły Frauenkirche. Szedł śmiejąc się, w wysokich kowbojskich butach, długie jasne włosy tańczyły na wietrze wokół głowy. I pierwsza idiotyczna myśl: skąd on wytrzasnął te buty. Dopiero potem znajomy skurcz, biegnący od serca i rozlewający się gdzieś w okolicy żołądka i lędźwi, chwilowe zawieszenie funkcji myślowych, całkowity bezruch i nicość.

Nie. To nie on.

Zatrzymał na mnie wzrok pozbawiony uśmiechu. Tak patrzą na siebie ludzie, którzy nigdy dotąd się nie widzieli i wiedzą, że też nigdy więcej już się nie zobaczą.

Jeff na vaporetto do stacji Venezia Santa Lucia patrzył inaczej: jakaś maleńka cząstka jego spojrzenia obiecywała spotkanie. Toteż w dwa tygodnie później, bez większego zdziwienia, powitaliśmy się znowu pod obrazem Caravaggia w Kunsthistorisches Museum we Wiedniu. Obaj bowiem wiedzieliśmy, że tylko w tym miejscu znów możemy się spotkać.

Powiedzieliśmy to sobie oczami jeszcze wtedy, na zatłoczonym vaporetto pośrodku Canale Grande.

Zmęczenie.

Czy Jeff wrócił do Pittsburga?

Czy może znów powinienem jechać do Wiednia i czekać pod obrazem Caravaggia (co to był za obraz? takie rzeczy powinno się pamiętać), aby, gdy przyjedzie, powiedzieć mu: hi boy, so we are here again...

Albo inaczej: milczeć, patrząc, jak nadchodzi, szczupły, wysoki, w swoich połatanych dżinsach i z chlebakiem przewieszonym przez ramię; i mówić milcząco, milcząco mówiąc, bełkotać bez słów to wszystko, co się tylko śni i czego nie można nigdy przewidzieć, choć po błysku oczu, po skrzywieniu ust, takie jest przecież łatwe do odgadnięcia... I co jest inne niż życie, bo ono żyje stale, to zaś ożywa tylko czasem, w jakimś przechyleniu głowy, w fali włosów, która miękko obejmuje szyję, w łuku brwi, gdy radośnie unosi się na powitanie... (...czy nie widzisz siebie, na Boga, jaki śmieszny, jaki żalony jesteś z parówką półwetkniętą w usta, z tym cielącym spojrzeniem, którym odprowadzasz młodych, szczęśliwych nieznanomych, w wysokich kowbojskich butach, choć mijają cię oni jak powietrze, najwyżej któryś przypadkowo zatrzyma na tobie wzrok, bo stoisz akurat na tle zabytkowego portalu...).

czy doprawdy nie umiesz żyć inaczej, tak aby...  
aby co? aby jak?  
jak żyć, aby aby...?  
aby żyć...?

I jeszcze student z Grazu. Zaczepił mnie bezczelnie, zmusił do rozmowy. Przekonywał, że Bóg jest wszędzie, dlatego go nie widać. I że kocha wszystkich – dlatego nie kocha nikogo – dokończyłem.

Popatrzył na mnie ze smutkiem, a kiedy dodałem jeszcze, że mam osobistą pretensję do Pana Boga, ponieważ pozwolił mi zgubić sto marek, bez których nie dojadę do Berlina, odwrócił się na pięcie i poszedł.

Dlaczego jestem napastliwy?

Dlaczego nie pozwalam im wierzyć, w co chcą, choć sam dla siebie bezwzględnie wymagam tego prawa?

Dlaczego moja tolerancja działa tylko w jedną stronę – ku mnie?

Egotyzm? Nadmierna skłonność do samousprawiedliwień ?

Więc może rację miała G., kiedy wypluwała mi w twarz ze wściekłością: ty skorupiaku, zarozumiałcze, mastodencie! kochasz tylko siebie i już nic poza tym dla ciebie nie istnieje...! A powiedziałem tylko, że nudzą mnie te parafilozoficzne rozmowy przy winie, przy kominku, to wywlekanie spraw niepotrzebnych i taplanie się w odpadkach cudzych myśli. Ona to jednak wzięła bardzo serio i poczuła się obrażona w imieniu własnym, a także w imieniu wina i kominka, które kocha.

– Hipokryta! – rzuciła na odchodnym.

I zostawiła mnie w chmurce perfum, którą unióśł lekki wiatr zza rogu...

(dlaczego zza rogu? przecież rozmawialiśmy w jej mieszkaniu.

A może w moim? może w parku? może tej rozmowy w ogóle nie było? może uwierzyłem w nią tak, jak kiedyś w smak winogron, choć mi się tylko śniły?

I w M., choć jest przecież tylko cieniem mych upartych o nim wyobrażeń...?)

Mitologizacja życia.

Mitologizacja ludzi.

Stwarzanie legend tam, gdzie jest tylko buchalteria.

Dodawanie kolorów temu, co jest tylko szare.

Zarzut?

może...

a jednak – bez tego nie byłoby poezji.

Byłyby tylko sklepy mięsne.

I ochlapane błotem tramwaje.

Zmęczenie.

Zmęcze...

Z...

(dobranoc. Niech wam się przyśnią Legendy w lekkich sukniach, tańczące na skrajach obłoków...).

## **Anna Dziewiętnastowieczna**

Ona jest Anną Dziewiętnastowieczną, Anną, która gra na pianinie i mówi po francusku (Apollinaire: je n'ai plus même pitié de moi et ne puis exprimer mon tourment de silence... Również świece płonące w majolice, kawa po węgiersku w malutkich filiżaneczkach). Jak to się stało, że ona jeszcze żyje. Jak to się stało, że ona jeszcze ufa. Jak to się stało, że ona jeszcze czeka.

Anna... subtelna, ciepła i smutna. Anna, która cierpi na ohydne, bezduszne stulecie, na wiek nasz samowystarczalny, oparty na zasadzie: niczego nie żądam, a więc niczego nie daję. Może przez inwersję zasada celniejsza: niczego dać nie mogę, a więc nie powinienem niczego oczekiwać.

Anna, która wciąż nie chce zrozumieć, że czas jest wytworem ludzi, że jest więc taki, jacy oni są.

Dlatego wciąż poszukuje. I ciągle liczy na przyjście kogoś, kogo od dawna już nie ma (...są chłodni, bo przestali w cokolwiek wierzyć. Są obojętni i wyrachowani, bo uznają tylko Materię, choć Carpentier wołał jakże dawno temu:

istoto ludzka! odzyskasz światło tylko wtedy, gdy rozwinięsz w sobie wszystkie swe boskie zdolności, które uśpiła w tobie przewaga materii...).

Lecz ludzie boją się swych boskich zdolności.

Ludzie wolą Materię.

Materia jest bezpieczna.

Materia nie czuje.

Ha! lecz jednak! nawet ta Materia, w którą tak bardzo wierzą, bo zdaje im się, że opanowali wszystkie inżynierie i medycyny, nawet ta bezmyślna Materia przewyższa ich żalną dumę, ich tak zwaną ludzką władzę.

Nawet ona, to ukochane dziecię wieku, buntuje się przeciw proporcjom, odrzuca symetrię, sprzeciwia się bezpiecznym oczekiwaniom. Nie przeżyłem nigdy trzęsienia ziemi, nie byłem nigdy w amazońskiej dżungli ani wśród meksykańskich wulkanów, lecz jakże dobrze rozumiem ten bunt FORMY. Bunt Góry, która pod łagodnym zboczem kryje przepaść ognia i bezkształtu. Bunt Drzewa, które czując za sobą poparcie milionów innych drzew, przerasta nagle w nienawistnego potwora o powyginanych mackach, szydząc jak gdyby ze swego dawnego, swojskiego kształtu i z naszych przyzwyczajęń.

I wreszcie – bunt Ziemi, tej zaufanej zdawałoby się współpracownicy płaskostopych sklepikarzy i polityków bez wyobraźni (...trzeba twardo stąpać po ziemi... i tak dalej).

Ona też umie odpłacić im szyderczą manifestacją swej potęgi.

...mrówki ciśnięte w górski strumień...

Postscriptum: ich zaślepienie i brak inteligencji... głupota istnienia w pantoflach i samochodzie, ślepego i głucheego na obecność planet i mlecznych dróg, na dziwność pustyni, wul-

kanów, kamieni z Ica, hysterii i bogów, na tajemnicę narodzin, miłości i śmierci, na wschód słońca i zakwitanie konwalii, na potęgę elektronu i kruchość kaplic, na szaleństwo nieba i obłąd człowieka, lecz nie tego w fotelu i z gazetą, ale tego CZŁOWIEKA, który ma głowę utkaną z chmur, a stopy jego sięgają najgłębszych pokładów diabelskiego łona...

## **A może by tak zupełnie inaczej się umówić?**

Otto Rank, znakomity psychoanalityk austriacki, mówi wg Anaïs Nin tak: psychoanaliza jest wielkim niebezpieczeństwem dla naszych dusz, albowiem zabija to, co analizuje.

Przypuszczam, że na tej samej zasadzie funkcjonuje SŁOWO.

Dlatego boję się słów, które odbierają mi to, co chciałbym pozostawić w sobie jako swą tajemnicę, swą ciemność, jako coś, co sprawia, że w ogóle chce mi się pisać.

Tworzyć zdania.

Ze SŁÓW.

No i właśnie! – oto jak z twego wroga słowo zmienia się w sprzymierzeńca.

Bo poza wszystkim, czemu odbiera magiczną moc, słowo potrafi też moc magiczną nadać. Potrafi ono wypełnić pustkę, jeśli dręczy cię pustka, zwymiotować wściekłość i wrzask, jeśli masz go w sobie zbyt wiele, zredukować życie do dobrze znanych, wygodnych pojęć, jeżeli lęka cię jego nieprzejrzystość.

Nie wiem. Nic nie wiem.

Sam sobie zadaję te wieczne pytania, na które nigdy nie ma odpowiedzi.

Po co, do diabła?! Nie mam przecież tego języczka giętkiego jak wąż i tego mózgu pakownego na wszystkie okazje, i serca dmuchanego jak balonik, i oczu czujnych naokoło głowy.

Jestem taki sobie. Dość leniwy.

I często wolę pogapić się na czyjś tyłek, niż czytać mądre książki.

Udaje mi się to wszystko, na czym szczególnie mi nie zależy.

Na przykład: sprzątanie pokoju odkurzaczem, wysłanie listu poleconego w ładnej kopercie, zakup pary butów modnych z juchtowej skóry. Na wszystko zaś, co próbuje być z mojej strony wyzwaniem rzuconym światu (?), jego metodzie istnienia (??), jego biurokratyzmowi, przyzwyczajeniom, obiegowym schematom i uznanym wielkościom (???), on pozostaje głuchy i niemy.

Kto za ten stan rzeczy ponosi winę? Świat? (...ignoruje mnie, bo nie pasuję do jego krainy – pisał Schopenhauer.)

Czy ja? (...zbyt chętnie poddaje się rytmowi zdarzeń, nie ich sensowi.)

A może po prostu za mało mam tupetu?

Może błąd tkwi w tym, że jestem dobrze wychowany?

I że nie umiem się narzucać? (patrz – poeta Lolo, który wiersze pisze średnio, za to świetnie opanował metodę Bycia Demonicznego, to znaczy – za Leopoldem Zieglerem – stawania się „przepaścią, której nie można wypełnić, tęsknotą, której nie można ukoić, głodem, którego nigdy się nie zaspokoi...”

Jeżeli jeszcze dodamy do tej morderczej mieszanki szczyptę słowiańskiej duszieszczyteliwości oraz miękki, ciepły baryton, funkcjonujący najlepiej w diapazonie chłopięcego zakłopotania, to łącznie wytłumaczymy sobie te tłumy, głównie dziewcząt, na jego wieczorach autorskich).

A przecież – narzucać się to nic innego jak obnażać własną słabość (pytanie: czy rzeczywiście świat pragnie siły?), to histerycznie domagać się akceptacji przez otoczenie (pytanie: a czy nie tego właśnie potrzebuje najbardziej każdy artysta?), to wreszcie odgrażać się: zrób coś ze mną albo ci się narzucę (gdym brak innych argumentów poza wrzaskiem. Pytanie: czy świat w ogóle przyjmuje do wiadomości j a k i e k o l w i e k argumenty?)

Stanisław Gola pisał mi kiedyś: nie umiesz być sokołem, bądź wężem.

Ale on jest zaśniedziały romantyk.

I niezyciowy maksymalista.

Dlatego powiem mu na to: nie umiesz być demonem

**BĄDŹ BŁAZNEM.**

Garrota jest to stalowa obręcz, którą powoli zaciska się na szyi skazańca (jeden obrót śruby na minutę). W ten sposób agonía przeciąga się do kilkunastu godzin.

Do dziś wykonuje się w Hiszpanii wyroki śmierci przy użyciu tego niezwykle zmyślnego urządzenia. Ostatnią taką egzekucję wykonano w 1974 roku na lekkomyślnym komuniście Salwatorze Puig.

na śmierć Salwatora Puig

zaciska się stalowa obręcz Patrzę jak umierasz i nie mogę ci pomóc: ręce mam po łokcie zanurzone w sianie i otrębach A święta panienka Ach! święta panienka nie miała czasu zająć się twoją sprawą: śmierć jest wszędzie a więc nie przedstawia dla nas większej wartości – napisała

różą maczaną w atramencie.

Musisz nareszcie zrozumieć

że ani święte panienki

ani tym bardziej ich grubi generałowie

nie widzieli nigdy stalowej obręczy

którą w tej części kraju zwą garrotą.

Grubi generałowie wykonują co dzień Odpowiedzialne Zadania

jakie nasz pracowity wiek stawia przed ludzkością

a wieczorami rozpiąwszy krochmalone kołnierzyki

przyjmują święte panienki na krochmalonych prześcieradłach.

Nie możesz ich winić Salwatorze Puig

tysiąc dzieci głoduje w Abisynii

a księżyc wymaga natychmiastowej melioracji;

ujarzmiliśmy już moralność i rewolucje

umiemy tępić czas i moskity;

budujemy nierdzewne mosty nad pękającymi systemami miar i wartości;

w tej sytuacji

indywidualne umieranie

jest doprawdy zajęciem dla nierobów.

dlatego patrzę na ciebie

i ręce głębiej zanurzam

w siano i otręby.

Sam przyznasz że zrobiłem wszystko aby ci pomóc  
nawet wiersz napisałem  
różą maczaną w atramencie.

Czytam Faulknera *Światłość w sierpniu*.

Jak zwykle podczytuję Rilkego do poduszki... (dlaczego Rilke? dlaczego nie Garcia Lorca? dlaczego nie on, smutny we mnie i tajemniczy, odkąd ktoś powiedział o nim: ach, ten pederasta...)

Zabito go strzałem w odbytnicę: zasłużył sobie na ostatni numerek – rechotali żołdacy.

Cyganki i mandoliny. Noc w Sewilli i madrycka kawiarnia. Smutne oczy i wytworny kołnierzyk.

Ulice Malagi kipiące czerwonym kwieciem.

Noc.

Strzał.

Poszarpana marynarka).

Marzę o wakacjach. Tak nieludzko zmęczony nie byłem nigdy dotąd.

Jest to zmęczenie na wylot. Od mózgu po stopy, od czoła przez oczy, usta, ręce.

Wszystko, co umie zabołoczyć przy byle poruszeniu.

Myśli wloką się osowiałe, niezdolne przebić się przez czaszkę.

Tłuką się o jej obolałe ściany i opadają z cichym kłapinięciem gdzieś na samo dno serca.

Rilke i Garcia Lorca.

Hegel i Gombrowicz.

Bach i Jimmi Hendrix.

I znów, poprzez najprostsze antynomie, próbuję odgadnąć istotę BYCIA. No dobrze, ale po co? (następna antynomia: nie wie, po co, a jednak robi).

Wniosek: na tym widocznie polega cały banalny sens poruszania się w czasie i przestrzeni.

Piszę nowy cykl wierszy. Tytuł cyklu: Skandale.

Piszę je oczywiście bez jakiegokolwiek nadziei na druk. Tytuły mówią same za siebie: Mój poetyczny tyłek, penis białego Apolla i tak dalej.

Dawniej w swych wierszach mierzyłem się z Bogiem. Teraz mierzę się z ludźmi. To tryumf, ale i klęska zarazem.

(Chyba że wreszcie okazałoby się kiedyś, że tak naprawdę Bóg i człowiek to dokładnie to samo i że nie sposób, pisząc o jednym, ignorować obecność drugiego).

rozchwianie aksjologiczne...?

czy tylko: ciemność (darkness)

rozpacz (despair)

oczekiwanie? przedsmak SIEBIE?

w ciszy...

w lekkim

potrącaniu się słów...?

Jest. Noc. Na stole trzy zeszyty. Cztery książki. Obok dwie filiżanki po kawie. Paczka papierosów „Caro”. Brązowa serweta.

Radio. Budzik tyka.

Półka na książki. Kafka. Apollinaire. Proust.  
Trochę dalej *Fizjologia człowieka, Seksuologia kliniczna*. Słownik niemiecko-polski.  
Wiersze Lieberta.  
Typowość tego pokoju. Symboliczność mnie w nocy, w fotelu, z zapalonym papierosem.  
Brahms. Nocna lampka.  
Wszystko w stylu. Czytam. Strząsam popiół do popielniczki.  
Umieram z nudów, lecz czytam. Nudzę się w sobie i na zewnątrz.  
Kto to powiedział: człowiek mądry nigdy się nie nudzi.  
Ja się nudzę.  
Choć jestem mądry.  
Jestem mądry, bo czytam.  
Kto czyta mądre książki, ten jest mądry.  
Moje książki są mądre.  
Więc i ja jestem mądry.  
Skąd wiem, że moje książki są mądre?  
Bo ja je czytam. A ja nie czytam głupich książek.  
Skąd wiem, które książki są mądre, a które głupie.  
Nie wiem. Tak się ze sobą umówiłem, że jedne będą takie, a drugie inne.  
Czytam książki, co do których sam się ze sobą umówiłem, że są mądre, aby być mądrym.  
Kto czyta mądre książki, ten jest mądry.  
Akurat tak się składa, że wszyscy, którzy chcą być mądrzy, umawiają się uważać za mądre te same książki.  
Kafka. *Ulisses*. Proust.  
To, co jest trudne, jest mądre.  
To, co jest łatwe, jest głupie.  
Łatwy jak kicz. Trudny jest Picasso.  
Zaś dla głupiego zupełnie co innego będzie trudne.  
Ale jest dość sprytny, aby udawać, że nie jest.  
Czyta więc Kafkę.  
Umiera z nudów.  
    (Czytam.  
    Umieram z nudów).  
Paczka papierosów „Caro”. Brahms. Wszystko jest nonsensem.  
Jestem głupi. Umieram z nudów czytając mądrą książkę.  
(pytanie: a może by tak zupełnie inaczej się umówić???)

## **Kiedy już można tylko współczuć...**

Każde działanie ma nieskończoną  
ilość swoich przeciwdziałań.  
Biorąc je wszystkie serio  
pod uwagę, przestaje się działać  
w ogóle.  
Podobnie jest ze słowami.  
Siedzimy. Pijemy. Mówię.

Siedzą. Piją. Milczą.

Więc mówię dalej. Historie zmyślone i prawdziwe, herbowe i knajpiane, świńskie i nabożne. Milczą.

Więc nie wiem – czy może mówię w jakimś obcym języku, że mnie nie rozumieją, czy też coś mi się we łbie popsowało i plotę teraz od rzeczy, bo milczą, patrzą na mnie pomieszani, nie z tego świata, lub to ja może obcy wśród nich prawidłowych i normalnych, którzy zebrali się, żeby posiedzieć i popić, a ja im tu nagle wyjeżdżam z biografią, z miłością, z tęsknotami i pieśnią stepową: hej, Kozacze, Wołgo, Wołgo, i tak dalej, a może zbyt skandaliczne są te konfesje, może nie tak trzeba, od łóżka i od kuchni, bo to ich miesza, zawstydza, te dziewice i tych prawiczków rumieniących się na co grubsze słowo, tracących rezon, gdy im kto ich własne skryte obsesyjki i namiętnostki wyłoży, może więc trzeba by dać im jednak jakąś szansę na kamuflaż, na wstydlivość, bo dusze ich bardziej są ubrane niż ciała, dlatego może nie zdzierać tych skrzętnych łaszków, którymi swe serduszka pozakrywali, nie pysznić się przed nimi swą nagością, bo kto mi zaręczy, że jest dość atrakcyjna, żeby ją na goło oglądać, tę duszę moją, tego mojego kumpla, z którym rozumiemy się w mgnieniu oka, może bez niego wystąpić, samemu, bez duszy, a tylko CONVERSATIONS DE SALON, coś takiego, co gładko w ucho wejdzie i jeszcze gładziej drugim wylizie, co czas wypełni rozkoszną paplaniną, chichotkiem, pitigrilli, ażeby móc potem rozstać się bez żalu i znów spokojnie do własnych zajęć powrócić, bez tego ciernia w sercu, który im wbijam, bez tego natrętnego obrazu mojej nagości, przed którą – o! jakże łatwo kryją się ich chytne oblicza! – nie wiem, czegoś brakuje, jakiegoś drucika, transformatora, jakiejś skuwki czy sznurka, że ja im swoje na wysokich obrotach nakręcam, a oni z tego tylko jakieś odpryski łapią, siedzą, piją, milczą i milczą...

Aż wreszcie któryś popatrzy na mnie ze zgrozą i powie:

– Wiesz co, stary, ty chyba jesteś trochę stuknięty...

– A w czym to się przejawia? – pytam.

– Bo nie działa w tobie system samokontroli. Mówisz wszystko, co CHCESZ mówić. Uważaj na siebie.

Bums. Powiedział, co MUSIAŁ powiedzieć. Zaraz też porozchodzili się pod różnymi pretekstami, zostawiając mnie z moim źle funkcjonującym systemem samokontroli. Pewien jestem, że niektórzy z nich pomyśleli sobie, że poza tym wszystkim jestem jeszcze prowokatorem...

(...więc to jest samotność gdy mówisz i mówisz i wszyscy słuchają kiwają głowami i wiadać na ich twarzach szczerze niezrozumienie. Lecz też jakby i trochę współczucia że mówisz i mówisz a oni kiwają głowami. Więc to jest współczucie. Więc to jest samotność kiedy już można tylko współczuć twej nieszczęśliwej ODMIENNOŚCI

więc to jest samotność; nie o listy nie o telefony mi idzie nie o wspólną wycieczkę autem i nie o bieganie po plaży. Bo przecież coś jeszcze nas wzajem dotyczy coś co jest bardziej wspólne niż auto niż praca niż rozmowa przy obiedzie. To coś najbardziej NASZE do czego nie trzeba wódki nie trzeba czterech ścian

ani tym bardziej słów gdy brzmia teraz jak głuche kroki

odbijane echem obojętnych twarzy

Więc co? więc tylko współczucie? tylko ono najgorsza możliwość gdy nie pozostaje ci nic jak tylko uzalić się nad sobą

Lub jeszcze gorzej – nad innymi



W zarozumiałej pysze współczucia, w fałszywym miłosierdziu).

...gdzie więc jest to nasze coś, co nie boli, nie lęka, to, co jest dobre w oczach i bliskie na największą odległość, to coś NASZE, co jest zapomniane, zagubione w walce o dzień jeszcze jeden, choć przecież taki sam jak wszystkie poprzednie

dzień...

(czy to współczucie właśnie, czy może ten jeszcze jeden mały strumyczek nadziei, którego znów razem nie umieliśmy przeskoczyć?)

(...nie ma go od dawna  
wszyscy już zapomnieli  
jaki był ten ktoś...)

kocham wiatr  
gdy nadchodzi  
dym nad miastem  
cofa się.  
mój zły sen  
i w bolesną źrenicę  
nagle wkracza  
ktoś jak obłok biały  
słońce  
ożywia lekką dłonią...

„Świat należy do ciebie. Przez jeden sezon.”

(O. WILDE – *PORTRET DORIANA GRAYA*)

## Rozdział dwunasty

### Listy z Londynu

*List do M.*

Drogi M.! Jestem tu trzeci dzień dopiero, a już mi tak źle, że najchętniej uciekłbym stąd, gdzie pieprz rośnie i mamałyga. Londyn bez ciebie to tak jak spodnie bez guzików: zlatują i już nic nie pozostaje. Odwiedziłem prawie wszystkie nasze miejsca: Dean's Yard w Katedrze Westminsterskiej (tę latarnię gazową, co stoi pośrodku brukowanego podwórza, przerobili na elektryczność, poza tym włóczyły się tam jakieś Japonki z aparatami fotograficznymi, więc, niestety, odkryto już to miejsce), poszedłem też do pubu „The King's Head” na Newport Place. Barman mnie poznał, nawet mi drinka postawił. Było pusto, głucho grała blaszana orkiestra i paru smutnych ludzi stało przy kontuarze.

Wczoraj odwiedziłem Irvinga w tej jego norze na Hampstead. Jadł akurat zimne mięso z puszki i popijał sokiem pomarańczowym. Na rozmamłanym wyrku leżał młody Arab i bawił się kutasem. Irving czytał mi fragmenty swojej powieści o dekabrystach, ale ja nie słyszałem ani słowa, bo za oknem kot tarzał się w słońcu, dwie stare Hinduski kłóciły się nad umorusanym dzieckiem, jeździły samochody i szumiał ten sam stary kasztan. Irving zrozumiał nareszcie mój stan. Odłożył rękopis i posłał Araba po piwo. Patrzałem na chude, owłosione nogi Irvinga wystające z połatanych szortów, na jego starą, pomarszczoną twarz, na strąki siwych włosów. Irving przestraszył się mojego wzroku: przestraszył się mojej młodości, która jest bezwzględna, bo taka po prostu być musi. Dla nas czas jeszcze nie jest klęską. Jest – na odwrót – wspaniałą szansą. Patrząc na Irvinga myślałem o śmierci.

Patrząc w głąb siebie myślałem o Tobie. O Twojej młodości, o szansie, którą dla nas dwojga miało być to lato. Ten dzień.

Irving o nic nie pytał. Dopiero przy pożegnaniu napomknął od niechcienia, jak tam jest teraz z tobą. I co miałem mu powiedzieć? Że w ogóle nie jest? Że milczysz jak zaklęty, bo włóczysz się drogami, które nie do mnie już należą, ale do twoich kompanów, tych bezustannie szczęśliwych, z pieniędzmi i dziewczynami w zagranicznych sukienkach? Że pijecie razem w drogich knajpach, bo nie o picie wam idzie, ale o odwaleniu jeszcze jednego wieczoru, wypełnienie go czymkolwiek, nawet śmieciem, nawet głupstwem, byleby uniknąć czegoś... czego? chyba jakiejś odpowiedzialności za siebie, za swój czas i za swoje życie. „Jesteśmy przecież młodzi i czas jest dla nas nieskończoną szansą”. Irving już nie ma żadnych szans. Lecz jakie szanse macie wy, których młodość krótsza jest niż zakwitanie pąka, niż błysk słońca na szybie, niż śmiech?

Kto stanie przy was w chwili, gdy za jedynego towarzysza mieć będziecie lustro z wizerunkiem własnej twarzy. Twarzy obcego starego człowieka?

Nie ma cię ze mną, bo nie wyszło. Rozumiem. Czasem nie wychodzi. Jest to ta część twojej nieobecności, która nie od ciebie zależała. Dlaczego jednak pomnażasz ją nieobecnością drugą, o ileż boleśniejszą, bo starczy przecież krótki list, krótki telefon, aby odległości przestały boleć.

Dlatego mój klimat duchowy jest w tej chwili podły. Przeszłość zbyt łatwy ma do mnie dostęp i choć rozumiem, że w tej sytuacji albo przeszłość należałoby zmienić, albo siebie, to jednak ze skruchą wyznaję, że nadal tego robić nie potrafię.

Zostają więc alkohole – do znużenia te same.

I łóżko – na myśli mam spanie, które dawkuje sobie rozkosznie i pieczołowicie jak bezcenne lekarstwo. Seks męczy mnie: po chwili uspokojenia wraca irytacja, rozdrażnienie. Myślę wtedy już tylko o tym, jak pozbyć się tego kogoś, kto leży obok mnie i chrapie, kto nie pozwala mi wyjść zaraz na ulicę i powłóczyć się z papierosem w żółtym świetle latarń czy coś w tym rodzaju.

Miałem za to bardzo ładny autostop przez Niemcy i Belgię. Tyle ciągle się działo, że chwalić Boga zupełnie nie miałem czasu na myślenie. Hamburg, Düsseldorf, Bruksela, Antwerpia, Ostenda; przydrożne drzemki z plecakiem pod głową, zimna cola z automatów na stacjach benzynowych, pośpieszne notatki na kolanie; zabawne starsze małżeństwo z Bremy; to pan jest Polakiem???? Teraz jednak mam dość czasu na myślenie i, jak widzisz, nic dobrego z tego nie wynika. Co wieczór jestem w małym pubie na Hampstead: odkryłem to miejsce w ubiegłym roku. To jest gay-pub, gdzie wbrew nazwie bywają sami smutni panowie. Ten pub nazywa się „Król William Czwarty” – podobno najślawniejszy pederasta wśród królów, tak mi przynajmniej mówił Steven, ale należy pamiętać, że Steven, podobnie zresztą jak ONI wszyscy, uwielbia przekręcać fakty wedle własnej wygody. Najnowsza teoria Stevena: wszyscy są homo, tyle że niektórzy jeszcze nie zdali sobie z tego sprawy. On ich uświadamia. Uważa siebie nieomal za proroka. Przyznać trzeba, że wyznawców nowej wiary ma wielu, przeważnie blond z bicepsami.

Siedzę więc w kącie „Williamia” i popijam piwo, a potem wracam na to cholerne drobnomieszkańskie Finchley, gdzie ilość sklepów z karmą dla papużek idzie o lepsze z kaplicami Armii Zbawienia. Wracam przez Bishops Avenue, której długość rośnie proporcjonalnie do ilości wypitego piwa. Mieszkają tu sami bogacze i na dystansie paru mil równego asfaltu nie spotkasz ani jednego przechodnia. Za to po prawej mijają cię cichobieżne limuzyny (nie uwierzyłbyś, ile pogardy potrafi unieść jeden samochód: pięciu ich plus kierowca, martwo zapatrzeni przed siebie, z identycznie wydętymi ustami; gdybyś nie uskoczył w porę, przejechałby cię, nie wiedząc nawet, że coś się stało), a po lewej – warowne zamki, twierdze otoczone ceglanymi, betonowymi, żelaznymi ścianami z kamerą telewizyjną na drzewie i fotokomórką w bramie. Czasem wśród drzew dostrzeżesz jakieś okno, czasem za szybą twarz starej kobiety, z tym samym grymasem pogardy i obojętności.

Myślę, że świat będzie kiedyś wyglądał jak Bishops Avenue.

Mam nadzieję nie dożyć tego dnia.

### *Pierwszy list do Krzysia*

Drogi Krzysiu! Wczoraj przycinałem żywoplot Pana Profesora. Jest to jeden z tych dziarskich staruszków, dla których życie, choć zakończyło się w 1939 roku, pełne jest jednak wiary, że nadejdzie kiedyś czas, aby dobrać w słusznej sprawie jagiellońskiego oręza.

Sabba, zatrudniona dorywczo w charakterze kucharki, stała w otwartym oknie i wołała do mnie: jak sobie przytniesz paluszki, to ci przyprawię fish fingers!

A dzisiaj pada deszcz. Jest cichy, późny wieczór, ludzie śpią, tylko niekiedy przemknie pustą ulicą oszalały narkoman z pianą na ustach lub ciszą nocną zmąci daleki krzyk mordowanej staruszki. Ogólnie jednak jest softly like in serenade. Z adapteru dobiegają ostatnie tony *Venetian Games* Lutosławskiego, powinienem więc ten elegancki ze wszech miar obrazek dopełnić chwilą malowniczej kontemplacji z zapalonym dunhillem w cienkich palcach, zadumą

nad samotnością każdego człowieka z osobna i ludzkości w ogóle i zakończyć wszystko dekadencją pijaństwem à la Russe, przy kotłach i waltorniach *Symfonii Patetycznej*...

Ale nie. Piszę dalej.

Bo przecież jutro idę razem z Sabbą na *Wielkie żarcie* Marka Ferreriego. Robię to tylko przez osobistą sympatię dla niej i dla jej Dzbanuszków z Herbatą (o dzbanuszkach później). Nie mam szczególniejszej ochoty na kino, a jeśli już, to na Buñuela – właśnie idzie jego *Zakonnik*, reklamowany jako „his most satanic work”. Smutne są tego roku programy kinowe. Nie ma przebojów w rodzaju ubiegłorocznego *Ostatniego tanga w Paryżu*, *Satyricon*, *Kabaretu* czy *Diabłów* sprzed dwóch lat. Były to szlagiery, a przy tym znakomite dzieła filmowe. W tym zaś roku jest *Egzorcysta*, na którym trzęsie się pół Europy, dodając mu w najlepszej wierze jakieś prawdy metafizyczne o człowieku i jego losie, czy coś w tym rodzaju, choć to zwyczajna chała zrobiona na wzór dreszczowców z Drakulą lub Frankensteinem, gdzie pełno jest dzikich min, wrzasków, zaś zupełnie brak tej przejmującej ciszy prawdziwego suspense'u, czyli metafizycznego napięcia.

A swoją drogą to bardzo ciekawe: rzyg transcendentálny *Egzorcysty*, rzyg fizjologiczny *Wielkiego żarcia* i rzyg seksualny *Ostatniego tanga*, przyprawione rozhulanymi satanizmami *Zakonnika* i *Diabłów*. Zupełnie jakby świat postanowił urządzić sobie totalny wyrzyg, na kilku obszarach ludzkiej egzystencji naraz. Odchodząca kultura rozpaczliwie wymiotuje wszystkim, co stworzyła, nagle zagubiona w gwałtownym, chaotycznym biegu mikroorganizmów myślowych i duchowych, który sama sprowokowała: doprowadzona do histerycznej desperacji wysokim napięciem pola elektromagnetycznego, które sama wokół siebie zaindukowała; przerażona niespodziewanymi zdarzeniami, jakie w stosunkach między ludźmi i między czasami, i między elementami kultury dawnej i współczesnej nieświadomie zdopingowała.

I w tym rozżarzoną do czerwoności tyglu rodzi się nagle czysta subtelność i zdumiewający umiar filmu takiego jak *Kabaret*. Lecz umiar ten, na prawach paradoksu, o ileż większe zawiera rozdarcie, o ileż głębszy dramat niż szalone freski Russela czy Buñuela. Mało kto właściwie ocenił to arcydzieło szeptu, którym od niechcenia mówi się o największych sprawach, prawdziwy dramat tuszując piosenką – celowo rewiową – aby jej gorycz wyczuli tylko niektórzy. Jest to metoda podobna nieco do tej, którą w *Mistrzu* i *Malgorzacie* zastosował Bułhakow – dramat, który nie rozdziera się oto przed osłupiałą publicznością, lecz cichy, kamuflowany, drażący dzięki temu niespodziewane głębokości, które odkryte – przerażają.

Lecz aby je odkryć, trzeba mieć w sobie odpowiedni potencjał metafizycznych napięć, czegoś, co jest mieszaniną miłości do człowieka i najzaciętszej do niego nienawiści, co jest zrozumieniem jego dumnej – a zarazem parszywej – egzystencji, co jest ciągłym „pół”, ciągłym „niedo” człowieka, jego gonitwą za pełnią i upadkiem w nicość, tęsknotą za harmonią i rynsztokową klęską...

...i tak dalej, i tak dalej...

A do tego jaki przystojny był Michael York!

Jak mi brakuje ludzi, którzy coś z tego, co zowie się życiem, czują i rozumieją! Niechby był ktokolwiek!

(P.S. wołałbym jednak blondynów).

Z Sabbą można wprawdzie prowadzić tak zwane rozmowy o egzystencji, lecz cały czas uważać trzeba na moment, gdy jest już dość zdesperowana, żeby ci rozwalić na głowie najlepszy półmisek z kolekcji Profesora.

Aha, miało być o dzbanuszkach. Wyobraźcie sobie sytuację typową: ciche angielskie popołudnie, przez okno wpada zapach świeżo skoszonego (przeze mnie) trawnika. Sabba wyprostowana, chuda, siedzi sztywno, cała anglosaska w tym momencie, kładzie maleńkie kupki blueberry jam na kruche ciasteczka, wyjmowane z celofanowej paczuszki. Trzyma się ciasno i uważa, aby okruszki ciasteczek spadały w jedno miejsce (jeżeli już spadać muszą). Oczywiście raczej spuszczone, a usta otwiera oszczędnie. Cisza. Zegar na komódce tyka.

I nagle Sabba

Chwyta w panice

Dzbanuszek z herbatą

Nachyla – nie nachyla półnachył

gotowość absolutna w jednym

punkcie w jednym

momencie Moja filiżanka

Sabba zgroza Sabba nachył

w mojej filiżance zgroza

zgroza:

!!!!!!!!!!!! Boże! przecież ty już nie masz herbaty!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Taki był okrzyk Sabby, za który pokochałem ją i jej Dzbanuszek z Herbatą.

P.S.

...oszaleję tu sam, bez Gombrowicza i z tuzinem angielskich dzbanuszków pod czaszką...

### *Drugi list do Krzysia*

W Anglii nastroje ludu fatalne. Gdyby istniał tu jakikolwiek precedens historyczny, to pewno wybuchłaby rewolucja. Ale jak wiesz, Anglicy to polany słodkim sosem umiar i bon ton. Rewolucja jest według nich wybrykiem co najmniej nieeleganckim. Dlatego wszystko kończy się na utyskiwaniu przy herbacie, choć początek, w postaci szalejącej drożyzny i bezrobocia, wydawał się znakomity. Jedyne ziarnko pieprzu w tej mdłej papce angielskiego życia to lekka psychoza wojenna. Mówi się o niej po cichu, jak o nieślubnym dziecku rzeczywistości, ale mówi się. Dzięki temu atmosfera jest z lekka dekadencja. Z przyjemnością poddaję się tym nastrojom, łudząc się, że jest w nich coś z *Satyricona* i *Kabaretu*, tych dwóch filmowych pomników, które sztuka współczesna wystawiła epokom Wielkich Kryzysów Duchowych (pytanie: jaki jest NASZ pomnik?), więcej w tym jednak mitologizowania niż rzeczywistych zagrożeń. Ot, bloody intellectual, słuchający wrzasków rzeczywistości przez czułą trąbkę swego wyrafinowania...

I Glenda Jackson, kochana moja, w *Women in Love* Russela. Jedyna pani, która umie krzyknąć, nie wydając przy tym żalosnych pisków, i milczeć, nie strojąc przy tym głupich min. Już za to choćby należał się jej Oscar.

A Russel – jak to Russel. Pisałem już o nim. *Zakochane kobiety* to następny szok – tym razem sentymentalny. Film oparty na melodramatycznej historii Lawrence'a, sytuacja więc niebezpieczna. Łatwo ześliznąć się po równi pochyłej albo w romans, albo w tani pastisz. Russel ratuje się akwarelą: film jest subtelny, delikatny, pełen powściągliwego uroku. Temat noweli, którym tragiczną śmiercią zakończona miłość dwóch mężczyzn (umieszczona jak gdyby w drugim planie, psychologicznym, bo poza właściwą intrygą miłosną między nimi dwoma a ich kobietami), byłby świetnym materiałem na następne „Diabły” lub na jakąś inną kulminację diaboliczną, pełną dzikich orgii i chichotów szatańskich. Tak jednak nie jest – Russel raz

jeszcze wymyka się łatwym klasyfikacjom. *Zakochane kobiety* są filmem loseyowskim o tyle, o ile *Shłużący* Loseya jest filmem russelowskim. Porównanie nasuwa się samo: w obu wypadkach reżyser próbuje odnaleźć w sobie drugie oblicze. Losey: diaboliczne, Russel – sentymentalne. I w obu wypadkach pozostają jednak sobą. Sentymenty Russela są drapieżne, ironiczne, skłócone wewnętrznie, zaś satanizm Loseya mimo wszystko nie potrafi zdjąć z siebie eleganckiego garnituru i przestać bywać w modnych restauracjach.

W gruncie rzeczy każdy z filmów Russela jest tak bardzo różny od pozostałych, że można by podejrzewać tu jakąś mistyfikację. Ale tak nie jest: czyż nie jest to bowiem wielka sztuka umieć wciąż w sobie odnajdować tak wiele inności, a każdą z nich tak dojrzałą i bogatą, że potrzebuje osobnego filmu...? I bawić się rzeczywistością jak przekładańcem, dmuchać z niej fantazje i kaprysy, zmuszać ją do roli pokornej służki, która wykonuje wszelkie ewolucje i wygibasy, jakie panu przyjdą do głowy.

Poczucie humoru. Takie nosi imię najstraszliwsza broń w starciu z rzeczywistością. Humor – czyli odbieranie rzeczywistości jej funkcji rzeczywistej. Zmuszanie jej do odgrywania innej, fantastycznej roli.

Oto na czym polega jeszcze jedna tajemnica niezwykłych filmów Russela.

#### *List do Kuzynki Domów Panujących*

Kochana Moja! Tylko tu, w Londynie, obejrzysz sobie *WHAT* Polańskiego, *Miarękę za miarękę* Szekspira (czy wytworniej *Measure for Measure*) oraz supersekszlagier sezonu pt. *Emmanuelle*, gdzie nie tylko wiele po francusku gadają, ale i wiele robią. Naliczyłem, bagatela, czegoś dwa stosunki odtulne, jeden gwałt, masturbację niewieścią oraz dwa inne dziwne układy z prawą kończyną partnerki gdzieś w okolicach lewego ucha partnera, a z lewą na terenie umywalki, bo rzecz odbywała się w toalecie extra-comfort latającej forticy na trasie Paryż—Bangkok.

Jak więc sama widzisz, w doborze filmów nie schodzę niżej poziomu zakreślonego magicznym czubkiem Twego arystokratycznego nosa tudzież rąbkiem wachlarza którejś z Twoich Ciotek. Co prawda *WHAT* nieco wyłamuje się z tej konwencji, jako że na ekranie zamiast wykwintnej damy w sukience od Harrodsa latała jakaś półgłupia Amerykanka w dzinsach mówiąca okhopnym wphost slangiem i kładąca łokcie na stół, ale że akcja toczy się w białej willi nad brzegiem lazurowego morza (chyba Sorrento, choć Castellamare, ewentualnie Amalfi niewykluczone, możliwe też, że jest to Positano, choć chyba raczej nie, już bardziej Maiori, z tego zaś, co pamiętam z Włoskiej Riwieri – ach! ach – w grę wchodzić może również San Remo oraz Ventimiglia), więc wracając do tematu – rzecz dała się oglądać. Prawdę mówiąc, oba filmy były głupie i nieważne. Seksualizmy *Emmanuelle* nie robią większego wrażenia na kimś choć trochę obeznanym z przybyszewszczyzną lub choćby z Vicki Baum (z jej orgiami na kobietach z róż i tulipanów), zaś przygłupawy humor *WHAT* bawił tylko tych, którzy nigdy nie widzieli Kabaretu Starszych Panów. Polański zdecydowanie zdradził *Dwóch ludzi z szafą*, że już nie wspomnę o *Nożu w wodzie* lub *Matni*, które w porównaniu z *WHAT* sprawiają wrażenie filmów nakręconych przez Kogoś Zupełnie Innego. Cóż, artysta ma prawo być kilkoma osobami naraz, pod tym jednak warunkiem, że nie będzie to Witkacy pokumany z buchalterem lub Twoja Ciotunia podszyta praczką. Chociaż niechby i w końcu była, ale tu znów jeden warunek: artysta o tym wie. W przeciwnym bowiem razie w dziele jego panuje ogólny bałagan i kabotyństwo: natchniony sonet dostaje po mordzie dowcipami spod budki z piwem, zza kwartetu smyczkowego wygląda sprośna twarz kucharki, a autor oszalały biega, łapie umykające niteczki, płacze, rozwiązuje, znowu płacze i wreszcie strzela sobie w łeb.

Oklaski.

Co zaś do *Emmanuelle*, to już prawie wszystko wiesz. Typowe babskie erotyzmy, pracowicie wynizane z pseudofilozoficznego śmietnika tak zwanej frustracji małżeńskiej, gdzie impotencja uczuć zastąpiona zostaje omnipotencją wyra. Ponieważ zaś robiła to baba, rzecz jest wysoce elegancka: stylowe spleeny na tarasach, w hamakach, z papierosami i szklaneczką brandy, jedwabie, dyplomacja, wydrowate lesbije i ich TOLERANCYJNI, POZBAWIENI PRZESĄDÓW, WYZWOLENI Z DROBNOMIESZCZAŃSTWA mężowie, w gustownych krawatach, podszyci łóżkiem, spermą i gatunkowym alkoholem.

O gatunkowości obrzydła! O małomieszczanie wstrętni z alkoholem i cygaretką! O sknery paskudne, w garniturach, samochodach, które zastępują wam wolność, przefrymarczoną za tanie slogany, za wygodne pozory, za wykwintne snobizmy i frustracje!

A zresztą... Nie chce mi się dalej o tym pisać. To wszystko jest dla mnie zbyt oczywiste. Zbyt jarmarczne.

Zbyt puste w środku, żeby tam dłużej siedzieć.

Kiedyś miałem wybrać się do J.S. po protekcję (Kraków).

Wtedy Krzyś mi powiedział: Wiesz, ja znam Griszę, jego syna. Powołasz się, może cię nawet przenocują.

I z tego urodził się dialog. Staję przed drzwiami mieszkania J.S.

J.S. otwiera.

– Dzień dobry, czy jest Grisza?

– Nie, nie ma. A pan go zna?

– Nie, nie znam.

– To po co pan pyta?

– Bo Krzyś mi kazał.

– Jaki Krzyś?

– To pan go nie zna?

– Nie, nie znam.

– To po co pan pyta?

*Trzeci list do Krzysia*

Mój Drogi! Ciocia już drugi tydzień bawi na letnisku. Dom cały znów oddany do mojej wyłącznej dyspozycji. Mieszka tu też Ewa ze swoją przyjaciółką i mój kolega ze studiów (ej, Bartuchna, Bartuchna. Już drugi tydzień mija, a on wciąż ani myśli pracować. – Wybaczcie – mówi – ale nie na darmo babka moja przyjaźniła się z królową Wiktoria...). Gotuje nam włoski kucharz, czyli bliżej nie określony student z Pescary czy czegoś w tym rodzaju. Przyjąłem go za ciepło w oczach oraz talenty kulinarne.

Słucham sobie w tej chwili płyty z *Wielkiego Gatsby*, palę papierosa i chyba jest mi dobrze. Nie byłem od miesiąca w żadnym kinie, w żadnym teatrze, nic, zupełna pustka. Za to życie kipi, wciąż nowi ludzie, dziwacy, somnambulicy i mitomani. Oglądam ich sobie z intelektualnej szybkości, a czasem wychodzę do nich popić, pogadać, przekonać ich lub siebie. Znam już większość stałych bywalców pubów na Hampstead; to przeważnie starsi Anglicy, cudownie irytujący swoją pogardliwą pewnością siebie, która dla każdego, kto choć trochę orientuje się w obecnych kłopotach tego kraju, wyda się nieco komiczna, bo oni te kłopoty ignorują, eee tam, drobiazg – machają ręką, chyba że jest to nagle OCH! SKANDAL! jakiś czarnuch, który wprowadził się na ich ulicę! Wtedy oni szybciotko wynajmują inny dom, unosząc ze sobą skarb swój, swą ocaloną angielskość, aż do czasu gdy następny czarnuch



wtargnie w sąsiedztwo, wtedy znów umykają, i tak im się ta Anglia kurczy, jeszcze trzy, cztery dzielnice, ciche, malownicze i bezpieczne, za nieprzebytymi, zdawałoby się, murami złudzeń i mitów.

A wokół tych wysepek szaleje Londyn: ludzie podrzynają sobie gardła, a ceny puszek dla kotów rosą jak opętane.

Przebywając z nami, wśród ich złotych papierosnic, portretów prababek i foteli skórą obitych, w domach, gdzie zamieszkuje dziesiąte z rzędu pokolenie rozprawiające niezmiennie o królowej i o cenach kawy, odnoszę czasem wrażenie, że obok mnie rozgrywa się tajemnicze misterium Wychodzenia na Swoje, czego nigdy, przenigdy nie zrozumie, bo ja – Polak, urodziłem się pod spadającą gwiazdą, podczas gdy ich słońce zawsze stało wysoko w zenicie. Bogatsi o ciągłość czasu, której nam tak dotkliwie brakuje, rodzą się po to, by dalej pielęgnować trawnik założony przez pradziadka, a gdy już zestarzeją się na tyle, że im to nie wychodzi jak należy, z godnością usuwają się w cień, dając pole swoim synom, podczas gdy my zawsze wszystko rozpoczynamy, ciągle coś od nowa, wciąż jakieś gruzy i wciąż ten przeklęty POCZĄTEK, z którego – och, czy w ogóle uda nam się kiedyś wydostać? Nazywają mnie tutaj „the young decadent from Poland”, bo – szczególnie przy alkoholach – opowiadam im coś, że nietrwale, że się rozpada, kończy, jakieś tam historie spod ciemnej gwiazdy o krwi, o wojnie, o zabliznianiu ran, ale że dziwaków tu lubią, przeto leją mi z wyrozumiałym uśmiechem piwo do szklanki i uprzejmie wysłuchując, mają to wszystko gdzieś.

Anglia.

Kraj, w którym namiętność życia sprzedaje się za gwarancję przetrwania, hazard miłości za bezpieczną ironię, bezdomne szaleństwo za cztery kąty i piec piąty.

No dobrze, ale skąd wobec tego te wszystkie Durrelle, Wilde'y, Whistlery, Hopkinsy, skąd Hughesy, Lawrensy i Thomasy, skąd Russele, Pintery, Glendy Jackson i teatry Upstairs, skąd Ockhamy, Wittgensteiny i Byrony?

Czy siła ich bezpieczeństwa to doprawdy dosyć, aby napędzić wszystkie te zwariowane maszyny, na których potem przez długie lata ujeżdża z powodzeniem cała reszta świata...?

Tak, tak. Pisać o narodach jest równie trudno, jak pisać o ludziach. Może nawet trudniej, bo człowiek – jest to obiekt, zaś naród – to cała olbrzymia, kłębiąca się tajemnica Międzyludzkiego...

## **Nie jestem anglofilem...**

...ale lubię ten naród za jego spokojną solidarność i pełen tolerancji umiar. Gdy do kina „Prince Charles” na West Endzie, podczas premiery przebojowego *Ostatniego tanga w Paryżu*, wrzucono irlandzką bombę, na próżno czekałem szaleństwa, paniki, histerycznego płaczu niewiast i zawodzenia starców, tratowania się u ciasnych drzwi, łamania foteli, rabowania, gwałcenia i podrzynania gardeł. Ludek opuszczał swe miejsca w spokoju, wedle kolejności krzeseł, uprzejmie celebrując u wyjścia.

Bomba nie wybuchła, mimo że pałac papierosy i dowcipkując, długo czekali po drugiej stronie ulicy, aż coś rymsnie, coś puknie, coś się zawali.

Moja Anarchia, zerwana nagle ze snu i czekająca w radosnym podnieceniu na Wielką Rozróbę, ziewnęła, naciągnęła koc na głowę i znów rozczarowana zasnęła.

A znowu innym razem, gdy, mocno nabuzowani, M. i ja jęliśmy w kolejce podziemnej ostentacyjnie przeglądać pisemko „Gay News”, a M. położył czule swą dłoń na mym kolanie szepcząc mi coś na ucho, starsza pani z naprzeciwka ziewnęła rozdzierająco i pokiwała nad

nami głową z wyrozumiałą ironią: ot, buntownicy... dawno otwarte drzwi zachciało im się wywalać...

Nie. Ich spokój nie usypia, choć tak mogłoby się wydawać. Ich spokój budzi gniew. I agresję.

Przynajmniej we mnie.

Ich wygodne domki i ogródki róż pełne sprowadzają na mnie urzekające wizje totalnej katastrofy. Pękate meloniki aż proszą, żeby w nie zdzielić ołowianą rurką, a ślamazarne, paćkowate dupska krowiastych Angielek same prowokują do zamaszystego kopa podkutym buciorem.

Cóż, jeżeli jednak...

Energia kinetyczna buta rozplywa się w jakiejś kleistej galarecie, na miejscu zdeformowanego melonika natychmiast wyrasta następny, a właścicielom unicestwionych dziejowym kataklizmem nieruchomości kasa państwowa natychmiast wypłaca odszkodowanie. I tak bunt chowa się do swej skorupki, zawstydzony, że nie docenił zdumiewającej żywotności SYSTEMÓW, przeciwko którym ośmielił się wystąpić. Młody bunt angielski nakłada więc potulnie garnitury i meloniki i szoruje do biur i urzędów, jak tata, jak dziadek i tak dalej. Po nich przyjdą następni: z modą beat, z modą punk, z wrzaskami, wisiorkami, muzyką.

I na nich też spojrzysz litościwie angielska dama, już-już zaparzając herbatkę i szykując na ich przyjście wygodne bambosze.

Bo przyjdą na pewno.

Gdy trąbki im zachrypną, a mury jak stoją, tak będą stały...

O, Jerycho niezniszczalne, spokojne, pewne siebie, które Jozuego wpierw wykąpie, wypudruje, napoi herbatką, a potem powie mu: no, teraz niszczyć sobie, jeżeli tylko chcesz.

Lecz wtedy Jozue już nie chce.

## **Bye, bye Londyn!**

### **I.**

Moje maniery są coraz gorsze. Niedbale golę się przed lustrem, byle gdzie rzucam książkę na pół przeczytaną, wyłączam nagle adapter i biegnę na spacer, na powrót zapędza mnie do domu przelotny deszcz. Zachowuję się więc jak ta krowa, która przeskoczyła księżyc i potem było jej żal, że ma to już za sobą i nie będzie miała o czym marzyć. Księżycem w moim wypadku była smutna, z góry przegrana walka o M.

Wyjechał do Anglii. Żegnałem go na dworcu, usiłując odebrać sytuacji wszelkie cechy melodramatu. Śmiałem się, żartowałem, starałem się wręcz przypodobać jego ponurej blondynce, choć była to zabawa, flirt bez celu, ot, byle ukazać M. własną wielkoduszność. On nic nie mówił. Patrzył na mnie cielecym wzrokiem, potem coś wybelkotał, wsiadł w pociąg i pojechał. Zostałem sam na peronie, rozbawiony, rozchichotany, byle dłużej, dłużej, byle odwlec jeszcze choć trochę chwilę tej tak zwanej prawdy wszystkich pożegnań, diabli zresztą wiedzą; stałem więc sobie jeszcze trochę, a potem otworzyłem parasol, bo deszcz się rozpadał. I byłem zły na świat, który z każdego pożegnania musi zrobić melodramat. A potem na siebie, że tak się tego melodramatu przestraszyłem. Że nie objąłem, nie przytuliłem, że miast milczeć, mówiłem jakiegoś głupstwa. Dlaczego boję się sentymentów?

Czy dlatego, że tylko one, jedyne ze wszystkiego, co w ogóle jest na świecie, są w stanie całkowicie mnie obezwładnić ?

Nie pojedę do Anglii. Ryży grubas zaśmiał się i wrzucił mój paszport na powrót do pan-cernej szafy. Swoje ostatnie studenckie wakacje spędzam oto przy maszynie do pisania.

Pozwalam dosiadać się rzeczywistości. Pozwalam, aby mnie ujeżdżała jak szkapę, aby mną rządziła jak swoim sznurowadłem, aby robiła ze mnie balona, smutasa, dziwoląga. Ohydna, wredna rzeczywistość.

Pokój, po którym człapie cisza. Fotel, w którym mości się milczenie. Lampa, z której na cieniutkich nitkach zwisają pajęczki smutku o małych zgębnionych twarzyczkach.

Siedzę. Wstaję. Znowu siadam. Myślę, jak prawdziwe bywa czasami powiedzenie mojego brata: i po co mam wstawać, jeżeli za chwilę i tak będę siadał.

Więc siedzę. Otwieram kolorowe koperty z Hongkongu, Toledo, Londynu, odbieram telefony z Hamburga i Kopenhagi, piszę listy do Aten, Glasgow i na Majorkę.

Ohydna, wredna rzeczywistość. Uparła się sprowadzać na mnie wszystkie te miejsca, w których mnie nie ma. I w nagrodę wyprowadza mnie czasem na spacerek miejskim deptakiem, gdzie znów się okazuje, że wszyscy dokądś wyjechali, tylko ja jeden tkwię tu smutny pod kasztanem, z zapalonym papierosem lub bez i przymknąwszy oczy usiłuję wyobrazić sobie, że jest to zmierzch nad Adriatykiem i że lekka bryza od fontanny to właśnie jest wiatr od morza. I wchodzę do knajpy, gdzie lata senna mucha i kelner niechętnie podnosi się od baru, przyjmuje zamówienie, jakby nie przyjmował, i przynosi ciepłe piwo, w którym nie ma ani cienia gorzkiego smaku pilznera, przy którym w „Swiss Tavern” niszczyliśmy sztukę i rzeczywistość, budowaliśmy karkołomne rusztowania nowych teorii istnienia, śmialiśmy się z barmana, podrywaliśmy dziwki i chłoptasiów, czytaliśmy na głos nowe wiersze Seana. Potem wracam do pokoju. Powinienem cieszyć się ze spaceru: lepszy przepływ krwi, wentylacja płuc, zwiększone wydzielanie adrenaliny, hemoglobina znów złapała trochę tlenu, który zaraz podaruje szarym komórkom. Ale gdzie tam! Fotel przyjmuje mnie chętnie w swoje gościnne ramiona, włochaty kocyk tuli się niczym kochanka, leniwe stópki pieszczą się w wygodnych papuciach. Zaspiam, to znaczy budzę się gdzie indziej, na gorącej plaży pod Neapolem. Carmen pieści moje plecy suchą trawką. Sean coś zapisuje w maleńkim notesie. I robimy sobie zdjęcia.

„...kochani, kochani, więc po cóż mnie wołacie...”

„By móc zrozumieć swoją rozpacz  
i zamknąć prawdę w konchę milczenia...”  
(Anna Czekanowicz – *Dulle Griet*)

## II.

To miasto jest tłustą kobietą leniwie rozwaloną na szezlongu. Karmi się czekoladkami z pudła. Bezmyślność jest jej istnieniem. Taka jest w tym mieście niedziela.

W poniedziałek tłusta baba pochyła się nad garkuchnią. Miesza coś, zrzędzi, czasem wybuchu wściekłym wrzaskiem. Gdy wchodzę na ulice tego miasta, natychmiast napotykam nieprzychylnie spojrzenie Baby. Intruz. Nierób. Do pracy, a nie włóczyć się po deptaku! Chowam głowę w ramiona. Chowam swoje ciało w czterech ścianach mojego pokoju, gdzie jest

Mozart, Heidegger oraz spaghetti przez mamę przyrządzone. Tu Baba mnie nie dojrzy. Gdzie tam!

Dzwoni telefon. Miasto głosem Baby informuje mnie, że jestem świnia i degenerat. Widziano mnie tam i tam. Szedłem z tym i tym. Robiłem to i tamto. Uważaj na siebie? I trzask. I koniec.

Kto? Co? Jak i dlaczego?

Wychodzę na balkon. Spoglądam na czupryny drzew. Słucham dalekiego klaksonu. Czekam na księżyc.

On tak samo jak ja wymyka się nocą.

Wtedy gdy Baba śpi.

W niedzielę Baba jest wystrojona i dumna. Prowadzi córeczkę w stroju Krakowianki, synka w ubranku od pierwszej komunii oraz męża, który posyła mi tęskne spojrzenie. Spuszczam wzrok: żadnych prowokacji, proszę!

Dopiero miałbym od Baby!

Lecz mąż dopada mnie któregoś dnia w restauracji. Jestem lekko pijany i pozwalam postawić sobie wódkę. Uważnie jednak popatruję na męża, który ma worki pod oczami i mówi: pan jeszcze taki młody, pan nic nie rozumie... Życie jest straszne...

No i co, że straszne. No i co, że życie. I co, że siedzimy tak i wódka nam do kieliszków kapie. Wszystko zależy od podniebienia, proszę pana. Mnie akurat życie smakuje, nawet gdy trochę przypalone. Nie mam po prostu innego życia w zamian. Pan chciałby mieć jacht i kurtyzanę. Pańskie marzenia są więc równie infantylne jak pańskie życie. Żona miała urodzić panu dziecko. I urodziła. Wszystko miało się zmienić od tego momentu. Ale tak się nie stało: wiatr nadal goni suche liście pustą ulicą, łabędzie na stawie chętnie podpływają do kawałków chleba. A więc kupuje pan samochód. Potem domek nad jeziorem. I nadal wszystko jest po staremu, bo niespostrzeżenie, nie wiedzieć jak i którejdy, ulotniła się pana młodość, a może jej nigdy nie było.

I oto, stawiając ostatnią cegielkę na płotku otaczającym pańską działkę życia, umiera pan nagle na zawał serca.

Tak. Życie jest koszmarem.

I pan jest Babą. Taką samą jak tamta, która posyła mi nienawistne spojrzenie za moją młodość i za to coś, co jeszcze się we mnie tli. Do jej garkuchni pan należy, do jej świata, w którym warzą się nie dosolone żałości i ambicje bez pieprzu.

Wtedy zaczyna się wierzyć w Boga.

Lub w jacht i kurtyzanę.

Nie ma dla mnie miejsca przy panu. Zajął je ktoś inny, przebywający akurat na urlopie od Mozarta i Haideggera, ktoś, kto postawi panu jeszcze jedną wódkę, a potem oddali się pustą ulicą w kierunku swojej Ojczyzny, do której nie ma pan wstępu, bo broni jej nieprzebyta ściana muzyki i księżyc, ściana dłoni, która wychyla się ku mnie z pościeli i gładzi lekko moje ciało, ściana ramion, w które zanurzam się z ulgą, jak w swoją najgłębszą, najbardziej ważną samotność.

Życie jest straszne dla tych, którzy wierzą w diabły.

Ja wierzę w człowieka.

Dlatego życie nie jest dla mnie straszne.

(P.S. Jest jeszcze straszniejsze...?)

### III.

Good bye, Londyn! Arrivederci, Rzymie! Au revoir, Paryżu! Żegnajcie, przyjaciele moi z „Kinga Williama”, z Campo del Fiori, z Gare du Nord! Żegnaj, plecaku z nieprzemakalnego płótna, otwieraczu do puszek z oksydowanej stali, żegnaj, serce moje, na oścież zawsze otwarte, którego drzwi muszę dziś zamykać na klucz przed nieproszonymi gośćmi!

Żegnaj, Autostrado del Sole, którą wędrował mój Czas ze zwitkiem pieniędzy w kieszeni, z chlebakiem przerzuconym przez ramię, z otwartą puszką coli, która cienką stróżką spływała po opalanej szyi.

Słucham Vivaldiego. Muzyka sączy się we mnie przez otwartą klatkę piersiową, przez rozprute serce. Draży przez chwilę jakąś bolesną jamkę w próżni, aż wreszcie przesywa mnie na wylot.

Żegnaj, gotycka Brugio, fotografowana w upalne, czerwcowe popołudnie! Żegnaj, katedro w Boulogne, która przez poranne mgły, przez zapach bułeczek z otwartych szeroko sklepików, przez jazgot nadjeżdżających samochodów z urlopowiczami objawiłaś mi się kiedyś na szczycie wzgórza jak Madonna, trzymająca w dłoniach ogromne, szczęśliwe, drgające w czystym powietrzu LATO.

To lato, które wiernie mi towarzyszyło na autostradach Niemiec, Belgii i Anglii, w wąskich uliczkach Padwy i Asyżu, na rozpalonych placach Amsterdamu, Hamburga i Monachium, u chłodnych fontann Wersalu i w opustoszałej nocnej knajpce na Praterze. To pełne słońca lato, które do białości wypieściło posągi na Kapitolu, które zmęczone ześlizgiwało się z czerwonej florenckiej kopuły, by wreszcie opaść bezwładnie na żelazne krzeselko w kącie hałaśliwej trattorii, gdzie podaje się czerwone wino oraz pizzę z grzybami.

To lato, które piegami wyłocilo różowe twarze Norweżek, Niemek i Angielek, czekających z plecakami u skrajów tysięcy szos, które podstępnie wślizgiwało się pod rozpięte koszule rzymskich wyrostków, leniwie wylegujących się na schodach którejś z fontann i czekających okazji, by ukraść turystce torebkę, które pociemniło twarze angielskich dandysów, pędzących odkrytymi samochodami po swoje Wielkie Nadzieje... Żegnaj, lato, które dziś odwracasz swoją twarz ode mnie, albo może to ja sam zbyt głęboko się ukryłem, żebyś mnie mogło odnaleźć, może i ty nie umiesz przedrzeć się przez mur Vivaldiego i książek, wśród których umieram, przesyty na wskroś milczeniem tej muzyki, która tak samo jak ja – ginie wtłoczona w adapter, wkręcona w tryby maszyny złudzeń, pozbawiona swobody, życia, choćby wreszcie tego okna, z którego mogłaby trysnąć na ludną ulicę, choćby tej altany, na której próchniejący dach opadają wrześniowe liście Ogrodów Luksemburskich, czy wreszcie tego tranzystorowego radia, które dynda niedbale na opalonym ramieniu jednego z tych paryskich chłopców, o których pisał Baldwin.

Umieram. Ratujcie mnie ci, którzy wbrew poetom wołacie, że nie można żyć bez powietrza! Nakryjcie mi usta swoimi ustami, niech ratuje mnie wasz oddech, wasze dotknięcie, gdy rytmicznie uciskacie moją klatkę piersiową, pieszczota magicznych igieł, którymi wedrze się we mnie wasze życiodajne nasienie...

„*Muzyka draży niebiosą.*”  
(CH. BAUDELAIRE)

## Rozdział trzynasty

### I.

Ogłoszenia krótkie:

„Jedyna polska pralnia luksusowa w Londynie chętnie widzi aplikantki do pracy i udziela informacji o studiach do kariery pralnianej. Specjalność – przodki męskie.”

„Samotna emerytko! Napisz do takiegoż lat 65, a skleimy gniazdko!”

„Prawdziwej miłości poszukuje przystojna kaliszanka, czasowo w Londynie. O skontaktowanie się proszeni wyłącznie obywatele brytyjscy.”

(Wszystko autentyki z polonijnej prasy londyńskiej. Zainteresowanym prawdziwą miłością, gniazdkiem lub męskimi przodkami natychmiast wysyłam adresy!)

Zaś w kościele św. Jana w Szczecinie wystawiono kiedyś modlitwy dziękczynne, adresowane do: M. Boskiej,  
J.Chrystusa,  
P. Boga.

Też autentyk.

### II.

#### **Z cyklu Portrety Moich Znajomych: Rolicki i Forma**

Wszystko zależy od tego, kogo Forma dotyczy. Jedni, jeżeli zdjąć z nich Formę, natychmiast rozlatują się jak zepsuty owoc. Ci nas nie interesują, bo jest w nich bałagan i bezholowie. Inni natomiast dopiero wtedy odsłaniają prawdziwe skarby swej natury, ukryte dotąd pod skorupą sztywnych nakazów i manier. I tych warto szukać. Tym warto wskazywać drogę. Do nich warto przemawiać, nawet najbardziej tajemniczym językiem, bo zrozumieją ciebie tą ukrytą, czekającą na wyzwoliciela częścią swej osobowości. Tą, która woła ciebie ich oczami, ich tajemniczymi sygnałami znad szklanki herbaty, ich zamyśleniem na koncercie, tą, która łączywie wchłonie każde twoje słowo niby wskazówkę ku światom, których istnienie podejrzewali, lecz nie dość mieli odwagi, by sami ku nim podążyć...

Taką osobą na pewno nie jest Rolicki. W tym wypadku nos mnie zawiódł. Dla niego potrzeba specjalnej metody: wyjęty z Formy, staje się histeryczny, złośliwy, ma pretensję, jakby zabrano mu coś, dzięki czemu dotychczas istnieje. Nie rozlatuje się wprawdzie, ale gubi trop. Jak dziecko pozbawione wyraźnego systemu nagród i kar.

Z drugiej jednak strony, gdy pozostawić go samopas w ciemnym labiryncie Form i Zachowań, gaśnie, milknie, płacze się jak gracz, któremu nie wytłumaczono zasad gry (vide – herbatka u Kuzynki Domów Panujących, gdy zdenerwowany, pod presją jej spojrzenia, tu coś potrafi, tam rozleje, głupawo odpowie na kulturalne pytanie, dostanie czkawki akurat wtedy, gdy zapada cisza. I błaga spojrzeniem, żeby wreszcie iść. Przez całą drogę powrotną klnie rozżalony na siebie, że dał się zrobić w salon, i na mnie, że sobie na nim eksperymentuję).

A zatem obie sytuacje skrajne: całkowitej wolności lub całkowitej Formy, są dla niego nie do przyjęcia. Najlepiej czuje się pośrodku, jak ci wszyscy nie dość jeszcze ukształtowani, aby bez szkody dla ducha ubierać ich w uniformy. Są to najczęściej osoby typu Wiecznego Dziecka, czyli enfant terrible, potrzebujące stałej lub dochodzącej piastunki, w postaci przyjaciela, żony lub księdza. Reakcja otoczenia bywa dwojaka – albo się je uwielbia (jeżeli, tak jak Rolicki, są diabelnie przystojne i mają smutek w oczach), albo ich się nie znosi (jak na przykład poety E., który jest chudy, ma tłuste włosy i zalatuje czosnkiem).

Cóż, nie każdy w końcu może być Gombrowiczem, który w skrajnościach czuł się jak ryba w wodzie. Nie były one dla niego zagrożeniem, lecz tylko świadomą metodą poszerzania własnego istnienia przez szczudła, trwałą ondulację i ozór na kilometr.

Gombrowicz potrzebował Formy  
ale po to tylko  
by tym skuteczniej Ją wyszydzić.

### III.

„...tajemnica wyboru nie mniejsza jest od tajemnicy inwencji...”  
(Paul Valéry)

No proszę! Oto jeszcze jedno motto do *Stanu płynnego!*

„Istnieją nieszczęśliwe czasy, gdy samotność i milczenie stają się jedynymi środkami odzyskania wolności” – też Valéry, ale nie Paul. Chodzi o tego drugiego, który był bibliotekarzem Karola Dziesiątego.

Nieszczęśliwa wolność, która, aby zwyciężyć, musi skarykaturować samą siebie! Nieszczęśliwe milczenie, które jest dumą słabych! Nieszczęśliwa samotność, która jest ucieczką bezsilnych! Jakże żałosna jest wolność tymi sposobami uzyskana!

Według Mrożka wolność jest prostym przechodzeniem jednych uzależnień w drugie. Obaliwszy kanony tradycji, rodzina Artura wpada w nie gorszą pułapkę wolności całkowitej.

Podobnie Buñuel i *Widmo wolności* – wolność jest stanem absurdalnym, dopóki bowiem istnieją JAKIEKOLWIEK ustalenia, choćby najbardziej podstawowe (jak te, że człowiek ma tylko dwie ręce oraz cztery miliony erytrocytów we krwi), dopóty walka o wyzwolenie będzie tylko przechodzeniem z jednego systemu opresji w drugi. Chyba że szaleństwo – jest to być może jakieś wyjście, coś jednak, jeżeli tak nieatrakcyjne... I czy wobec powszechnej w XX wieku pogardy dla obłądu jest sens traktować go jako W OGÓLE jakieś WYJŚCIE?

Ci, których wolność przede wszystkim dotyczy, artyści, jeżeli prawdę jej absurdalności uzmysłowili sobie dość głęboko, nie będą już eksperymentowali w poszukiwaniu wyjścia „poza” rzecz i „poza” słowo.

Może ujmijmy to ściślej – w samym poszukiwaniu ten sens istnieje, bo to jest sens życia w ogóle i sens wolności, aby bardziej poszukiwaniem samej siebie była niż stanem jako takim.

Absurdem jest natomiast każdy zamknięty system regulacji, który pretenduje do miana wolności – obojętne: politycznej, artystycznej czy jakiegokolwiek innej, albowiem nie istnieje pojęcie SYSTEMU wolności, podobnie jak nie ma systemu duszy czy systemu Boga.

Bo wolność jest to DAŻENIE ku niej.

Sztuka nie rodzi się z wolności.

Sztuka rodzi się z PRAGNIENIA wolności.

Sztuka zatem nobilituje niewolę.

## IV.

### **Biologiczne znaczenie ziewania...**

...jest mało znane, a jego mechanizm dość złożony. Głęboki wdech wykonuje się przewlekle, przez szeroko otwarte usta, zamykając zwykle oczy i napinając mięśnie prostujące kończyny górne i kręgosłup. Po tym następuje dość szybki wydech przez szparę głosową, co jest przyczyną swoistego odgłosu, a równocześnie doznaje się pewnego odprężenia lub przyjemnie odczuwanej poprawy samopoczucia.

### **Śmiech**

Po głębokim wdechu następuje szereg krótkich wydechów przy napiętych strunach głosowych i otwartych ustach. Powstaje wówczas charakterystyczny odgłos i wesoły wyraz twarzy, spowodowany napięciem mięśni mimicznych.

### **O pewnej pani poetce**

Charakteryzuje ją ciasnota upodobań, określająca z góry jej stosunek do wszystkiego, co nie jest w zgodzie z kanonami przyjętymi przez określone koła artystyczne, w jakich obraca się w Warszawie.

Lecz w gruncie rzeczy to zacności kobiecina, tylko trochę dziwna, jak jej artystyczna szajba odbije...

## V.

### **Tęsknota za rysztokiem**

Tęsknota za rysztokiem (za tandetą, za kiczem) jest wyrazem zdegenerowania dążeń pozytywnych, które nie znalazły zaspokojenia. Symbolem rysztoka jest we mnie Londyn. Symbolem dążeń pozytywnych – M.

I tak żyją sobie we mnie, rączka w rączkę, Londyn i M. Dwie moje pasje i dwie klęski.

W Londynie bowiem, wbrew mym najlepszym chęciom, nie udało mi się upaść. Dążenie pozytywne powstrzymywało mnie, ilekroć już-już wkraczałem na równię pochyłą. Nienawi-



dziłem go czasem za to, że tylekroć odebrało mi szansę pełni doznań negatywnych... Mój Boże! Doznania negatywne! Co za język! Popatrzcie tylko, jak ja się płacze, gdy trzeba powiedzieć, że miałem po prostu cholerną ochotę się skurwić, ale przekłeta lojalność wobec M., a może wobec siebie, wobec przeszłości, wobec tego wszystkiego, czego nie chciałem ostatecznie w sobie wykończyć, a więc to wszystko trzymało mnie na uwięzi siłą jakiegoś absurdalnego lęku przed upadkiem, z którego nie umiałbym się już podnieść.

Ot, bloody intellectual – chce upaść, lecz zanim to zrobi, już myśli, jak by tu z upadku się podnieść. Ha! intelektualści! Łatwo jest się wypinać, ale niech tylko fale życia uniosą się dość wysoko, by zmoczyć wasze stopy, niech tylko pierwszy piorun obok was trzaśnie, już w panice śmiertelnej pakujecie liche manatki, żeby uciekać wyżej...

I tak upadek w postaci czystej zaczyna być fikcją, bo podszywa go – jakże dla naszych czasów charakterystyczny! – instykt samozachowawczy. Życie staje się aprioryczne, masturbacyjne, rozmija się ze swym spełnieniem.

Czy w tej sytuacji w ogóle warto myśleć o upadaniu?

Mój brat mawia czasem w rozleniwieniu: i po co mam się podnosić, skoro za chwilę i tak będę musiał usiąść.

I po co otwierać szafę, skoro trzeba ją będzie zamknąć.

Po co wychodzić do miasta, jeżeli potem trzeba będzie wracać.

Po co w ogóle żyć, jeżeli trzeba będzie umrzeć?

Dochodzimy zatem do nihilizmu. Do uwiadu twórczego. Do życiowej kastracji. Do absurdalności istnienia. Do pustki faktów, które apriorycznie przedłużane w swoją własną konsekwencję, przestają istnieć w postaci czystej, zakłamują siebie u podstaw, odbierając chęć działania, budząc lęk przed następstwami...

O Europo wstrętna! Przezorna jak kupiec, ostrożna jak staruszek na jezdni, o kulturo, która lęka się dynamitu ukrytego we własnych trzewiach i samą siebie jak śmierdzący bobek omijasz, nos przed zapachem życia zatykasz wołając: fi done! zamknijcie okna! drzwi! włączcie wentylator! dezynfektor! sterylizator! O onanistko przebrzydła, która swą dziką pasję zamieniasz na sekretne przyjemności przy zaciągniętych zasłonach, która swe najcenniejsze soki spuszczasz do miski z nieczystościami i wylewasz za okno, która krzyczysz już tylko wtedy, gdy do twego bezwładnego cielska przyłożyć elektryczne czułki jakiejś schizoidalnej seksmaszyny; która zapładniasz się z próbówki i rodzisz pod plastikowym kloszem, o sztuko, z której wypatroszono duszę, choć reszta świata wije się w bólach porodowych, pragnąc darować mu NOWOŚĆ, lecz ty wtedy krzywisz się z niesmakiem na złe maniery amerykańskich farmerów, co kładą łokcie na stół, i na prostaków ze Wschodu, co się nie znają na rocznikach win, wyrzucasz za drzwi wędrowca, który niesie ci wieści od Boga, lecz cuchną mu skarpetki, więc won! O, kontynencie z kruchej porcelany, z czeskiego szkła, z brabanckiej koronki, pod którą skrywasz swe wyschnięte piersi, swą kupiecką przezorność.

Nie, na pewno nic nie mam przeciwko ostrożności, o ile jest ona mądrym przewidywaniem.

Lecz jestem przeciwko lęklivemu obniżaniu swego metabolizmu duchowego, tchórzliwemu unieszkodliwianiu własnego temperamentu... Bez tego usycha sztuka, a życie staje się lęklivą arytmetyką strat i korzyści.

Jaka jest różnica między ostrożnością a rozsądkiem?

Taka, że ostrożność jest cwana.

A temperament? Co to takiego?

Temperament jest nam dany po to, aby omijał nasz lęk.

Cóż, niestety, z temperamentem rodzimy się takim lub innym. I nikt nic nie poradzi na to, że jedni przez całe życie wahają się na krawędzi, by nigdy nie uczynić tego jednego zbawczego kroku, inni zaś na oślep rzucają się przed siebie w wir, w zamęt, niepomini ostrzeżeń, jakich nie szczędzi im doświadczenie.

I wygrywają dla siebie  
(nieskończoność?...)

I nawet intelekt, on, który karmi się doświadczeniami, musi schylić czoło przed tą potężną, nieobliczalną siłą, która pcha świat do przodu, dwie tylko możliwości spełnienia znając – całkowitą klęskę lub całkowity tryumf. Tak. Brzmi to dość romantycznie.

Ale czasem warto przypomnieć, że racjonalizm to najczęściej broń tych, którzy nie mają temperamentu. Odwagi. Szczypty szaleństwa.

Tych, którzy, by wygrać wielkość bankowego konta, muszą się zgodzić na miałość duszy.

I tak wygląda Podstawowy Wybór.

## Muzyka

Dlaczego tak bardzo lubię muzykę?

Bo tylko ona nie próbuje mnie o niczym przekonać.

Tylko ona nie niesie ze sobą żadnych informacji.

Tylko ona taktownie szanuje moją niezależność. Nie obchodzą jej moje poglądy, nie wtrąca się w moje dziwactwa.

Tylko ona nie sili się, aby być inna, niż jest, bo JEST tak samo jak kwiat, niebo, poezja. Lekka i naturalna, dobrze wychowana i tajemnicza.

Ma tę wyższość nad resztą sztuki, że nie musi rodzić się z KSZTAŁTU. Jediną MATERIAŁ, z jakiej korzysta, jest, poza instrumentem, materia duchowa: specyficzna, najbardziej wyrafinowana wrażliwość.

SŁOWO nie jest natomiast bytem in statu nascendi. Ono tym bytem musi dopiero się STAWAĆ – pracowicie, siernieżnie dowodzić powinno, że więcej jest warte niż kiepski materiał, z jakiego je wykonano. I w tym historycznym pragnieniu s t w o r z e n i a siebie w duszy odbiorcy jakże często jest nieznośne, parweniuszowsko nachalne, obłudne albo dęte. Aby tworzyć literaturę, wystarczy de facto znać pewien zestaw słów. Dusza, talent są tutaj elementami dodatkowymi, których obecność wykrywają tylko bardzo czułe detektory uważnego czytelnika. W wypadku muzyki zaś, dusza jest warunkiem tworzenia w ogóle.

Nie jestem znawcą muzyki. Nie odróżnię tak zwanej dobrej od tak zwanej złej, jeśli w tym celu każe mi się użyć konkretnych kategorii estetycznych. Ale czyż właśnie fakt ten nie jest cudownym zwycięstwem muzycznej abstrakcyjności nad obrzydliwą jednoznacznością słowa, które – źle użyte – natychmiast wyje ze szpalty, skrzeczy w opisie. Chyba że poezja... ona też przez zagadkowe nobilitowanie słów zwycięża wszelkie kategorie, wymyka się osądom.

Dla wielu osób zdumiewające bywają moje gusty muzyczne. Na przemian wzniosłość i krotchwiła. Jak w życiu. Sonata Beethovena obok piosenek Diany Ross. Koncert Mozarta

ręka w rękę ze szlagierami Elli Fitzgerald. Nie umiem być wąski, jednostronny, czysty w swej jakości jak kryształ. Bo zawsze przecież w tej czystości, w tej u podstaw zadeklarowanej jednoznaczności kryje się jakiś fałsz, jakaś perfidnie ukryta za pieczołowitą maską mistyfikacja, którą obnażyć potrafi tylko życie, jego nieposkromiona zmienność, mieszanie się form i reguł, opadanie jednych masek i powstawanie następnych.

Zbożne działanie człowieka próbującego uregulować tę wezbraną rzekę jest elementem niezbędnym, zbawiennym wręcz dla tych, którzy łatwo gubią się w chaosie, którym bałagan wydziera z rąk zbawczą nitkę pojmowania. Lecz jakże często działanie to, poczciwe przecie i zdawałoby się, nikomu nie wadzące (bo ludzie miłujący porządek są większością), przekształca się nagle w agresję. Nie wiadomo skąd bierze się nienawiść do tych, którzy w porządku się nie mieszczą: do grupki poetów, mitomanów i marzycieli, którzy chcą żyć po swojemu, we własnym kolorowym bałaganie. I oto ich nieszkodliwa mania okazuje się być ostrzem wymierzonym przeciwko ładowi. Nowość, którą ze sobą niosą, to przecież bunt przeciwko ustalonym z takim trudem systemom. Ich styl bycia, styl myślenia, wszystko, czemu się oddają i co wykracza poza funkcjonujące hierarchie wartości, to prowokacja, anarchia, Bóg wie co tam jeszcze.

Armia sprzątaczek kultury i stróżów porządku artystycznego rusza hurmem na paru niešťczęśników, którzy są winni wszystkiemu. Zaczyna się od fanfar, a kończy często na strzelaninie. Odwet w imieniu ludzkości, choć częściej – w imieniu własnym, za swoje przegrane życie, za nie spełnione ambicje.

Cóż, że docenią potomni. I w tym wypadku sposób rozumowania będzie podobny: zaakceptują cię tylko dlatego, że systemy, które sobie w tym czasie pobudowali, będą już dość pojemne, aby przyjąć i ciebie. A gdybyś i tu próbował się buntować, skwapliwie przyspilią cię mądrymi referatami, zakują w marmur lub w złoconą okładkę, utopia w bibliotece.

Muzyka. Rytm. A więc rozbijanie masy dźwięków na kawałki dość małe, aby dały się objąć zmysłem i świadomością. Rytm. Najbardziej urzekające zjawisko artystyczne wszech czasów, bo najbardziej ludzkie, z najgłębiej człowiekowi właściwej potrzeby ładu wpływające. I sięgające swoim czułym ostrzem w samo metafizyczne jądro istnienia: w rytmikę pokoleń, w rytmikę historii, w konstelacje gwiazdne, czyli w to najbardziej tajemnicze Koło Wszechświata, powracające wciąż do punktu wyjściowego człowieczeństwa.

Synkopa.

Widziałem kiedyś grupkę ludzi opartych o balustradę mostu i wsłuchujących się w rytmiczne uderzenia rzeczno-kafara, pracującego nie opodal. Wyglądali na znarkotyzowanych: poddani jednostajności powrotów czegoś, co przychodzi za każdym razem takie samo, nie zmienione w jakości, a więc drogie i serdeczne, bo nie sprawiające uciążliwych niespodzianek. I tak ulegli rytmowi, rozszczepiali się z wolna na dwie osobowości: na aktywną, czyli tę wyczekującą czujnie każdego następnego uderzenia, i gdy nadeszło, sprawdzając, czy wszystko jest w nim jak należy, oraz drugą, pasywną, która wyzwalając się z wolna w błogim spokoju, w bezpieczeństwie uformowanego i zrytmizowanego świata, bujała wciąż dalej i dalej od nich, w przestworzach, a może tuż-tuż blisko we wspomnieniach lub gdzieś głęboko w sercu naruszała jakiś korzeń, jakąś miłość, jakąś tęsknotę.

Odchodzili wzruszeni, wdzięczni kawałkowi żelastwa za ten cudowny moment.

A więc – rytm wyzwala?

Ład – rozwiązuje duszę?

Regulując świat zewnętrzny i oczyszczając go z elementów ryzyka sprawia, że z ulgą i radością zanurzamy się w naszą twórczą podświadomość? W sztuce? W miłość?

I czy wobec tego sprzątaczkę kultury oraz stróżę porządku artystycznego nie zmieniają się z wrogów sztuki w jej sprzymierzeńców?

Ha. W ten oto sposób powracamy do starego problemu: ład czy chaos. Dionizos czy Apollo. Venus z Milo czy ciotka Augusta.

Nie wypowiadam się.

Podobnie jak na temat, czy wolałbym mieć jedno oko czy cztery ręce.

## Stare płyty

Doprawdy zdumiewający bywam dla znajomych! Gdy przychodzą, włączam im płytę. Ale jaka to płyta!

Josephine Baker w *Czarnej rewii* – Casino de Paris, rok tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty. Albo Zarah Leander, demoniczna, w kapeluszu i z ustami, przebój z filmu *La Habanera*, Lucienne Boyer, wiotka, sentymentalna w *Dans la fumée*, Aleksander Wertyński w *Liliowym Negrze* i Hanka Ordonówna śpiewa *Kogo nasza miłość obchodzi*, a Chór Juranda dogaduje kupletami. Siedzą zdumieni, pomieszani. Podejrzliwie popatrują na mnie, jakbym miał za chwilę rzucić się na nich z nożem kuchennym lub sznurkiem konopnym do duszenia.

Puszczam *The Continental* w zabawnym wykonaniu orkiestry Harry Roya, Londyn 1935. I zaraz uśmiechają się z ulgą, bo to przebój modny i dziś dzięki jakiejś piosenkarce amerykańskiej, która odgrzebała tę ramotę. Oto znaleźli klucz do mojej dziwaczności.

A klucz ten nazywa się: moda RETRO...

(o morderco! o upiorze tajemniczy, co w ludziach drzemiesz i sprawiasz, że oto dzięki modzie staję się pierwszorzędnym znawcą, już nie idiotą, który nie wie po co znęca się nad paroma starymi płytami, lecz nieomalże odkrywca źródeł czy czymś takim...)

Przychodzą więc znowu, uszczęśliwieni łatwością, z jaką przyszło im uporać się ze mną i z gramofonem.

Siedzą, palą, zasłuchani, uprzejmi...).

Wanda Landowska w *Das wohltemperierte Klavier* Bacha. Tornado klawesynu. Tajfun rozpięty nad klawiaturą (ściślej, nad dwiema klawiaturami, bo taki jest właśnie klawesyn). Szatan uderzenia, Mefistofeles tonu i barwy, przy którym rumienić powinni się ze wstydu wszyscy Horowicze i Brajłowscy ze swymi dychawicznymi fortepianami. Szalona baba, która dosiada klawesynu jak arabskiego rumaka i niby walkiria cwałuje Mleczną Drogą, od najgłębszych piekielnych czeluści aż po metafizyczną łagodność śpiewających gwiazd. Muzyka, której ze zgrozą słuchają Lucyfer wspólnie z Panem Bogiem i kiwając z podziwu głowami mruczą do siebie: Skąd ona wie, że TAK WŁAŚNIE powinno się to robić...?

I patrzą obaj z wyrzutem na starego Jana Sebastiana, który miesza się i płacze: – Ojej, no przecież gdybym wiedział, że ona zrobi z tego TAKIE COŚ, tobym tego nigdy nie napisał...

HA! Szatańska babo! Geniuszu! Lucyferze klawicymbału! Uwielbiam ciebie! Korzę się przed tobą! Drę w strzepy wszystko, co dotąd napisałem, i u stóp Twych składam w hołdowniczym darze! O, Bóstwo unieśmiertelnione przez Wsiesojuznuju Firmu Gramplastinok „Mielodija” (dwie płyty, eleganckie, 33 obroty na minutę, dopiero co dostarczone z Leningradu).

Na muzyce klasycznej się nie znam. Ale CZUJĘ dźwięk. Umiem czytać z niego duszę czy coś w tym rodzaju. Chodzi o to, że dźwięk bywa dla mnie równie czytelną jednostką znaczeniową jak sylaba. I ułożony w odpowiednią konfigurację, daje się odczytać jak zdanie po zda-

niu. Jest to jednak zdanie bez treści. Jest to magiczne zaklęcie, służące do wywoływania duchów. Jeżeli zaklęcie nie poskutkuje i żaden duch na wezwanie nie przybędzie, utwór traci dla mnie całą swoją wartość.

Nie odróżnię Elgara od Verdiego, Ives'a od Brittena, Sibeliusa od Griega, ale wiem, że przy *Requiem* Mozarta zawsze będzie mi się chciało płakać, a przy trzecim koncercie fortepianowym Beethovena zawsze popadnę w stan zbliżony do absolutu czystości i spokoju (szczególnie przy kodzie zamykającej *Allegro con brio*), po którym poczuję się wypłuty i niepotrzebny i na pewno przez cały wieczór nie napiszę ani słowa.

Moje gusty muzyczne są dość tradycyjne. Ukształtowane zostały jeszcze w dzieciństwie, przy pomocy romantycznych oper i symfonii, na które zabierali mnie czasem rodzice, gdzie mogłem pofolgować swej dziecinnej egzaltacji oraz zakochać się w primadonnie. Obecność w domu pokazanej kolekcji archaicznych płyt z nagrajami pieśni i arii Donizettiego, Verdiego, Schuberta, Czajkowskiego oraz całej reszty Szacownego Towarzystwa również nie pozostała bez wpływu na mój muzyczny rozwój. Zasłuchany w słodkie trele Carusa i Emmy Destinn, w rozpaczliwe wrzaski Toti dal Monte (mała, gruba i z loczkami!), w upojne pienia Francesca Tamagno i Friedy Hempel, w oszalałe crescendo Bruno Waltera w *Tannhäuserze* i dzikie kody Paderewskiego w Chopinie, z niejakim zdumieniem i pełnym niedowierzaniem pomieszaniem dowiadywałem się o istnieniu Debussy'ego, Prokofiewa, *Porgy and Bess* i Brittena. Do dziś nie mogę wyzbyć się podejrzliwości dla eksperymentu w muzyce, choć przecież w życiu, a także w literaturze i malarstwie, właśnie eksperymentem, właśnie dysharmoniką i obrazoburstwem karmi się moja anarchia, moje pragnienie wolności.

Ale wobec muzyki – niestety klops. Jeżeli w półkulach mózgowych istnieją terytoria przeznaczone dla odbioru muzyki, to u mnie są one zawałone starymi płytami marki „Victor” oraz „Pathé”, na których perlisty tenor Tita Schipy od pięćdziesięciu lat pieści swoje pożegnanie Mimi, a Elisabeth Schwarzkopf prowadzi nigdy nie rozstrzygnięty pojedynek z Erną Sack o złoty laur C trójkreślnego. I tak to jest.

## Vivaldi

### I.

*Koncert D-dur* na gitarę i orkiestrę smyczkową. Napisany właściwie na lutnię, ale dziś nikt już nie wie, co to jest lutnia. Księżycowy instrument. Natomiast gitara jest jak róża, jak azalia, jak upalna noc i wiersz Gracii Lorki szeptany drżącym głosem:

Cyganka się kołysała  
u studni, nad wodą ciemną  
Ciało i włosy – zielone  
a oczy z zimnego srebra...

Largo Vivaldiego to czysty, srebrny smutek, rozlewany z księżycowego dzbanka do serc maleńkich jak filiżanki. Jest to noc jak w Sewilli, jak w Perugii, jak gdzieś głęboko, najgłębiej w sobie, w swojej przeszłości albo w przeszłości cudzej, która na jedną chwilę staje się najbardziej twoja własna: czyjs wiersz, czyjaś dłoń na ramieniu, może to twoja dziewczyna, a może matka, której ojciec szepce swe pierwsze wyznania, może to twoja miłość, której jeszcze nie znasz, bo zbyt odległy jest jej początek, abyś, ot tak, w jeden wieczór mógł ku niemu przyfrunąć, a może to miłość, której już nie zaznasz, bo nie mogąc do swego źródła dotrzeć,

zatrzymałeś się w pół drogi i tak już tkwić będziesz, pół z okna wychylony, pół oczekujący, pół tylko w sobie, bez miłości, która jakże lęka się gorzkich przebudzeń.

Vivaldi.

Jego smyczki to nieśmiała tęsknota młodego zakonnika, który wyglądając ze swej celi na klasztorny ogród, dojrzał nagle w trzcinowym fotelu eleganckiego panicza z cygaretką w palcach. To zalężnione skradanie się za krzewami, zachłanne podglądanie włosów, uśmiechu, dłoni, która obraca kartki książki. To płacz nad nie-wiadomo-czym. Nad sobą, że jest się tylko tym, czym się jest, nad czasem, że nierówną prowadzi z nami grę; to wreszcie krzyk, ucieczka przed siebie na oślep, z rozwianym habitem, w samotność, w pustkę, pozostawiając za sobą czyjeś zdumione spojrzenie i spóźniony okrzyk: zaczekaj!

Słucham Vivaldiego w maju, na zagraconym balkonie. Wystawiłem lampę z żółtym abażurem, wokół którego gęstnieje noc. Ela rozlewa wódkę do szklanek, zaprawiamy ją sokiem grejpfrutowym. Nagle z podwórza słychać cichy gwizd. Milkniemy. Gwizd powtarza się.

Tak. To samotny zakonnik zagwizdał. Ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię, z której wystaje szyjka butelki. Mnich śmieje się, woła:

– No nie wytrzymałem, tak ładnie wyglądacie, no nie wytrzymałem!

Każdy może być zakonnikiem. I każdy nim po trochu jest. Zawsze istnieje jakieś okno wychodzące na jakiś ogród. I w tym ogrodzie zawsze jest ktoś nieznanomy, z cygaretką w palcach, ktoś, kto jest tą naszą szansą na tajemniczość, na niespodziankę. Ktoś, za kim tęsknimy, jak za swą własną utraconą lub jeszcze nie rozbudzoną osobą.

Nie każdy jednak ma dość odwagi, aby w porę zagwizdać.

## II.

Rozkoszuję się ciszą i samotnością. Dom pusty. Mozart rozlega się w szeroko pootwieranych pokojach. Lapidarna obecność przedmiotów. Rzeźbione winne grono na oparciu krzesła. Lwie głowy wyszczerzają się z poręczy fotela. Zadumany maskaron na wybrzuszeniu stołowej nogi. Cisza przetykana delikatnym tremolo. Belleza!

Mozart to sama subtelność w koronkach i peruczce. Trochę stał mi się bliższy, odkąd przeczytałem, że był namiętym hazardzistą. O Vivaldim natomiast nic wiedzieć nie chcę. Wolę czytać go z muzyki niż z plotek. Plotka, tak bardzo potrzebna wielu artystom (iluż ich świadomie budowało swoją legendę!), jest w tym wypadku bezużyteczna.

Vivaldi to rozpacz rozpisana na smyczki i fagoty. Miłość krzycząca bezsilnie z czeluści gitary. Samotność napięta jak struna, z której nie sposób wydrzeć nic więcej ponad jeszcze jeden akord, ponad jeszcze jedno świadome swego końca allegro.

Mozart jest fantastycznie gustowny. Urządzony ze smakiem jak buduar wiedeńskiej damy. Powiewny jak tiulowa sukienka na balu u księżny pani. Mozart to ekstrakt Europy z jej najlepszych, dumnych i pewnych siebie lat. To dobra mocna kawa w miśnieńskiej porcelanie. To koronka z Brabantu, dywan z Arras, farfurka od Wedgwooda. Mozart jest wykwinną wizytówką klasycyzmu, znajdującego się na finezjach i dobrym guście.

Zaś Vivaldi...

Słyszy się u niego tę tajemniczą, dwuznaczną zapowiedź jutra – być może tego, które teraz właśnie mamy, a może tego, które dopiero nastąpi. Jutra pełnego wahań, niepokoju i goryczy, jutra, które pierwszą rysą pojawia się na stojącej w salonie wazie, które pierwszą zmarszczką zwiastuje człowiekowi jego nieuchronny koniec. Vivaldi rozsadza ściany salonu. Wpędza

gości w konsternację. Księżnej pani podstawia lustro przed nos i mówi: patrz! oto twoja maska! Oto twoje przemijanie...

Vivaldi jest jak mocna kawa bez cukru. Jak pałac w zapuszczonym ogrodzie. Jak dłoń naga, bez rękawiczki. W Vivaldim nie ma udawania. Jest w nim prawda schodzenia w głąb czasu, jego własnego czasu, tego, który znał najlepiej, a zarazem jest to stopniowe obnażanie jego kolejnych pokładów po to, aby na samym dnie, tam gdzie spotykają się wszystkie epoki, i minione, i te, które dopiero nastąpią, móc wykrzyknąć Bogu tę jedną, najbardziej ostateczną prawdę ludzkiej samotności.

Vivaldi, Corelli... kto jeszcze?

Beethoven... Szymanowski...

Kto jeszcze?

## Billie Holiday

Zmieniam płytę. Noc zęstniała. Z lekka już pijani kulimy się w fotelach.

„I need your love so badly, and I love you all so madly but I don't stand a ghost of a chance with you...”

Billie Holiday mówi, że jest „very sick, very sad”, lecz ma nadzieję, że publiczności spodoba się jej nowa piosenka. Publiczność bije brawo. To też nagrano na płycie. Głos Billie jest taki, jak gdyby płyta była kawałkiem żywego mięsa, rozdieranego ostrzem igły na strzępy. Lecz krzyczeć nie można, bo publiczność zapłaciła za bilet. Można tylko pochylić twarz, by nie dojrzeli tego cholernego, nie dającego się zmyć grymasu bólu i pogardy.

Narkotyk.

Ona śpiewa marihuanę, po której nie można śpiewać. Można tylko bełkotać swój sen o miłości, której się nie zna, choć mówią o niej w książkach i filmach. Kiedyś, dawno temu, mówiła też o niej matka.

Matka śpiewała, że miłość istnieje i że tylko dla niej ludzie poruszają się po ulicach, spotykają przyjaciół i kupują w sklepie drożdżowy placek.

Ale miłość to jest ogromne słowo. Zbyt wielkie, żeby coś znaczyło. Podobno, jak człowiek dotknie ręki drugiego człowieka, to może być z tego miłość. Podobno przychodzi też nocą, kiedy zapala się na niebie pierwsza gwiazda. Podobno niektórzy spotkali ją nad szklanką piwa w maleńkim barze na przedmieściach.

Nikt jednak na pewno nie wie.

Narkotyk.

Dotknięcie dłoni bez dłoni. Pierwsza gwiazda bez gwiazdy. Bóg bez Boga. Miłość, która staje się suchością tak straszliwą, bólem takim nie do wytrzymania, samotnością tak samotną, że człowiek szuka ratunku po drugiej stronie siebie, tam gdzie są już tylko wibrujące zwoje rozpaczy i błakająca się pod sklepieniem czaszki elektryczna pustka.

„I love you Porgy, don't let'em take me...”

Nie pozwól im zabrać mnie ode mnie, nie pozwól skraść mi serca, do którego tak dobrze jest powrócić czasem o poranku, gdy ostatni goście już sobie poszli, a nad miastem wstaje ogromne, opuchnięte z niewyspania słońce.

„Piękno życia nie może być oceniane inaczej, niż przez porównanie z pięknem śmierci.”

(LAUTREAMONT)

## Rozdział czternasty

### I.

*„...ty, piękny chłopcze, który trzymasz  
w ręku klepsydrę czasu, błysk zwierciadła  
płony,  
ty, który rośniesz i nabywasz  
wdzięku  
kosztem kochanków twarzy  
pomarszczonych.”  
(SZEKSPIR – SONET 126)*

Ten epigraf jest ramą bez obrazu. Żarówką bez światła. Ustami bez twarzy. Ten epigraf oznacza, że pochodni zbrakło świętego ognia, że wilk na próżno poszukuje stada, że porzuciona pasterka płacze samotnie pod wierzbą. Ta dedykacja jest klamrą, która zamyka serce, powieką, która nakrywa oko.

Rozumiem Szekspira i zdaje mi się, że Szekspir rozumie mnie. Jeżeli prawdą jest, że dusze zmarłych odwiedzają nas czasami, to jego duch przychodzi do mnie co noc, pochyla się nad tapczanem i mówi:

— Cześć. I co, znowu coś ci nie wyszło?

A ja mu na to:

– No widzisz. Taki już widać jest ten los, że ze wszystkiego, co kochamy, tylko wiersze pozostają żywe. Ludzie odchodzą od nas szybciej niż ich ciała. Opuszcza nas ich miłość i jeśli nawet żyją gdzieś nadal w wielkich miastach, jeżeli nawet myślą o nas i wspominają nas, to nam już niestety brak tej czułości, którą razem ze sobą zabrali, a więc brak tego cudownego, wrażliwego na każde drgnienie pamięci odbiornika, którym zgadujemy czyjaś obok nas obecność, choć ten ktoś jest bardzo daleko, i czyjaś o nas pamięć, choć ani jedno słowo nie pada.

Ciężko jest bez czułości – w sercu hula wiatr, bezwolnie obracają się stroniczki książek, bo już nie znajdujemy na nich kogoś, kto wymyślonym historiom dodawał prawdy swoją obecnością.

I jak tu żyć, Wiluś, no powiedz... ty zrozumiałeś więcej niż inni, czyli mam prawo więcej od ciebie wymagać... Lecz on uśmiecha się bezradnie, rozkłada ręce:

— Przepraszam, stary, muszę już iść, kończy się mój czas. Przepraszam...

I niknie jak tajemniczy kot z Cheshire.

Alicja zostaje sama pod opuszczonym drzewem, tępo gapiąc się na znikający uśmiech...

Z niejakim zakłopotaniem stwierdzam co dzień, że jednak moje ciało porusza się. Przy pomocy aparatury biochemicznej określam nawet gęstość mojej krwi oraz przepustowość serca. Karteczki z wynikami są corpora delicti sprawy: obywatel Grzegorz Musiał żyje nadal i cieszy się nie najgorszym zdrowiem. Komisyjnie stwierdzono obecność prawidłowo utleno-



wanej hemoglobiny oraz poziom potasu w granicach normy. W świetle powyższego rozszczenia powoda do zejścia z tego świata uznaje się za całkowicie bezpodstawne...

Leukocyty.

Hemoglobina.

Białka krwi.

Tak. Nadal powinno się pisać wiersze.

Chodzić po zakupy.

Robić siusiu.

Grać w zielone

i w sobotę wieczorem wystawać na pikiecie

(plac Wolności, skwer na tyłach BWA).

*„...ty piękny chłopcze, który trzymasz w rękę klepsydrę czasu...”*

Smągła ruchliwa twarz Seana– tym razem zamyślona, trochę smutna, pochylona nad kon-  
tuarem. I szklanka wina w półzamkniętej dłoni...

Albo: jasnowłosy, pełen światła profil M., z papierosem w palcach tuż-tuż do ust uniesio-  
nym...

Albo: wymachujący chlebakiem Jeff biegnie do mnie, śmieje się głośno...

*„Kochani, kochani, więc po cóż mnie wołacie...”*

(Anna Czekanowicz)

Szeregi pięknych chłopców wędrujących przez Czas. Cóż jeszcze mogą trzymać w dłoni  
prócz klepsydry, prócz papierosa, prócz szklanki wina. Co jeszcze piękność ich pomnaża,  
dodając ich twarzom ulotnego cienia kruchości lekkiej, że aż tknąć strach, czy nie rozleci się  
w proch, gdy dłoń nieśmiało wyciągnąwszy pogładzić chcesz ten policzek ufnie poddany i tę  
brew uniesioną w nagłym zdziwieniu:

– Co pan robi, czyżby pan...?

Ależ tak! Podążam ku wam, chłopcy z różą wychylający się z ram portretów, chłopcy z  
biletami w garści pytający o pociąg, chłopcy z przerzuconymi przez ramię sportowymi dre-  
sami, już niedługo powitam was, samotni poeci gryzący w zamyśleniu obsadki piór, i was,  
młodzi kelnerzy z kropelkami potu na czołach, i was, lekkoduchy w tenisowych ubraniach,  
was, zamkniętych w klepsydrze... Bo przecież starczy ją nieco unieść pod światło, a ona wnet  
jak latarnia czarnoksiężka rozbłyśka, oświetlając tajemniczą ścieżkę, która przez czas prowa-  
dzi ku wam właśnie, tam, gdzie u kresu czekacie mnie, zastygli w gestach i uśmiechach, któ-  
rych dziś domyślać się ledwie mogę...

*„...ty, który rośniesz i nabywasz wdzięku...”*

(okazuje się, że skronie mam już nieomal całkiem posiwiałe. Mon Dieu! W wieku dwu-  
dziestu pięciu lat zaledwie!

Życzliwi podpowiadają, że mam oto szansę stać się atrakcyjnym starszym panem...

Poza tym mam reumatyzm w lewym kolanie i pryszcz na policzku.

Dlaczego nikt nie pisuje wierszy o chłopcu z pryszczem na policzku, o chłopcu z reumaty-  
zmem w kolanie?

O chłopcu, który już za chwilę, za jeden obrót wskazówek, za jedną krótką miłość i jeszcze  
jedno pożegnanie zmieni się w starszego pana....?

Przecież to właśnie jest klepsydra bardziej niż klepsydra. To właśnie jest Czas – bez swo-  
ich symboli, a tylko okno wychodzące na pustą ulicę, a tylko obracająca się płyta, której nie

ma kto słuchać; i deszcz nad uśpionym miastem, gdy nie wiadomo, kto bardziej przemókl: ptak na gałęzi czy twoja poduszka, której urywanym szeptem spowiadasz swoje przemijanie...).

– Nie chcę być stary i brzydki – mówi Lalunia, gdy czasem spojrzy w lustro („*błysk zwierciadła płony...*”) – O Boże! popatrz! znów zmarszczka! – woła nagle w panice.

Pomyśl lepiej o zmarszczkach na duszy – chciałbym mu wtedy powiedzieć. Ale on i tak by nie usłyszał: biegnie do kosmetyczki, tam go szczypią, biją po twarzy, wcierają kremy, płyny ogórkowe. Wraca weselszy, pachnący, znów patrzy z uwagą w lustro. Nie widzi w nim swego serca, które jest pomarszczone jak stare jabłuszko, ani swoich oczu, z których wygląda lęk i głodna nadzieja.

– Jesteś jak podstarzała panienska – mówię – wyglądasz zza pelargonii swojego księcia. Każdy klakson, każdy tupot na schodach budzi w tobie niebezpieczne dreszcze. Zupełnie jak te wszystkie Natasze, Iriny i Tatiany z Czechowa – czekasz, aż ktoś cię zabierze z twojej Połtawy do samego Petersburga.

I tak żyjesz dwiema maleńkimi częstkami życia: jedna to ta, która czeka, druga zaś dla tego czekania poszukuje argumentów. Za mały to pokarm dla duszy. Uschnie, jeśli jej nie będziesz podlewał.

– A podlewam, podlewam – mruczy Lalunia z ohydny uśmiechem, wyciskając wążerka na brodzie – nie ma się co martwić...

I tak żyją sobie ćwiartkami, ułamkami życia, przez bardziej lub mniej świadomą rezygnację, przez większe lub mniejsze tak zwane szczęście.

– Bo o co tu walczyć – nudzą czasem przy wódce.

Nic nie mówię.

Bo co tu mówić.

## II.

### Lalunia

Lalunia jest słodka. Pisze wiersze i tak w ogóle jest bardzo uduchowiona. Ale piszczy z radości, kiedy ją klepnąć w dupkę albo powiedzieć: – No, no, Lalunia, wyglądasz dzisiaj, że niech to szlag!

Wtedy Lalunia jest szczęśliwa. Robi się różowiułka z radości i biegnie natychmiast do toaletki popstrykać się wodą różaną. Wraca jak gdyby nigdy nic, ale jaka ona zła, kiedy jej nie powiedzieć w tym momencie: – O Boże! I jak ty pachniesz...!

Lalunia jest chłopcem, choć to nic pewnego. Może raczej jest mężczyzną, choć to jeszcze mniej pewne. Najprawdopodobniej jest kobietą, której natura zrobiła brzydki kawał. Lalunia próbuje przechytryć naturę. Służy temu woda kwiatowa Dior, zespół koszulek lekkich różnobarwnych oraz sylwetka ogólnie wiotka. Lalunia osiągnęła ją przy pomocy „pryszniców niby lód i partii futbolu i masowania ud”. Inne rzeczy Lalunia osiąga przy pomocy wycieczek krajowych oraz zagranicznych, gdzie spotyka mnóstwo osób podobnie jak ona wystrychniętych na dudka. W tej sytuacji można by sobie pomyśleć, że Lalunia oraz jej towarzysze to pierwszej wody lesbije.

Tak jednak nie jest.

Częściej bowiem niż w wystrychniętych na dudka kobietach zakochuje się Lalunia w mężczyznach pełnej krwi. Ostatnio ma romans z drużyną piłkarską, spotkaną w jednym z tych tajemniczych hoteli, o których wie tylko ona. Piłkarze przepadają za Lalunią. Ona jednak płacze, że to nie jest to, po czym pisze Bardzo Smutny Wiersz.

Skończywszy, wrzuca na siebie jedną z koszulek, popstrykuje się wodą „Zmysłów czar” i biegnie za piłkarzami na trening.

Piłkarze szaleją za Lalunią.

Ale Lalunia kocha Bubusia, który ma wszystko gdzieś i nawet nie telefonuje.

– Oj Lalunia, Lalunia, chyba dostaniesz dziś w mordę – mówi gorzko Bubuś, gdy Lalunia kończy taniec umierającego łabędzia. Taniec odbywa się na stole zastawionym półlitrowkami. Wokół stołu siedzą podpici goście i wołają: bis. Bubuś jednak ma Laluni za złe, bo nie życzy sobie, aby jego płęć mylono podobnie jak Laluni. Bubuś jest inteligentny i przystojny. Za dużo jednak podróżował i coś mu się w głowie od tego przewracało: tak przynajmniej utrzymuje mama Bubusia, kobieta prosta i poczciwa, która nie może nadziwić się fikuśnym fasonom majteczek, jakie Bubuś przywozi z podróży.

– Co one wszystkie takie malutkie —wzdycha mama Bubusia – paznokcia byś nimi nie nakrył, a co dopiero porządne męskie instrumenta.

Lalunia nie nosi majteczek. Zamiast tego używa tasiemki z figowym listkiem. Listek ma drugą tasiemkę, na końcu której znajduje się guziczek. Można go zahaczyć o maleńką pętelkę, która znajduje się na tasiemce z tyłu, za plecami.

Wtedy Lalunia bierze jabłko do ręki i pyta figlarnie:

– No i kto zgadnie, kim jestem naprawdę?

– Ewą! – krzyczymy zgodnie.

Wtedy Lalunia uśmiecha się radośnie i daje nam jabłko oraz całuska. Bubuś siedzi w kącie i mówi:

– Oj Lalunia, Lalunia, chyba dostaniesz dziś w mordę.

Miłość potrzebuje brutalności. Święty spokój, jak komuś dobrze dać po pysku. Lalunia na przykład miewa migreny oraz fobie, cierpi na spleen tudzież muchy w nosie. Tak jest do przyjazdu Bubusia. Potem wszystko nagle się uspokaja. Jedynym problemem staje się spuchnięty nos lub siniak pod okiem (Boże! Jak ja się z tym pokażę!). Idą w ruch kremy, okłady oraz jęczyczek Laluni, która pytluje od rana do wieczora: brutal! cham! żeby to było przed wojną, byłbyś moim fornałem!

Jednak któregoś dnia Bubuś wyjeżdża. Skatowana Lalunia mości sobie gniazdko przy telefonie i czeka, czeka z tym okrrropnym bólem głowy i jest w ogóle

Nie do Życia...

### III.

Upały trwają straszliwe. Dziś rano w ogrodzie u Zimka polewanie się wodą z węża, śmichy-chichy, słuchanie Presleya. W pewnym momencie Zimek przyłapuje mnie spojrzeniem, gdy milcząc wystukuję na okładce płyty litera po literze PRESLEY, a kiedy napis się kończy, znów od początku, i tak na okrągło przez dłuższy czas. Zrobiło mi się wstyd. Było mi tak, jak gdyby ktoś mnie podejrzwał w intymnym miejscu, tam gdzie niespokojna fizjologia miłości daje o sobie znać nieoczekiwanymi reakcjami. Dostrzeżono więc moje napięcie, zdemaskowano mój niepokój, kamuflowany dotąd śmiechem, muzyką, figlami. Dojrzano to coś ogrom-

nego, nie dającego się zrzucić z mózgu i z serca, co gniecie barki, żołądek, przykuwa do podłogi roztańczone stopy; tę pijawkę olbrzymią, ssącą mnie od środka przez tajemniczą zatrutą kłujkę, wprowadzoną wprost do aorty i wpuszczającą do niej smętne jady na miejsce usuwanej zdrowej krwi.

Dojrzano mnie więc w towarzystwie pijawki. Ha! Fatalna kompania! Pijawka siedzi mi okrakiem na plecach i chichocze. Nie oderwiesz jej, bo swymi podstępными nibynózkami wżarła się głęboko w podskórną tkankę duszy. Wysysa soki ze wspomnień, podgryza nadzieję.

To było dawno lub niedawno. Miłość lub niemiłość. Dwa lata? Trzy lata? Kobieta czy mężczyzna? Pamiętam, chcę zapomnieć?

Czas płynie.

Czy doprawdy na oślepe przed siebie, jak tłumaczy nauka? Czy może zbiera się w małych jeziorkach, do których wraca się w każdą bezsenłą noc, by z odbitych w wodzie gwiazd czytać jak z księgi swoje przeznaczenie...?

Może każda miłość to takie jezioro, w którym czas płynie po okręgu, rządzonej swą własną cyrkulacją, i te koła zahaczają o siebie tak, że można niby przejść do przodu, ale też znów jakby trochę wokół, po spirali, wracając wciąż do jakiegoś tajemniczego punktu wyjścia, który o każdy obrót trochę do przodu się przesuwają, ale też w miejscu tkwi przecie: ciągle w tym samym jednym punkcie, w którym być może Bóg przyłożył swój palec, a może miłość wydrążyła swoją małą, nie dającą się wyleczyć jamkę...

Zimek zrobił mi soku lodowatego, prosto z chłodziarki, potem znów oblał mnie wodą z węża i jeździliśmy długo rowerem, zostawiając na grządkach ślady.

Mama Zimka będzie zła – jest to bowiem tak, jakbyśmy rowerem ujeźdzali po jej obnażonym sercu.

## IV.

### Fotografia Ojca

Fotografia Ojca na ścianie: Rysio K. mówi w tym momencie —Boże! Jakże on ma oczy... Tak. Oczy to była jego siła. Szczęśliwi ci, którzy zamiast języka mają takie oczy. Czyta się z nich lepiej niż ze słów, które płaczą się, jazgoczą, którym nadać można łatwy sens i jeszcze łatwiejszy wymiar.

Gdy już nie mógł mówić, te oczy przemawiały w dwójnasób. Wiadomo było, że nas kocha i że okropnie trudno jest mu zdecydować się na odejście. Cóż – takie decyzje zapadają jednak poza naszym udziałem.

Bilet w jedną stronę zostaje zarejestrowany w niebieskiej buchalterii. Należy się stawić o godzinie... dnia...

Mój Ojciec otrzymuje czasem przepustkę na wyjście. Zjawia się wtedy w moich snach – uśmiechnięty, spokojny, jak gdyby rozwikłał nareszcie dręczącą go przez ostatnie lata zagadkę Mistrza i Małgorzaty. Ostatnio objął mnie i powiedział (nie słyszałem słów, były to oczy, ale mówiące bez patrzenia w nie, czyli że była to wyższa forma porozumienia, gdy nie dość, że nie trzeba mówić, to i patrzenie staje się niepotrzebne): – Wszystko jest dobrze, nie przejmuj się. Dopóki robisz to, w co w i e r z y s z, to możesz WSZYSTKO robić...

Nie rozumieliśmy się z Ojcem. Często wybuchały sprzeczki (ostatnia zdaje się dotyczyła zła. Czy można przy pomocy zła wyrażać piękno. Chodziło chyba o Genêta, o film Viscon-

tego *Zmierzch bogów*, padło też parę słów o Przybyszewskim, bo świeżo byłem po lekturze *De Profundis*. Ale mieszanka! Przybyszewski, ten upiór – uzurpowany, demon do wynajęcia, schizofrenia na szelkach... lecz parę lat temu można było jeszcze kruszyć o niego kopie. Ojciec był wielbicielem klasycyzmu i harmonii. Ja niestety należę do pokolenia kpiarzy i bałaganarzy... (A gdybyż to wszyscy chcieli takimi być! Ileż jednak w tym tak zwanym młodym pokoleniu mieszczaństwa, pruderii, dumniactwa i tępogłowia odradzającego się jak złe ziele! Ileż kariery i bałwochwalstwa, serwilizmu i purchawkowości... Ot, zwyczajna panorama człowieka... Lecz mnie wtedy upajała WYJĄTKOWOŚĆ, eksterytorialność, ekscentryzm i ekskomunika).

Tato był wyrozumiały: w jego harmonijnym systemie moralnym tolerancja funkcjonowała jak elastyczne spoiwo zasad, których niezłomnie przestrzegał.

Jakie jest nasze spoiwo?

Chaos?

Brak spoiwa?

Co zbiera do kupy tę naszą bezzasadność, w której pograżamy się z wolna jak w lepkiej mazi?

Ironia?

Czy tym w ogóle można się nakarmić?

A więc kłótnie nasze dotyczyły przeważnie problemu spoiwa. Ojciec wyznawał piękno. Ja próbowałem stworzyć antytezę. Ojciec kochał Boga. Ja chciałem kochać człowieka.

I tu następowało zwanie. Nasze temperamenty przelatowały z trzaskiem obok siebie, nie pozwalając nam zauważyć, że dokładnie o to samo nam chodzi. Że różnica polega wyłącznie na scenografii: Ojciec chciał, aby Bóg mieszkał w niebie, ja zaś próbowałem dowodzić, że powinien mieszkać w M-3. Ojciec kochał Go za tajemniczą boskość, upatrując w tym sens religii w ogóle, ja zaś chciałem kochać go za zwyczajne człowieczeństwo, upatrując w tym ogólny sens miłości.

Ojcu chodziło o miłość, której dawał nazwę RELIGIA, mnie o miłość, którą nazywałem po imieniu.

Lecz jego miłość wykluczała zło. Boski seks nie mieścił się w jej systemach. Zaś moja miłość złem seksu karmiła się na co dzień, żądała przeto prawa do bardziej ludzkiego niż zło określenia. Nazywałem więc seks pięknem, wzruszeniem, tęsknotą. Moja religia na imię miała Magdalena zakochana w Chrystusie. Zaś jego religia to był Chrystus nie potrzebujący nikogo. Samotny, dumny. Taki, jakim próbował być mój Ojciec.

A ja pragnąłem z Chrystusa wycisnąć choć jedną prawdziwą łzę rozpacz. Zapomniałem o płaczu na Górze Oliwnej, o strasliwym krzyku, który posłany ze szczytu wzgórza w milczące niebo, rozdarł nieczułe serce Boga.

Chciałem, żeby Chrystus był moim przyjacielem, który łaskocze mi szyję płową brodą, który w ciemności podsuwa mi zapaloną zapałkę. Zapomniałem, że On zbyt dobrze poznał ludzi, aby być im tylko przyjacielem.

Musiał im zostać Bogiem.

O wielu rzeczach zapomniałem. Do dziś nie mogę ich sobie przypomnieć.

A może nie chcę?

Może boję się tego spoiwa, że zbyt skutecznie poskleja ono mój chaos, który przestanie być wygodnym bałaganem, a zmieni się w taki sam jak u Ojca system zasad, których będę musiał przestrzegać?

Chrystus powiedział, że Maria lepszą połowę wybrała, siadając u jego stóp, aby go słuchać. Dlaczego więc chcę być Martą, uwikłaną w tysiąc kłopotów, miotającą się między kuchnią i sraczykiem, utyskującą na życie, spoconą i zrezygnowaną?

Może do Marii się dorasta?

Może trzeba jeszcze poczekać?

Powahać się na skrzyżowaniu?

Co się takiego stało z nami, że Venus bez rąk bliższa jest nam niż wszystkie inne dłonie...?

Jest w Berlinie Zachodnim kościół, który nazywa się Gedächtniskirche. Jest to ruina starej pruskiej świątyni, uderzonej aliancką bombą. Została tylko wieża z częścią prezbiterium. Kościoła nie rozebrano, lecz zbudowano obok niego (a raczej wokół niego) cudo ze szkła i aluminium: kaplicę płaską, sześcienną jak puderniczka i wystrzelającą obok niej prostopadłościenną wieżycę, przypominającą szminkę do ust. Dostojna pompatyczność zastąpiona została buduarowym figielkiem. Wokół tej kościelnej wyspy szaleje Berlin – miliardy świateł, knajpy, kabarety. Wypalona wieża starego kościoła wygląda na pociemniałym niebie jak strupieszły paluch starca, przestrzegającego przed nie wiadomo czym.

Lecz berlińczycy wiedzą, przed czym ich ten paluch przestrzega. Dlatego Berlin Zachodni jest dziś nazywany Babilonem Europy. Tu wszystko jest dozwolone. Demoniczna blondyna w botach aż do pachwin i z pejczem w garści zaprasza do klubu dla masochistów. Kawalek dalej muskularny Metys w majteczkach i biustonoszu. Jeszcze dalej wielki afisz: „Non-Stop Crazy Sexy. 24 Stunden!”, i neonowa strzała wskazująca wejście do czerwono prześwietlonej czeluści, z której dobiega oszaląła muzyka i zapach smażonych frytek.

W Berlinie myśli się o śmierci i o Chrystusie. Co drugi chłopak na ulicy ma płową brodę i niebieskie oczy. Co druga kobieta ma dziewięćdziesiąt lat, które podpira laseczką ze srebrną rączką. Pozostali zaś idą po prostu przed siebie. Zatrzymują się przed rozjarzonymi wystawami, uskakują na chodniki przed pędzącymi autami.

To miasto już nie żyje. Pozostała mu tylko nazwa. To miasto umarło pod bombami alianców, jego zwłoki pocięto czerwonym ołówkiem na konferencyjnym stole, a potem przysypano je stertą amerykańskiego aluminium i szkła.

Nad trupem tego miasta czuwają jego wierne stare kobiety, samotne w swych jaskółczych gniazdach pod dachami wieżowców, czuwają do późna w noc nad fotografiami swych nieżyjących synów i mężów, swych córek, które kiedyś wybiegały z kwiatami na ulice witać powracających zwięzców.

Chrystus tego miasta to uszminkowany Żyd z baru. Jego śmierć dokonała się dwa tysiące lat temu. Zaś on sam to już tylko sztucznie ożywione zwłoki, podobne setkom innych, które w gwarze i wesołości wieczornej ulicy chwieją się długim szeregiem pod ścianami tego najdziwniejszego z miast.

Śmierć Berlina to kapelusz mojej ciotki. To jej kosmetyki nakładane drżącą ręką na pomarszczone ciało. To wsuwanie kanapki z ananasek w bezzębną czelusć ust. To podpieranie się wzajemne pary emerytów w niedzielną przechadzkę po Tiergarten. Śmierć Berlina to pijane Amerykanki w windzie na dach hotelu Hilton. Ich długie tiulowe suknie oblane szampaniem. Ich mężczyźni opaleni, z Florydy lub Honolulu, ich złote sygnety i spojrzenia bez kompleksów. To nieskończone szeregi jednakowych popielatych mercedesów, z jednakowymi zielonkawymi szybami, zza których migają jednakowe złote okulary. To jednakowy uśmiech

tysięcy ekspedientek w tysiącach sklepów na tysiącach metrów kwadratowych tego miasta, to jednakowe kłopoty wszystkich gospodarnych pań domu, które zastanawiają się, jak oszczędzić codziennie dwie marki na jedzeniu oraz prądzie, to skupienie na twarzy konduktora w metrze, który sprawdza twój bilet jak zapalnik bomby atomowej, to beztroski cynizm młodych marksistów z uniwersytetu, którzy zapuszczając swego mercedesa po wykładach, rzucają od niechcienia przez otwarte okno: – A jak nie, to wam zrobimy rewolucję...

To wreszcie męczeństwo Helgi, Marianny, Friedy, wahającej się w supersamie pomiędzy stertą świeżych befsztyków po dziesięć marek sztuka a taką samą stertą sznycli o pół marki tańszych.

Idę Osloerstrasse, prowadzony przez miłego starszego pana w złotych okularach, który mówi i mówi cały czas, odkąd powiedziałem mu, że z Polski i tak dalej. Pan wpierv zeszytniał, a potem wykrzyknął uszczęśliwiony:

– Ach ja, ja! Byłem w Bromberg w... – I urwał. Rok stanął mu kością w gardle.

Teraz wypluwa tę kość z potokiem słów i wypluć nie może. Jest coraz słodszy, coraz uprzejmiejszy, jak gdyby świeża struga nic nie znaczących uprzejmości zmywała z jego serca nieznośny brud, który czyścił na wszystkie sposoby bez skutku, a teraz proszę, jaka gratka! mówi i mówi, i coraz mu lżej, coraz milej, bo ja i moje dwadzieścia parę lat to o wiele za mało, żeby mogło coś mieć wspólnego z jego młodością, taką samą jak moja, tyle że w hełmie z karabinem w dłoni, też na ulicach obcych miast, lecz nie tak wspaniałych, tak czystych i zasobnych jak Berlin. – Prawda, że to piękne miejsce? prawda, że Polak może czuć się u nas jak w domu? może koniaczek? może chociaż piwo? I spójrz, jaki miły jestem ja, ten sam, którego tak nienawidziły kobiety TAM, na TAMTYCH ulicach, gdzie co krok rozstrzeliwało mnie ich spojrzenie, więc spuszczałem oczy, nie za swoje w końcu cierpiąc winy, ale cóż, czasy się zmieniają i teraz, ot – niech pan tylko spojrz, pan, młody, z Polski, i ja, stary Szwab (śmieje się zadowolony ze swej wyrozumiałej dowcipności) tak sobie idziemy zgodni, nie ma żadnych wojen, żadnej nienawiści...

I znów przypomina się Chrystus. Pocałunek Judasza. I znów ten jego płacz, szloch na Oliwnej Górze; może to płacz ze zmęczenia, może z lęku, a może płacz nad swoją okrutną, boską samotnością...

Samotność pośród ludzi.

Samotność wśród przedmiotów.

Osloerstrasse, olbrzymi magazyn z radiami, magnetofonami, ekspedientami o oliwkowej cerze i usługnych, wschodnich uśmiechach. Rzeczy. Ludzie. Ludzie. Przedmioty. Kawa ze śmietanką. Sznycel z jajkiem. Sukienka z różą. Poeta z Marksem. Adwokat w okularach. Winda na dach Hiltona. Szampan za dekoltem. Noc nad miastem. Miasto w światłach.

Berlin.

Stara kobieta chowa fotografię syna, zapala światło w łazience i wyjąwszy sztuczne zęby, myje je dokładnie pastą Colgate.

*Bydgoszcz, 1977*